



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Współżycie seksualne wymaga odrobiny lubieżności i perwersji, lecz niektórzy przekraczają granice dewiacji.

Seks dla starszych i zaawansowanych

MIROSLAWA SARBINSKA

CZYTAJ STRONA 7

- Czym był Sierpień '80 w Polsce? — str. 3
- Groza w celi śmierci str. 10
- Jak można wzbogacić się w Ameryce? — str. 16
- Polska broń pancerna str. 4

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 25 (1629)

ROK XXXII

18 CZERWCA 1989 ROKU

CENA 80 ZŁ

Powstanie Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”, warto więc wiedzieć, co to była Armia „Łódź”, z jakich składała się jednostek, jak i gdzie walczyła?

Polska broń pancerna

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

General Władysław Sikorski w książce „Przyszła wojna” opublikowanej w 1934 roku genezę czołgu wyjaśnia jako reakcję na rosnącą siłę ognia broni maszynowej. Okopy zaczęły w czasie pierwszej wojny światowej tak szpikować karabinami maszynowymi, że ich zdobycie wymagało ogromnych ofiar i stawało się w konsekwencji nieopłacalne. Potrzebne zatem były ruchome fortyfikacje, które same nieetykalnie mogły rozprawić się z gniazdem broni maszynowej. I tak powstał czołg.

Pierwszy zastosował czołgi Francuzi. Stało się to 16 kwietnia 1916 roku nad Aisne. Masowo — 400 wozów — zastosowali czołgi Anglij w czasie kontrofensywy Mazinga w lipcu 1918. Poprzednio zastosowali oni czołgi w listopadzie 1917 roku w bitwie pod Cambrai. I tak czołg — rozbudowywany i udoskonalany — stał się częścią wyposażenia armii.

Pojawienie się czołgu, a przedtem samochodu, postawiło przed armiami problem motoryzacji i mechanizacji, a przez to ściślejszego uzależnienia wojska od stanu gospodarki. Motoryzacja — to zastąpienie ciągu konnego przez ciąg motorowy, a więc uzależnienie stanu wyposażenia armii od stanu technicznego i możliwości produkcyjnych przemysłu samochodowego. Mechanizacja — to wprowadzenie do wyposażenia armii bojowych pojazdów opancerzonych. Motoryzacja przyspiesza możliwość poruszania się wojska, mechanizacja — ułatwia mu walkę. Ale jedno i drugie zależy od poziomu technicznego i technologicznego przemysłu, a także od możliwości ciągłego zaopatrywania się w paliwa. Bez części zamiennych, bez paliw i smarów samochody i czołgi stają się kupą złomu. Tak więc problem modernizacji armii polskiej przed 1939 rokiem polegał nie tylko na rozumieniu potrzeby przesłania z konia na motor, ale i na możliwościach przemysłu motoryzacyjnego.

Jaka miała być rola czołgów w nadchodzącej wojnie?

General Władysław Sikorski tak ją widział: „W przyszłości czołgi szybko biegną, podobnie jak i automobile pancerny, mogą współdziałać z kawalerią w rozpoznaniu i zwalczaniu oraz w podejmowaniu głębokich wypadów. Tworzyć również będą mieszane jednostki, w



ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje.

Dom przy ul. Bandurskiego 8

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Takiej ulicy, a więc i tego domu przy niej nie ma. Pozostał w pięknym wierszu Iwaszkiewicza, w „Paleczce” Adolfa Rudnickiego i neliicznych wspomnieniach. „Paleczka” jest to powieść o tym domu i jego pierwszych po wyzwoleniu mieszkańcach, ale powieść z kluczem. Zamek do tego klucza zagrzebany jest w pamięci ledwie kilku jeszcze żyjących osób, od dawna mieszkańców Warszawy. Pewnego dnia, tygodnia, roku i oni, wielcy w literaturze, i prowadzone przez nich pisma, podobnie jak głosni aktorzy, uczeni, artyści wsiadli z larami, penatami i betami do pociągu i — koniec „Księgi Wyjścia”. Nie wszyscy z nich poczuli się jak Teatr Syrena tekstem Jerzego Juranota do podziękowania robotnicemu miastu za pełne życzliwości przyjęcie bezdomnych po spalaniu Warszawy.

Łódź nas przyjęła z czułą troską, a my niewarci tego, bośmy

Piotrkowską zwali Marszałkowską i byli obcy, byli gośćmi... Lecz jakżeż żyć nam w dobrej Łodzi Wśród ciągłych wspomnień i porównań? Każdemu, kto się tu urodził, Warszawa Główna, Warszawa Główna!

Wielu z todzian chwilowych nadzwyczaj szybko zapomniało, że „Łódź ich przyjęła z czułą troską”. Jedni ze snobizmu: pobyt w fabrycznym mieście, o największym zgęszczeniu ludu roboczego, odczuwali jako okres prestiżowego upadku w ich biografii intelektualistów lewicy, inni — ponieważ okres redagowania w Łodzi czy silnej współpracy z propagatorką marksizmu uznali niebawem za kompromitujący dla nich.

6 Ale co z domem? Zaczęłam, że go nie ma, a on przecież jest. Właściwiej one są. Tyle, że w tym

Czy Józef Stalin wierzył Adolfowi Hitlerowi? Czy były „protokoły dodatkowe” do umów zawartych 23 sierpnia 1939 roku? Czy inwazja Afganistanu była konieczna?

Konstruktor zagranicznej polityki ZSRR zwierza się

Rozmowa z byłym ministrem spraw zagranicznych, byłym przewodniczącym Rady Najwyższej ZSRR — ANDRIEJEM GROMYKO.

— Przed 75 laty, w momencie wybuchu I wojny światowej, pański ojciec dał panu następującą życiową przestrożę: „Niemiec uderzył na Rosję. Jest on silny i niebezpieczny. Zawsze przynosił on ludziom nieszczęście”. Słowa te potwierdziły się podczas II wojny światowej. Być może jednak zebrał pan w swym życiu takie doświadczenia, które mogłyby wpłynąć na skorygowanie ojcowskiej przestrogi?

— Rzeczywiście, przypominam sobie tę rozmowę z ojcem, który brał udział w I wojnie światowej, walcząc w szeregach armii Aleksandra Brusilowa. Wówczas byłem jeszcze małym chłopcem i, jak się to mówi, bawiłem się pod stołem. W latach 1917/1918 moja rodzina wieś znalazła się pod okupacją niemiecką. Tego nie zapomniałem.

— Czy spotkał pan jakiegoś polityka niemieckiego, który zrobił na pana dobre wrażenie?

— Tak, Willy Brandta. Człowieka o dużej wiedzy, człowieka obdarzonego wrodzonym darem szukania i znajdowania punktów stykowych z każdym rozmówcą. Jest to, generalnie rzecz biorąc, bardzo dobra cecha, będąca zasadniczym wzorem politycznej algebry, od której wiele zależy. Ostatecznie, w roku 1975, zawarliśmy wspólnie Układ Moskiewski.

— W swych pamiętnikach, które ukazały się obecnie w języku niemieckim, określa pan Konrada Adenauera jako reprezentanta tej samej klasy, która wyniosła Hitlera do władzy. Również kanclerz Helmut Schmidt jawi się panu jako typowy pruski oficer.

— Do tego, co powiedziałem o Konradzie Adenauerze, nie mam nic do dodania. Co się tyczy kanclerza Helmuta Schmidta, jest on z pewnością skomplikowanym politykiem. Posiada on rysy charakteru typowe dla pruskiego oficera. Sam zresztą mówił o tym, opowiadając o swej jednostce wojskowej, która podczas II wojny światowej znalazła się w pobliżu Moskwy. Wymienił nawet miejsce jej stacjonowania, a mianowicie w Sawidowie. (..)

Samo określenie Helmuta Schmidta jako pruskiego oficera nie wyczerpuje sprawy, nie jest kompletne. Tak bowiem nie można go charakteryzować, jako człowieka i polityka. Cieszę się zatem, że nam teraz okazję dodać jeszcze coś do tego. Otóż, będąc kanclerzem, Helmut Schmidt otworzył z jednej strony drogę do rozmieszczenia w Europie amerykańskich broni nuklearnych, z drugiej jednakże poszukiwał coraz intensywniej możliwości, że się tak wyrażę, osiągnięcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim na temat zredukowania nuklearnego zagrożenia. O tym mogłem się przekonać podczas licznych przeprowadzonych z nim rozmów.

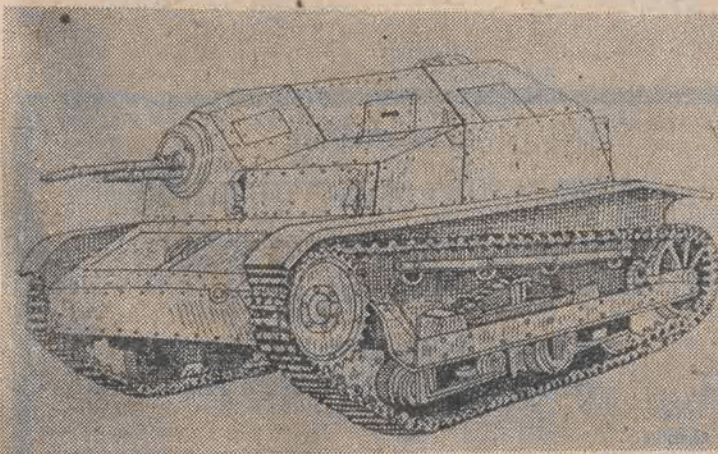
— A więc jaki jest pański sąd o tym człowieku?

— Helmut Schmidt był twardym, ale w su nie rozsądnym politykiem. Niekiedy nadmiernie upartym. Zresztą ten właśnie rys charakteru cechuje wielu polityków i dyplomatów. Nie robię też żadnej tajemnicy, że również i ja, w wyniku takich lub innych uwarunkowań, zmuszony byłem zajmować twardą pozycję w trakcie reprezentowania radzieckich interesów i na moich interlokutorach robiłem wrażenie upartego dyplomaty.

Helmut Schmidt był bardzo interesującym rozmówcą. Czynił zawsze na mnie wrażenie, iż jest tym człowiekiem, który pojął, że trzeba bezwarunkowo szukać porozumień ze Związkiem Radzieckim, będących do przyjęcia dla obu stron. A jest to, jak sądzę, bardzo ważne w naszych skomplikowanych czasach. Krótko mówiąc, Helmut Schmidt to nadzwyczaj tego głowa.

— Również nadporučnik Richard von Weizsäcker dotarł podczas wojny prawie do samej Moskwy.

— Miałem okazję przeprowadzić szczególnie interesującą rozmowę z prezydentem federalnym Richardem von Weizsäckerem podczas jego ostatniej oficjalnej wizyty w Moskwie. Zrobił on na mnie bardzo dobre wrażenie. Oczywiście reprezentował stanowisko swego kraju, swe-



Uzbrojenie wojska polskiego, 1939 r. Tankietka TKS.

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka:
Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Miroslaw Kulis,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski
Grafik: Janusz
Szymański Głanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Marek Brzeziński (Paryż),
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył
Kocznów (Moskwa),
Włodzimierz Krzeziński,
Bogumił A. Makowski,
Zenon J. Michalski,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Dariusz
Romanowicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź ul. Sienkiewicza
3/5 tel 32 59-11

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz tel 36 80 99
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiając prenumeratę
w tych oddziałach — Insty-
tucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wylatanie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejs-
ca zamieszkania prenumeratora
Wolaty dokonuje się używając
blankietu „Wolaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa-Książka-Ruch” Centrala
Kolportażu Prasy i Wy-
dawnictw ul. Towarowa 23
00 958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139-11 Prenumeratę
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc
dla zleceń nadawczych indywidual-
nych i o 100 proc dla zleceń
cycch instytucji i zakładów pracy
Terminy przyjmowania prenu-
meraty, na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 1793. D-10.

Przegląd prasy

Słynny aktor i specjalista od
walk wschodnich, Bruce Lee,
był zaprzyjaźniony z Romanem
Polańskim i jego żoną Sharon
Tate. Pisz o tym reżyser w
kolejnym fragmencie wspom-
nień publikowanych w magazynie
ilustrowanym „FILM” (nr
23). Całość ukaże się w wy-
dawnictwie „Polonia”.

Bruce Lee najbardziej lubił
„naukową” bójkę uliczną dżit-
kundo. Pogardzał natomiast
techniką karate. Stale namię-
tnie próbował go niespodziewanie
zaatakować. Był przekonany,
że nie da się zaskoczyć.

„Systematyczność, z jaką dą-
żył do perfekcji, wydawała się
nieuliczna, a dyscyplina fizycz-
na, którą sobie narzucił, obej-
mowała wyczerpujące ćwicze-
nia tancerza i długie godziny
nieubłaganego treningu iluzji-
nisty. Lubiał się popisować swo-
ją sztuką przy każdej okazji.
(...) Mimo wszystkich zalet fi-
zycznych człowieka — gumy,
miał pewien drobny manka-
ment: był krótkowzroczny i no-
sił okulary lub soczewki kon-
taktowe. Kłóregoś dnia, po jed-
nym z naszych treningów, o-
parł nogę na zderzak swojego
samochodu i z okularami zsu-
niętymi na czubek nosa zawią-
zywał sznurowadło. Postanowi-
łem wymierzyć mu cios stopą.
Nawet na mnie nie spojrzał:
błyskawicznie wyciągnął rękę i
złapał mnie za kostkę”.

Z tekstów wspomnieniowych
polecam ciekawe artykuły w
miesięczniku „TEATR” (nr 5) o
życiu i twórczości Zygmunta
Hübnera (1930-1989). Aleksan-
der Bardini pisze o zmarłym
niedawno koledze:

„Miał Zygmunta tak nerwowo,
który był jakby skrzyżowaniem
fikcji Arnolda Szyfmana z fik-
cją Kazimierza Rudzkiego.
Szyfman co i raz poruszał le-
wym barkiem: wyglądało to
tak, jakby bark był źle zmon-
towany z ramieniem i plecami,
a więc należało go odpowied-
nym ruchem umieścić na wła-
ściwym miejscu. Rudzkiemu —
zawsze był jakby za ciasny koł-
nierzyk. A więc ruch w lewo,
w prawo, a potem podbródek
do przodu i ulga, że przygnie-
cioną (imaginacyjnie) skóra
została wyciągnięta ze zbyt
ciasnego (powiedzmy) kołnier-
zyka. Otóż Zygmunta nie jako
zsyłany był do łodzi: jed-
nym rzutem barku wypychał
podbródek do przodu. Często-
liwość tych ruchów bezbłędnie
świadczyla o stopniu napięcia
nerwowego. Śmieszne, prawda?
A przecież żal, że nie możemy
już tego podglądać. — Przy-
czekaj: czy to tylko przypadek,
że Zygmunta odziedziczył tik
po Najprawdziwszym i Naj-
przystojniejszym?”

Zygmunta Hübner — według
Aleksandra Bardiego — był
małomównym weredykiem. Nie
znosił bluffu, dbał o jedno-
słów i czynów. Miał absolutnie
czytelny, równiutki charakter
pisma; ładnie i gustownie się
ubierał. Wszystko to harmoni-
zowało ze sobą.

Piotr Cieślak zaobserwował,
że powściągliwy w reakcjach
Zygmunta Hübner rozładowy-
wał napięcie poprzez nie-
spodziewane wybuchy śmiechu.
Nie był to śmiech przyjemny.
W powojennym życiu teatral-
nym Piotr Cieślak wyróżnia
cztery stadia: okres socrealiz-
mu lat pięćdziesiątych, fazę au-
torów po 1956 roku, epokę re-
żyserów w latach sześćdziesią-
tych i siedemdziesiątych, czas
aktorów w obecnej deka-
dzie. Osobowość teatralna Zyg-
munta Hübnera ukształtowała
się w stadium reżyserów, ale
szybko zrozumiał on, że dziś
siłą napędową teatru stali się
wybitni aktorzy.

Kolejnym materiałem wspom-
nieniowym, który warto prze-
czytać, jest autobiografia Izaka
Baszewisa Singera. W mie-
sięczniku „ODRA” (nr 5) przy-
stąpiono do druku trzeciej
części tej pozycji. Pisarz opo-
wiada o głębokim pesymizmie,
jaki ogarnął go na początku lat
trzydziestych. Nie wierzył w
opatrność Boga i nie miał
odwagi się zabić. Jedyną jego
szansą był wyjazd z Polski,
dlatego bardzo ucieszył się,
kiedy brat Józef przysłał mu
zaproszenie ze Stanów Zjedno-
czonych. Ogromną radość spra-
wiły mu też pozytywne opinie
znanego krytyka amerykań-
skiego o powieści „Szatan w
Goraju” i czek na sumę 90 do-
larów za opowiadanie wydu-
kowane w gazecie „Forward”.
Nie wierzył własnym oczom.
Ale nie mógł chyba jeszcze

wtedy przypuszczać, że zrobił
Ameryce wielką karierę lite-
racką ukoronowaną w 1978 ro-
ku Nagrodą Nobla.

POLSKA ZNAŁ HUDSONU I SEKWANY

Z amerykańskiej perspekty-
wy — pisze w miesięczniku
wrocławskim Jerzy Surdykow-
ski — Polska jawi się jako
odległy, mało atrakcyjny i
niezbyt ważny kraj. Przede
wszystkim liczy się Związek
Radziecki, dlatego Amerykanie
uczą się języka rosyjskiego.

„Tylko kraje takie, jak Rosja,
Japonia czy Chiny są dziś dla
Ameryki wyzwaniem, tylko w
takich partnerów wpatruje się
Ameryka uważnie — czasem z
szacunkiem, nieraz z ironią,
ale zawsze serio. Dlatego stra-
sliwie trudny dla Anglosasów
język przyciąga tak wielu uczo-
niów, a tak mało zrozumiały
kurs historii tylu studentów,
dlatego każda prawie książka
napisana po rosyjsku — obo-
jętnie czy przez komunistę,
czy przez dysydenta — jest za-
raz tłumaczona na angielski i
analizowana przez uważnych
krytyków, każdy kremowski
wstrząs uruchamia sprężynę
najczulszych politycznych sejs-
mografów. Tak, tylko to, co
dzieje się w Rosji, dzieje się
naprawdę; nawet dramaty ma-
łych krajów — choć jakże god-
ne współczucia — nie są war-
te jednego stęknienia gigantów.
Mocarswa patrzą na siebie z
obawą i z uwagą; tak jak
Ameryka patrzyła na Rosję
carską, patrzy dziś na radziec-
ką i nie inaczej będzie pa-
trzeć na każdą inną — jaką
tylko przyniesie niewiadoma
przyszłość”.

Wydać nam się, że w świa-
domości Amerykanów powinien
funkcjonować „Chrystus Naro-
dów” rozslawiony przez Papię-
za i „Solidarność”. Ale z tam-
tej perspektywy małe polskie
mity; nasze zwycięstwa i klę-
ski są zbyt odległe, niezrozu-
miałe i niewiele warte, o czym
świadczą dzisiejszy stan kraju.
W martyrologii wojennej trud-
no Polakom równać się z Zy-
dami, którzy skutecznie prze-
konali świat, że holocaust był
czymś więcej, niż epizodem w
dziejach masowych morderstw.

Znany pisarz, dramaturg i
eseista hiszpański Fernando
Arrabal (zamieszkały w Pary-
żu i zaliczany do awangardz-
teatru francuskiego), doszedł
do wniosku, że Polacy mają
złoborową skłonność do samo-
obłądztwa. W rozmowie z Ada-
mem Komorowskim opubliko-
wanej na łamach „ZDANIA”
(nr 4) powiedział między inny-
mi:

„Polska to kraj tajemniczy,
nieobliczalny. Są trzy takie
kraje, które mnie najbardziej
fascynują i które trudno zro-
zumić: Hiszpania, Japonia i
właśnie Polska. A kiedy mówię
o skłonnościach samobój-
czych, nie widzę tego tak jak
ty. Nie patrzę na tę sprawę w
kategoriach politycznych, albo
nie tylko, nie przede wszyst-
kim w kategoriach politycz-
nych. Myślę o pewnym rysie
elegancji, zachwaleści mani-
fistacji się w powiedzeniu
„wszystko mi jedno” („me da
lo mismo”), w nieliczeniu się
z okolicznościami, w decyzji
życia chwila bieżąca. To zdol-
ność bycia i uczynienia czegoś
ważnego i niebezpiecznego po-
to, by żyć bardziej intensywnie,
niezależnie od ceny, jaką
przychodzi za to płacić. A chcę
bardziej intensywnego życia
bez względu na cenę — to
właśnie skłonność samobójcza.
Cena najwyższa jest zawsze
życie. I to jest właśnie coś, co
utraciłmy na Zachodzie, po-
nieważ zostaliśmy schwytni w
pulpak komfortu. Zjemy tam
bardzo wygodnie. Ale ten kom-
fort obawiać, czujemy się
zupelnie bezbronni, gdy go
nam zabraknie choć w drob-
nym stopniu. Wtedy, jak śle-
py, nie możemy uczynić ani
kroku naprzód. Jesteśmy cho-
rzy, gdy naciśnięty guzik prze-
sta działać, gdy nie można
kupić koszuł, czy spózn się
pociąg”.

SMUTNA HISTORIA PYZDR

Jak bardzo skomplikowane
są nasze dzieje i postawy
świadczą reportaże Krzysztofa
Szymoniaka w miesięczniku
społeczno-kulturalnym (NURT)
nr 5). W znakomitym cyklu
„Z biegiem Warty” pisze on
między innymi o miasteczku
Pyzdrzy należącym do woje-
wództwa konińskiego. Była to
kiedyś miejscowość nadgraniczna
(po stronie zaboru rosyj-
skiego), w której współżyły
cztery narody.

„Po I wojnie światowej Ros-

Janie odeszli, a właściwie wró-
cili do siebie, Niemcy (w du-
żej mierze spolonizowani,
wchłonięci przez żywioł ży-
dowsko-polski), po których do
dzisiaj przetrwał ślad w posta-
ci z niemieckimi brzmieniami naz-
wisk, żyli w mieście do II woj-
ny światowej, skąd także część
— już po wojnie — wróciła w
swoje rodzinne strony. Żydzi
trwali w Pyzdrach do końca.
Wymiotili ich z miasta dopiero
nazistowski plomien nienawis-
ci. Zanim jednak odeszli pod ścia-
ny straceń i do komór gazo-
wych, musieli — spędzani na
wybrukowany kocimi łbami
rynek pyzderski — lyżeczkami
od herbaty wyczyścić z trawy
i wszelkiego innego zilska całą
połąk rynku i przylegających
doń uliczek. (...) Wydawać by
się mogło, że ślad żydowski w
Pyzdrach kończy się na archi-
tekturze paru uliczek i syna-
gogze przebudowanej na po-
trzeby jakiegoś miejscowego
zakładu pracy. Można tak do-
mniemywać z tej choćby racji,
że — jak się niedawno okazało
— Torą z pyzderskiej bóżnicy
jakaś kobieta wytapetowała
chlewik i kurnik (różne są spo-
soby oganiania), zaś skózaną
oprawę tejszy Tory używała ja-
ko chodniczka przykrywającej
go kołnierz deski kuchennej
podłogi. Można tak mniemać i
dlatego jeszcze, iż w czasie
wojny Niemcy z kamieniami
nagrobnych żydowskiego cmenta-
rza zbudowali magazyn paliw
dla miejscowej elektrowni (bu-
dynynek ten, a właściwie bun-
kier wpuszczony w skarpe uli-
cy Nadzecznej, stoi i ma się
dobrze do dzisiaj), zaś nadmiar
tak pozyskanych kamieni wy-
korzystali do umacniania brze-
gów Warty”.

Docieklawy reporter natrafił
w Pyzdrach na ciekawy watek
polsko-niemiecki składający się
z trzech epizodów. Po pierw-
sze — we wrześniu 1939 r. ja-
kaś „patriotyczna” bojówka
(nazwiska oprawców mieszkań-
cy znają) skatowała i zabiła
ewangelickiego pastora, spo-
szczonego Niemca, człowieka
uczciwego i dobrego, którego
niewinnie oskarżono o kontak-
ty z hitlerowcami. Po drugie
— „bohaterami” miejsca me-
czestwa Polaków w wrzeczy-
wistości byli dwaj pijani mę-
czyźni, opluwający się wzaj-
mnie swawogiem, których
zastrzelił policjant niemiecki,
gdyż nie miał czasu ani ochoty
ustalać, o co im chodzi. Po
trzecie — pod koniec wojny
niemiecki urzędnik bezpieczeństwa
stwierdził, że niemal
wszystkich mieszkańców Pyzdr
można było wywieźć do obo-
zu lub zlikwidować na miejscu,
ponieważ donosili na siebie.

CZY STALIN BYŁ ANTYSEMITĄ?

Znany pisarz rosyjski Kon-
stanty Simonow wspomina w
miesięczniku „LITERATURA
RADZIECKA” (nr 5), dyskusje
o Nagrodach Stalinińskich na
posiedzeniach Biura Politycz-
nego KZPR. W marcu 1952 roku
zaskoczyła go pełna irytacji
tyrada Józefa Stalina przeciw-
ko używaniu podwójnych naz-
wisk literatów kandydujących
do nagrody. Stalin powiedział,
że wystarczy pseudonim, po-
nieważ ujawnianie prawdziwe-
go nazwiska niepotrzebnie
wzbudza antysemityzm.

Problem antysemityzmu i
nacionalizmu żydowskiego po-
jawiał się w Związku Radziec-
kim po wojnie. Zastanawiano
się, kto w Biurze Politycznym
jest animatorem wystąpień
przeciwko Żydom. Niektórzy
mówili, że Stalin nie lubi Ży-
dów, bo pochodzenia żydow-
skiego byli członkowie opozycjo-
niści: Trocki, Zinowiew, Ka-
mieniew.

Skoro jednak sam Stalin wy-
stąpił publicznie (w obecności
członków BP i zaproszonych
gości), przeciwko krzewieniu
antysemityzmu, Simonow, do-
szedł do wniosku, że ktoś in-
ny ponosi odpowiedzialność.
Później dopiero przekonał się,
że Józef Stalin mówił nie-
szczerze i udało mu się oszu-
kać naiwnych inteligentów nie-
zadowolonych z przejawów
antysemityzmu.

„Stalin po prostu tego wie-
czoru odegrał przed nami, in-
teligentami, o których rozmo-
wach, wątpliwościach i kon-
sternacjach był najpewniej do-
statecznie poinformowany —
odegrał spektakl na temat: Ja-
paj złodzieja, dając nam do
rozumienia, iż to, co nam się
nie podoba, ma swe źródło w
Bóg wie kim, tylko nie w
nim”.

Ze wspomnień Simonowa wy-
nika, że Stalin bardzo intere-
sował się literaturą, sugerował
autorom różne poprawki i oso-
biście decydował o przyznaniu
najwyższej nagrody.

E. L.

20 czerwca - we wtorek wręczenie nagrody „Odgłosów”

Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnia-
nie kultury w roku 1988 ma zaszczyt powiadomić, że
uroczyste wręczenie jej laureatowi — ANDRZEJOWI
MIKOŁAJCZYKOWI — dyrektorowi Muzeum Archeo-
logicznego i Etnograficznego w Łodzi, odbędzie się w lo-
kalu redakcji (sala konferencyjna, XII piętro), we wto-
rek, 20 czerwca 1989 roku, o godzinie 15.

Z kół zbliżonych donoszą...

Z OSTATNIEJ CHWILI

Jak się dowiedzieliśmy, w poniedziałek (12.06. 1989) powołano
nowych kandydatów na posłów z listy krajowej. Łódź otrzyma-
ła mandat do obsadzenia. Do mandatu tego zgłoszono 2 kandyda-
tów. Jednym z nich jest MAREK BARTOSIK, lat 48, żona Iwo-
na, z zawodu inżynier elektryk, pracownik naukowy Politechniki
Łódzkiej, docent dr habilitowany, dyrektor Instytutu Aparatury
Elektrycznej PŁ.

Nie pali, lubi politykę i zwierzęta. Nie znosi głupoty, rutyny,
i arogancji we wszelkiej formie. Od IX Zjazdu PZPR jest za-
stępca, a potem członkiem KC. Jest współtwórcą uchwał X Ple-
num KC. Brał udział w obradach „okrągłego stołu”. W KC
PZPR należy do grupy reformatorów. Był współtwórcą struktur
poziomych przed IX Zjazdem, a także twórcą koncepcji, że Zjazd
przygotowują delegaci. Działal w łódzkim zespole delegatów.

O mandat w Sejmie PRL walczy 18 czerwca 1989 r. z WIKTO-
REM PYRKOSZEM — dyrektorem Zakładów Tekstylnych-Kon-
fekcyjnych „Teofilów”, członkiem Biura Politycznego KC PZPR.

NICOLAE CEAUSESCU w JEDNYM Z UDZIELONYCH nie
tak dawno wywiadów, pytany o ocenę przemian zachodzących w
ZSR i innych krajach socjalistycznych, stanowczo stwierdził, iż
dotychczasowe osiągnięcia Rumunii pozwalają zakładać, że około
2000 roku stanie się ona wszechstronnie rozwiniętym krajem so-
cjalistycznym. Rumuński przywódca wyraził także pogląd, iż: „Nie
ma u nas nic co należałoby zmieniać, a istniejące u nas formy
odpowiadają rumuńskiemu społeczeństwu, stwarzając dobre per-
spektywy jego rozwoju w dalszych etapach (...)”.

W ŁODZI przed Wysokim Obliczem Sądu Wojewódzkiego
(Wydział I Cywilny) toczy się od ponad dwóch miesięcy wielce
ciekawy proces (akt 1 C 27/89). „Andrzej Sz. przeciwko Lucju-
sowi W. i innym o ochronę dóbr osobistych”. (...) — że zacytuje-
my fragmenty wokandy. Naczelną „Odgłosów” w roli pozwane-
go? A w grę wchodzi owo enigmatyczne wielce zniesławienie...
A czemu nie! W tajemnicy tylko dodam, że taki proces marzył-
by się wielu kolegom po piórze, ale po pierwsze — trzeba sobie
zasłużyć, po drugie (to do przyszłych powodów) — trzeba nie-
stety udowodnić, że ktoś nam te niemiłą opinię zszargał fak-
tycznie. Prezes Sz. kilka, enuncjacji prawowych na łamach
„Odgłosów” na temat swój i kierowanej przez siebie spółdzielni
tak właśnie odebrał — no i się zaczęło. I jeszcze mam wrażenie
parę miesięcy potrwa, bowiem na razie jesteśmy na etapie
wysłuchiwań świadków powoda, a Wysoki Sąd postanowił między
innymi zapoznać się z aktami innej sprawy, w której występo-
wała również kierowana przez prezesa Sz. spółdzielnia „C”, a
także protokołami posłuszczyńnymi w tejże.

Nie zdradzając przedwcześnie kulisów sprawy i zachowując
niezbędny obiektywizm mogę tylko dodać, że prezes Sz. oprócz
elokwencji zadziwiał sądowym obyczajem. Wystarczy stwierdzić, że
ani raz nie zdarzyło się, by do Wysokiego Sądu zwrócił się
„Proszę pana”.

Zebrał: DARIUSZ D.

Jeśli chcecie regularnie i do domu otrzymywać „Odgłosy”!

Do redakcji z taką ofertą zwróciła się firma „TOFIX”, która
proponuje od 1 września 1989 roku dostarczanie „Odgłosów” do
domu lub do instytucji państwowych, spółdzielczych i innych
tego samego dnia, w którym ukaże się pismo.

Na początek takim kolportażem objęto by Czytelników z WI-
DZEA i POLESIA a następnie W CAŁEJ ŁODZI. W dalszej
przyszłości również w innych miastach Polski, z tym że nie w
dniu ukazywania się pisma.

Koszta takiej prenumeraty: cena pisma plus 200 zł miesięcz-
nie.

„TOFIX” zgłoszenia przyjmuje do 30 czerwca 1989 roku. Zgło-
szenia należy nadsyłać pod adresem: „TOFIX”, 90-980 ŁÓDŹ,
skrytka pocztowa 61. Zamawiający podaje imię, nazwisko, do-
kładny adres i tytuły pism, które razem z „Odgłosami” pragnie
zamówić.

Jeśli więc chcesz regularnie otrzymywać w domu nasze pismo i inne - odpowiedź na ofertę „Tofixu”.

REDAKTOROWI

ANDRZEJOWI MAKOWIECKIEMU

wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

T E S C I A

STANISŁAWA MIECZYŚŁAWA
HORSKIEGO-HOROŃCZYKA

składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

Historia nasza nie zna drugiego tak wielkiego, masowego ruchu społecznego, jak ten, który został zapoczątkowany przed dziesięcioma laty w lipcu i sierpniu. Trudno dziś z całą pewnością stwierdzić, jakie miejsce w polskim procesie historycznym zajma podjęte wówczas zmiany. Historiografia wymaga odpowiedniego dystansu. Ale można już dokonać wstępnego, hipotetycznego rozpoznania, co jest właśnie celem mojego artykułu.

Reformy odbywające się od połowy 1980 r. powszechnie przyjęto nazywać „odnową”. Jest to jednak pojęcie nieadekwatne, balastrujące i niefortunne ideologicznie. Sugeruje bowiem, że chodzi o przywrócenie dawnego kształtu czemuś, co się po prostu zestarzało i wypaczyło. A przecież nie renowacja i restauracja była celem milionowych rzesz uczestniczących w strajkach i demonstracjach. Masy te pragnęły nie odnowy, lecz radykalnej odmiany. To już lepszy niż „odnowa” był przedwojenny termin „sancja”, czyli uzdrawianie. Podobnie zresztą jak wówczas, tak i obecnie, mamy do czynienia z chorym organizmem społecznym Rzeczypospolitej.

Już w listopadzie 1980 roku, na spotkaniu z ówczesnym premierem Józefem Piłsudskim, postawiłem tezę, którą nadal podtrzymuję, że w sierpniu 1980 r. wybuchła w Polsce rewolucja społeczno-polityczna. Była to Wielka Rewolucja Sierpniowa, w której naród nasz może być dumny. W krótkim czasie zbuntowane masy zorganizowały się przeciwko istniejącej władzy.

Czym jest rewolucja?

Jakie są jej podstawowe cechy? Otóż każda rewolucja stanowi przede wszystkim gwałtowne przyspieszenie biegu procesu historycznego i przerwanie jego ciągłości. Jest wielkim żywiołem społecznym, burzą dziejową. Nieprzypadkowo rewolucja jest rodzajem żeńskim, gdyż tak jak kobieta ma naturę emocjonalną, irracjonalną i zagadkową; często działa wbrew sobie, zachowuje się historycznie i nieobliczalnie. Niccolò Machiavelli powiedziałby, że — jak kobieta — daje młodym i zachwala.

Rewolucja społeczna polega na ustanowieniu takich form społeczno-ekonomicznych i polityczno-prawnych, które odpowiadają postępowym siłom wytwórczym. Jest przejściem od niższej do wyższej formacji i epoki historycznej. Tak pojęta rewolucja miała miejsce w Polsce wraz z wyzwaniem naszych ziem spod o-

Jeśli jednak po wojnie miała miejsce rewolucja — i to rewolucja socjalistyczna — jak w takim razie można mówić o Rewolucji Sierpniowej 1980 roku? Otóż rewolucje społeczne nie odbywają się z dnia na dzień, lecz są długotrwałym procesem przeobrażeń, w którym często da się wyodrębnić kilka etapów. Krótko trwają jedynie najbardziej spektakularne momenty, jak zdobycie Bastylii czy szturm na Pałac Zimowy. Natomiast przemiany w gospodarce, polityce i kulturze wymagają nieraz dziesięcioleci. Karol Marks pisał, że w przypadku hamowania rozwoju sił wytwórczych przez stosunki produkcyjne i nadbudowy następuje epoka rewolucji społecznej. Podobnie Włodzimierz Lenin zwracał uwagę, że rewolucja — „to nie jedna bitwa, lecz epoka szeregu bitew”.

Moim zdaniem Sierpień zapoczątkował kolejny etap rewolucji. Była to rewolucja, która miała na celu: po pierwsze — naprawienie błędów powstałych w toku urzeczywistniania socjalizmu, oraz po drugie — wprowadzenie efektywnych, sprawiedliwych, demokratycznych form społeczno-ekonomicznych i polityczno-prawnych, lepiej dostosowanych do nowych sił wytwórczych i aspiracji narodu. Głównymi hasłami Rewolucji Sierpniowej były: sprawiedliwość, równość, wolność, prawda. Świadczy to, że ideały socjalistyczne mocno zakorzeniły się w świadomości obywateli, chociaż dość rzadko kojarzono je z marksizmem i komunizmem.

Zasadniczą przyczyną wydarzeń sierpniowych, jak każdej rewolucji, było to, że istniały stosunki własności, kooperacji i dystrybucji uniemożliwiające uzyskanie znacznie wyższej wydajności pracy oraz korzystniejszych i sprawliwiej rozdzielonych efektów ekonomicznych. Młode i nowoczesne siły wytwórcze nie mogły w pełni ujawnić swych realnych możliwości bez radykalnej reformy gospodarczej. Jak zazwyczaj bywa w rewolucji, nastąpił wtedy, kiedy „doły” już zdecydowanie nie chciały, a „góra” nie mogła dalej żyć i działać po dawnemu. Władza rozumiała konieczność reform i do nich przystępowała, czemu zresztą dał wyraz VIII Zjazd PZPR. Ale tak to już jest, że „najniebezpieczniejszą chwilą dla złego rządu bywa zwykła ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy” (Alexis de Tocqueville). Ludzie, zamiast się cieszyć, są coraz bardziej niezadowoleni — reagują w sposób paradoksalny: im lepiej, tym gorzej. Albowiem zło ustępuje wolno, a wrażliwość na nie i oburzenie wzrasta lawinowo.

Dlaczego rewolucję naszą opanował anarchizm i reakcyjny żywioł mieszczański?

Moim zdaniem winę za to ponosi, niestety, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. W dość znanej uchwale Plenum Komitetu Zakładowego PZPR Łódzkiego Zakładów Radiowych „Fonica” z 14 listopada 1980 roku słusznie postulowano: „Dziś partia winna stać się natychmiast siłą napędową rewolucji i stanąć na jej czele, gdyż, inaczej zostanie zmieciona przez żywioł historii”. Jednakże PZPR nie potrafiła w takich warunkach wystąpić w roli awangardy klasy robotniczej i oddać inicjatywę opozycji. Już w rozmowach w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu przedstawiciele partii znaleźli się wobec reprezentantów robotników po przeciwnej stronie stołu. Partia, która z nazwy i powołania powinna wyrażać interesy klasy robotniczej, nie umiała nawiązać z nią kontaktu i zdobyć zaufania. Było to wielką tragedią tysięcy uczciwych komunistów i patriotów Polski.

A triumfujące mieszczaństwo rozniecało płomień anarchii i wyniszczało kraj nekany i tak już ciężkim kryzysem. Mnożyły się żądania i wydłużały przestoje zakładów pracy. W szale radości twórczości wymyślano i organizowano strajki: ostrzegawcze, właściwe, solidarnościowe, wspomagające, okupacyjne, czynne, wahadłowe, rotacyjne, kroczące, nekające, głodowe, generalne, powszechne... I twarzą domagano się zapłaty za nie... A wszystko to miało być dla dobra Narodu i Ojczyzny, więc odbywało się w patriotycznej oprawie plastycznej i z pieśnią — „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Bez elementarnego wstępu wyciągano ręce po dary zagraniczne, ale równocześnie mówiono o godności i honorze. Używano bardzo dużo wielkich i wzniosłych słów. Friedrich Dürrenmatt wyrażał pewnie, że nie dziwnego, gdyż obywateli „wzbogacił się i jako dobrodziejcy używają języka bardziej wyszukanego”.

W burzliwych miesiącach od Sierpnia 1980 do Grudnia 1981 roku ujawniły się różnorodne postawy polityczne i rozwinął się mit jedności ideowo-moralnej narodu. Najbardziej szokujące było, że z takim zaślepieniem walczono o interesy partykularne i całkowicie abstrahowano od tragicznej sytuacji kraju. Naród ludowy zachowywał się analogicznie jak niegdyś szlacheczki. Charakterystycznym przykładem drugiej połowy XVIII wieku historyk francuski Albert Sorel podkreślał, że Polacy mają sporo pięknych zalet, ale „na nieszczęście Polski każdy oddawał tam swoje cnoty na służbę partii. Każda partia widziała w sobie Rzeczypospolitą: chcąc wziąć górę nad przeciwnikiem nikt nie odczuwał skrupułów, gdy używał cudzoziemców na pomoc, za nieprzyjaciół wszystkich pociągali frakcje współzawodniczące. Można powiedzieć, że w Polsce wszyscy z wyjątkiem Rzeczypospolitej mieli swoje partie, a Polacy liczyli na wszystkich, tylko nie na siebie”.

W niedzielę, 13 grudnia 1981 roku na terytorium całej Polski wprowadzono stan wojenny.

Była wówczas surowa zima. Na pokrytych śniegiem i skutych mrozem ulicach pojawiły się czołgi, transportery opancerzone, silne patrole wojskowe i milicyjne. Zamknięto granice państwowe, przerwano połączenia telefoniczne, zabroniono wychodzić z domu w godzinach nocnych. Poinformowano o utworzeniu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego z przewodniczącym gen. armii Wojciechem Jaruzelskim. Radio i telewizja nadawały komunikaty wojenne. Pojawiły się nadzwyczajne wydania gazet. Niektóre instytucje i zakłady zostały zmilitaryzowane. Internowano wielu działaczy NSZZ „Solidarność” na czele z Lechem Wałęsą oraz niektórych prominentów ekipy politycznej Edwarda Gierka.

W społeczeństwie polskim, a także za granicą powiało grozą. Stan wojenny szczególnie dla kobiet i ludzi starszych był szokiem. Część narodu przyjęła go jednak z ulgą bądź nawet z entuzjazmem. Przerwał bowiem „niebezpieczną eskalację strajków i demonstracji. O stosunku społeczeństwa do stanu wojennego świadczyć późniejsze badania socjologiczne.

W środowisku naukowym za najbardziej wiarygodne uchodzą badania z serii „Polacy” prowadzone przez zespół pod kierownictwem prof. Władysława Adamskiego. W połowie 1984 roku zapytano reprezentatywną grupę Polaków w wieku ponad 18 lat, czy ich zdaniem decyzyjnie wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. była słuszna czy niesłuszna? Uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: zdecydowanie słuszna — 26,0 proc., raczej słuszna — 29,7 proc., raczej niesłuszna — 13,4 proc., zdecydowanie niesłuszna — 13,3 proc., trudno powiedzieć — 17,0 proc., brak odpowiedzi — 0,6 proc. W sumie więc twierdząco odpowiadało 55,7 proc., a przecząco 27 proc. respondentów.

Półtora roku później, jesienią 1985 r. powtórzono to samo pytanie. I uzyskano dość podobny rozkład odpowiedzi: zdecydowanie słuszna — 25,8 proc., raczej słuszna — 29,0 proc., raczej niesłuszna — 11,8 proc., zdecydowanie niesłuszna — 3,2 proc., trudno powiedzieć — 26,2 proc. Tym razem poparło stan wojenny 54 proc. Polaków, a potępilo 20 proc. Zwiększył się udział osób bez zdania, a zmalał odsetek przeciwników.

Stan wojenny inaczej oceniali członkowie „Solidarności” niż członkowie związków branżowych. W pierwszej grupie było o 6,0 proc. zwolenników oraz 42 proc. przeciwników (reszta nie miała zdania), a w drugiej aż 75 proc. (trzy czwarte) zwolenników i tylko 11 proc. przeciwników. Najmniej zwolenników (33 proc.) i najwięcej przeciwników (63 proc.) stwierdziło wśród członków „Solidarności” Rolników Indywidualnych i „Solidarności” Wiejskiej.

Pewnym zaskoczeniem dla kręgów opozycyjnych była ocena stanu wojennego dokonana przez znanego filozofa i etyka katolickiego Andrzeja Grzegorzczaka. W artykule na łamach „Polityki” (nr 13 z 1983 r.) przypomniał koncepcję wojny sprawiedliwej św. Augustyna i konkludował:

„Postawił on mniej więcej takie trzy warunki: 1. Prawdopodobieństwo, 2. Pewność zwycięstwa, 3. Pewność tego, że wyrządzone zło będzie mniejsze od tego zła, którego się unika. Przypuszczam, że Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego ma duży stopień pewności, że spełnia warunki św. Augustyna, większy niż wielu innych, którzy również prowadzili tzw. wojny sprawiedliwe”.

Wracając do badań zespołu prof. Władysława Adamskiego, warto podać, kogo winią Polacy za to, że wprowadzono stan wojenny. Na pytanie: „Kto Pana(i) zdaniem odpowiada za konflikty i napięcia, które w konsekwencji doprowadziły do stanu wojennego?” — uzyskano w połowie 1984 r. ciekawy rozkład odpowiedzi: wyłącznie władza — 15,1 proc.; głównie władza, ale również „Solidarność” — 19,1 proc.; w jednakowym stopniu władza i „Solidarność” — 35,3 proc.; głównie „Solidarność”, ale również i władza — 9,6 proc.; wyłącznie „Solidarność” — 5,5 proc.; trudno powiedzieć — 14,7 proc.; brak odpowiedzi — 0,7 proc.

Nie można dziś zapominać, że pod koniec 1981 r. Polska znalazła się na skraju przepaści. Niebezpieczną ewolucję najlepiej ukazuje spadek wytworzonego dochodu narodowego. Jeśli przyjmujemy dochód w 1970 roku za 100 (ceny stałe), to w interesujących nas latach osiągał następujące wskaźniki: 1978 r. — 184 (apogeum), 1979 r. — 180, 1980 r. — 169, 1981 r. — 149, 1982 r. — 141 (najniższy spadek), 1983 r. — 139, 1986 rok — 171. Jeszcze gorzej wygląda to na przykładzie podzielonego dochodu narodowego, który w latach 1978—1982 zmalał z poziomu 189 do 137 i sięgnął w 1986 roku 166.

Stan wojenny powstrzymał rewolucję niezdolną do samoograniczenia, lecz nie mógł cofnąć kraju do stanu przedrewolucyjnego. Jest to zresztą znana socjologom prawidłowość historyczna. Jan Szczepański trafnie zauważa:

„Trzeba podkreślić, że nawet klęska rewolucji wprowadza daleko idące zmiany i żadna restauracja dawnego porządku nie może go przywrócić w pełni”.

W dziejach powszechnych zdarzało się nieraz, jeśli sytuacja dojrzała do rewolucji społecznej, że nawet te rządy, które pokonały rewolucję, zmuszone były w jakimś stopniu realizować jej cele. Siły przeciwne rewolucji nie mogą odwrócić biegu dziejów, lecz mogą jedynie chwilowo go powstrzymać bądź zmniejszyć tempo przemian. A poza tym — niezależnie od wszelkich rewolucji i kontrrewolucji — nieuchronnie przemija każda postać tego świata.

Stan wojenny powstrzymał rewolucję niezdolną do samoograniczenia, lecz nie mógł cofnąć kraju do stanu przedrewolucyjnego.

Czym był Sierpień '80 w Polsce?

EDMUND LEWANDOWSKI

kupacji hitlerowskiej i po zakończeniu II wojny światowej. Wyzwoleniu narodowemu towarzyszyło społeczne.

Rewolucje bywają wojenne lub pokojowe, endogenne lub egzogenne. Nasza była częściowo zbrojna i częściowo egzogenne. W wojnie domowej poległo ponad 30 tysięcy obywateli. W tej liczbie mieści się 6267 funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej, 2705 żołnierzy Wojska Polskiego, 628 żołnierzy KBW, 625 członków ORMO, 336 żołnierzy WOP, 12 tys. cywilnych działaczy PPR, PPS, SL, SD i nawet PSL oraz 9—10 tys. osób z „obozu londyńskiego”.

Dla ostatecznego zwycięstwa lewicy ważne znaczenie miało, rzecz prosta, zewnętrzne wsparcie Armii Czerwonej i Związku Radzieckiego. Ale była to autentyczna rewolucja polskich robotników i chłopów. Bardzo szybko rosły szeregi Polskiej Partii Robotniczej, która w końcu 1946 r. skupiała już 556 tysięcy członków, w tym 65 procent robotników i 23 procent chłopów. Po stronie sił postępowych opowiadało się wielu wybitnych intelektualistów. Na łamach lewicowej „Kulicy” — prowadzącej walkę ze środowiskami reakcyjnymi i upowszechniającej myśl marksistowską — pisali między innymi: Zofia Nałkowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Borowski, Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Tadeusz Kotarbiński, Stanisław Ossowski, Witold Kula. Złożyliwie ustosunkowany był do władzy ludowej kardynał Adam Stefan Sapieha.

Niemniej jednak spora część naszego społeczeństwa — wychowanego w duchu antykomunistycznym i antyradzieckim — niechętnie i wrogo odnosiła się do przemian socjalistycznych. Dużą rolę w tym froncie sprzeciwu odgrywał Kościół. Zwiastwo rewolucji socjalistycznej nie oznaczało więc końca zmagania o polityczne oblicze i kierunek rozwoju naszego kraju. Na wiecu protestacyjnym przeciwko zbrodnim reakcji, 18 października 1944 roku, Władysław Gomułka mówił:

„Tym, którzy wypychają broń do rąk ślepych morderców, śni się Polska sanacyjno-ozonowa, Polska Becków, Smigłych i Składkowskich. Śni im się Polska, w której wartość człowieka i obywatela mierzona była tytułem księcia-pana, tytułem hrabiego obszarnika, księga bankiera, zbita na krwi i pocie tysięcy i milionów najemnych niewolników. Śni im się Polska piramidy społecznej, na której wierzchołku staną oni — polscy magnaci, trunicy przyłasczonej sobie pracę farnal na rulantach w Monte Carlo i na Riwierze. Śni im się Polska karteli i syndykatów z setkami tysięcy złotych dyrektorskich pensji miesięcznych — przy równoczesnej półtoro- czy dwuzłotowej dźwignie proletariatu, wystającego pokornie za pracą pod bramami fabryk i przedsiębiorstw”.

W powojennej Polsce odbywał się skomplikowany proces budowy socjalizmu. W jego toku wywłaszczono wielką własność ziemską, uspołeczniono podstawowe środki produkcji, dokonano uprzemysłowienia i urbanizacji. Nastąpił olbrzymi wzrost klasy robotniczej i pochodzącej z ludu inteligencji, rozwój kultury i oświaty. Zniknęły zjawiska bezrobocia, skrajnej nędzy i ciemnoty. Ale nie udało się uniknąć szeregu poważnych błędów. Powojenne dzieje kraju to, z jednej strony, mnóstwo wspomnianych i zadziwiających świat dokonanych, a z drugiej — historia wielu zmarnowanych szans oraz monstrualnego marnotrawstwa sił i środków. Nie rozwijaliśmy się po linii prostej, lecz notowaliśmy liczne wypaczenia, zahamowania i tragiczne konflikty — znaczone pomnikami w Poznaniu, Radomiu, Gdańsku, Szczecinie.

Trzeba pamiętać, że aktualny kryzys jest dziełem elity władzy rekrutującej się z ludu, która objęła władzę w wyniku powojennej rewolucji. Placimy dziś za ignorancję i arogancję tych osób, a także za nasz brak czułości bądź odwagi. Należy zdawać sobie sprawę, że zło utrzymywało się dzięki tchórzostwu, asekurantw i wygodnictwu setek tysięcy ludzi. Najbardziej smutne jest to, że promieniści wywodzący się z klas robotniczej i chłopskiej ulegli tak znacznej demoralizacji. Plebejusz stał się burżujem jak niegdyś mieszczański szlachcicem.

Zjawisko degeneracji elity wywodzącej się z ludu dobrze poznała swego czasu Francja, kiedy na początku XIX wieku sławni dowódcy armii napoleońskiej i działacze rewolucji — synowie chłopów, drobnych rzemieślników, sklepikarzy, oberżystów — przeobrażili się w butnych, oderwanych od mas bogaczy, grzęznących w bagnie małostkowego egoizmu, obudy i oszustwa.

Starożytna maksyma chińska głosi, że jeśli ludzie na wysokich stanowiskach są arogancy, to zdążają ku nieuniknionej zgubie.

Ale skąd ówa arogancja u ludzi, którzy sami pochodzą przecież spośród ludu? Moim zdaniem jest to postawa szczególnie głęboko zakorzeniona w psychice narodu polskiego, a najbardziej ujawniająca się u społecznych i politycznych parweniuszy. W Polsce — jak wskazywał Melchior Wańkowicz — „z chwilą gdy wyawosowany syn chłopski siadał z tamtej strony okienka, przed klientem pojawiał się jeszcze jeden półpanek”.

W pierwszej fazie naszej rewolucji jej siłą napędową — co tak jest prawdziwością socjologiczną — wcale nie byli najbiedniejsi, lecz raczej dobrodziejcy, których rozbudzone nadzieje na dalsze bogacenie nieoczekiwanie załamały się w obliczu kryzysu. Uświadomili sobie ponadto, iż system jest niesprawiedliwy, że innym niesłusznie wiedzie się znacznie lepiej. Wszystko to wywoływało w nich stan frustracji i agresji. Na cele wystąpienia strajkowych — znowu zgodnie z logiką historii — stanęli ludzie młodzi, najbardziej wrażliwi i odważni. Przy czym początkowo prym wiodły osoby umiarkowane, skłonne do kompromisu, a później zaczęli dominować ekstremiści. Tego rodzaju bieg wydarzeń, znając historię rewolucji, łatwo można było przewidzieć. Każda prawdziwa rewolucja ma charakter spontaniczny i niejednokrotnie zaskakuje nawet partie rewolucyjne. Tak też i było w Polsce. Mimo rozpaczyliwych wysiłków z różnych stron, żywioł społeczny wymykał się spod kontroli, nabierał cech anarchicznych. W sferze politycznej — jak w innych rewolucjach — ukształtował się stan dwuwładzy. Państwo było sparaliżowane, kryzys się pogłębiał, naród stanął przed widmem głodu i wojny domowej.

Historia uczy, że każdej rewolucji społecznej towarzyszyła kontrrewolucja, wewnętrzna i zewnętrzna.

Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ przeciwieństwa zawsze występują parami. Jest to elementarne prawo przyrody i społeczeństwa. Toteż kontrrewolucja nie mogła ominąć i nie ominie Polski.

Co było w naszych warunkach kontrrewolucją? Przede wszystkim dążenie do zmiany ustroju socjalistycznego i zastąpienie go kapitalistycznym. Trudno określić, jak wielką zbiorowość reprezentowała taką orientację ideowo-polityczną. W każdym razie większość społeczeństwa, co wykazały późniejsze badania socjologiczne, opowiadała się za ustrojem socjalistycznym.

Bezpośrednim celem kontrrewolucji było całkowite zdyskredytowanie dorobku Polski Ludowej i wyeliminowanie do władzy komunistów. Przy czym program minimum sił antykomunistycznych przedstawiał się następująco: zdobycie władzy, a Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej pozostawienie rządu.

Trzeba jednak rozumieć, że nie wszyscy przeciwnicy PZPR pragnęli i pragną likwidacji socjalizmu. Partia popełniła tak wiele błędów, że znaczna część społeczeństwa jest jednocześnie za socjalizmem oraz przeciwko PZPR. W grupie tej partia jest nie tylko skompromitowana, lecz wręcz znienawidzona. Ludzie ci wierzą, że gdyby nie PZPR i ZSRR, to mielibyśmy wszystkiego w bród, kraj byłby bogaty i potężny.

Jak już wspominałem, zarzewiem wystąpienia sierpniowego nie byli najbiedniejsi, lecz dorabiający się. Jacek Kurczewski (socjolog, doradca NSZZ „Solidarność”) twierdzi, że mieliśmy do czynienia z buntem „klas średnich”. W połowie 1981 roku pisał on:

„Jest to bowiem protest ludzi o względnie dobrych, często nawet wysokich zarobkach, protest ludzi mniej lub bardziej, ale wykształconych, protest ludzi, którym oficjalnie, ale i rzeczywiście przysługują się wysoki prestiż społeczny”.

Jego zdaniem „Solidarność” była sojuszem klas średnich: pracowników umysłowych i robotników wykwalifikowanych. Zgadzam się z tym poglądem, gdyż już wcześniej wypowiadałem i publikowałem podobną ocenę.

„Średniość” — społeczna i ideologiczna — od samego początku ciążyła nad Rewolucją Sierpniową i stwarzała dla niej poważne niebezpieczeństwo. Z biegiem dni i miesięcy wielki ruch społeczny coraz bardziej nabierał charakteru drobniomieszczańskiego i reakcyjnego. Przypomina się w związku z tym znamienny fragment „Biesów” Fiodora Dostojewskiego o sprytnym sztucze fortepianowej skomponowanej przez „Żydka Lamszyna”. Utwór rozpoczynał się od rewolucyjnej, pewnej swego zwycięstwa „Marsylianki”, do której po chwili dołączył słaby motyw mieszczańskiego walczyka „Mein lieber Augustin”. Dumna melodia rewolucji ignorowała intruza, lecz ten wciąż narastał, zuchwał wplatał się w jej taktę, wyprowadzał z równowagi i poniżał. Aż w końcu dźwięki „Marsylianki” stopniowo przeszły w dźwięki „Augustina” i dostosowały się do jego taktu. I w ten sposób piękna „Marsylianka” przekształcała się w „obrzydlivego walczyka” i całkowicie się mu poddała.

Jest to niezwykle ciekawa alegoria zalewania rewolucji przez wartości i dążenia mieszczaństwa. Autor tej pomysłów sztuczki, człowiek cyniczny, szaragający największe świętości, był członkiem konspiracyjnej grupy spiskowo-terrorystycznej. Aresztowany zeznał, że prowadzono działalność w celu wywołania buntu i spowodowania rozkładu społeczeństwa, pograżenia go w anarchię, aby ludzie potracili głowy i zostali doprowadzeni do stanu, w którym zapragną „jakieś myśli kierownicze i samozachowania” i można będzie nad nimi zapanować.

których obok czołgów lekkich wystąpią samochody pancernie, oddziały zmotoryzowanej piechoty oraz baterie (artylerii), poruszające się w dowolnym terenie. W pościgu grupy czołgów występować mogą w pewnych przypadkach w sposób bardziej samodzielny.

Pomimo tak wielkiego wzmożenia ich roli czołgi nie zastąpią w niedalekiej przyszłości całkowicie kawalerii i nie zniwelują znaczenia nowoczesnej piechoty. Jakkolwiek nie należy zapominać, że dzisiaj studiujemy się walkę czołgów przeciw czołgom, w której tanki najcięższego typu odgrywać będą rolę, jaka przypada dreadnoughtom (pancernikom, okrętom liniowym) na morzu. Na przyszłość zatem możliwości czołgów wzrosną tak poważnie, że staną się one jedną z najważniejszych broni.

W Polsce w 1939 roku daleko było do takiej sytuacji. Wprawdzie pod względem ilości czołgów pancernych zajmowaliśmy latem 1939 roku 7 miejsce w świecie. ZSRR dysponował około 10 000 czołgów pancernych, Niemcy — 3 500, Francja — 3 300, Japonia —

bość 14—15 mm. Silnik miał moc 82 KM. Na szosie rozwijał prędkość 19 km na godzinę, a w terenie 12 km na godzinę. Jego zasięg wynosił: po szosie 140 km, w terenie — 80 km.

Dla porównania najcięższy czołg Wehrmachtu — Pzkw-IV C, ważył 20 ton. Obsługiwało go 5 pancerniaków. Dysponował jednym działem kalibru 75 mm i dwoma km kalibru 7,9 mm. Pancernik miał grubość od 8 do 30 mm. Silnik miał moc 300 KM. Na szosie rozwijał prędkość 40 km na godzinę, a w terenie 20 km. Miał zasięg: po szosie 200 km, w terenie 120 km.

Armia „Łódź” dysponowała: 39 TKS i 52 TK-3. Plus 16 samochodów pancernych wzór 34. Dysponowała 41, 42, 91, 92 kompaniami czołgów rozpoznawczych. W brygadach kawalerii były: w Wołyńskiej BK 21 dywizjon pancerny, w Kresowej BK — 61 dywizjon pancerny.

TKS i TK-3 były to tankietki. Służyły one do pancernego rozpoznania. Były niskie, miały gąsienice. Charakterystyczny był ich kształt: przedział dowódcy i przedział bojowy.

TKS ważył 2,7 tony, obsługiwało go 2 pancerniaki, miał km kalibru 7,9 mm. Pan-

Polska broń pancerna wywodziła się z kawalerii

Żołnierze broni pancernej nosili na kombinezonach trójkątne proporczyki czarno-pomarańczowe. I pomarańczowe otoki na czapkach. W 1937 roku wprowadzono do munduru polowego czarne berety.

Wacław Zaleski w książce „W Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej” tak opisuje umundurowanie pancernika. Dotyczy to w zasadzie umundurowania żołnierzy 1 Pułku Strzelców Konnych Raszyńskich, ale było ono typowe i dla innych.

„Ubiór kawalerski — strzelców konnych, stanowiły bryczesy i długie buty, a nakrycie głowy polowe i ćwiczebne — czarny beret z orzełkiem, proporczykiem i dystynkcjami, oraz hełm polski wz. 31. Oficerowie i wszyscy kierowcy otrzymali rękawice motocyklowe ze sztywnym mankietem. Na ubraniu polowym były jedynie dystynkcje. Oficerowie zostali wyposażeni w czarne kurtki i dystynkcjami i proporczykami. (...) Mundur wyjściowy nie uległ żadnej zmianie — pozostał taki, jaki był przed motoryzacją pułku”.

Króćki, płk Józef Mularczyk i ostatnie ppłk Stanisław Lewicki. Proporczyk miał szmaragdowo-amarantowy. Otok na rogatywce amarantowy. Zura-wiejka: „Idzie strzelec z Garwolina, dzielna postać, butna mina”.

1 Pułk Strzelców Pieszych, sformowany tuż przed wojną. Dowodził nim płk Leon Wzany. Wyposażony dokładnie tak samo, jak 1 Pułk Strzelców Konnych Raszyńskich.

Dywizjon Rozpoznawczy, którym dowodził mjr Konstanty Kulagowski z 8 Pułku Ułanów im. księcia Józefa Poniatowskiego.

2 Dywizjon Artylerii Motorowej, którym dowodził mjr Franciszek Rafacz.

Dywizjon Artylerii Przeciwpancernej dowodzony przez majora piechoty Michała Bili-ka.

11 i 12 Kompania Czołgów. 7 Batalion Artylerii Przeciwlotniczej. Batalion Saperów i Szwadron Łączności.

Jak wyposażona była Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa?

Popatrzmy może najpierw na wyposażenie 1 Pułku Strzelców Konnych Raszyńskich. Pułk ten dysponował 24 łazikami, 107 motocyklami, 126 samochodami ciężarowymi, które miały 26 przyczep, 44 rowerami i 6 tankietkami TKS. Miał 4 dział przeciwpancernie. Tak samo wyposażony był 1 Pułk Strzelców Pieszych.

Dywizjon rozpoznawczy dysponował natomiast 12 łazikami — były to samochody terenowe polskiej produkcji, 67 motocyklami — były to motocykle polskie „Sokol”, 46 samochodami ciężarowymi z 15 przyczepami i 13 tankietkami TKS. Miał też 4 dział przeciwpancernie i 5 karabinów przeciwpancernych.

Dywizjon artylerii zmotoryzowanej dysponował 5 km, 2 ckm, 4 haubicami 100 mm i 4 armatami 75 mm. Miał 7 łazików, 11 motocykli z koszmami, 60 samochodów ciężarowych z 11 przyczepami, w tym 16 ciągników.

Otóż ogółem Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa dysponowała:

- 235 karabinami maszynowymi,
- 43 ciężkimi karabinami maszynowymi,
- 10 moździerzami,
- 8 miotaczami ognia,
- 8 haubicami,
- 36 armatami i działami przeciwpancernymi,
- 4 działami przeciwlotniczymi,
- 43 karabinami przeciwpancernymi,
- 25 czołgami rozpoznawczymi TKS (tankietkami),
- 16 czołgami lekkimi „Vic-kers”,
- 105 samochodami typu łazik różnie wyposażonymi,
- 392 motocyklami,
- 603 samochodami ciężarowymi, w tym ciągnikami,
- 103 przyczepami, jak kuchnie polowe, jaszczke na amunicję i inne,
- 88 rowerami.

Jerzy Pawlak w książce „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” opisuje działy Pułtonu Lotniczego Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej. Dowodził tym plutonem kpt. obser. Julian Lagowski. Pluton powstał 1 września 1939 roku z personelu Centrum Wyszkolenia Lotnictwa nr 1 w Dęblinie i latał na czym się dało. Latał więc na dwóch „Potezach XXV”, dwóch „Karasiach I” i na jednym „RDW VIII”. Był to zwiad lotniczy. Ale jego dzieje należą już do okresu wojny.

Niestety, obie brygady zmotoryzowane działały poza obszarem operacyjnym Armii „Łódź”. 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej działała w składzie Armii „Kraków”, a Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa w składzie Armii „Lublin”, utworzonej już w toku działań wojennych, 4 września 1939 roku, pod dowództwem gen. Tadeusza Piskora. Ale to już inny rozdział historii polskiej broni pancernej.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Skoro stare struktury są niezdolne do przekształceń, to wniossek stąd prosty: muszą powstać nowe. Rodzą się one w sposób nieformalny, nieoczekiwany i — niestety — nie są „mle widziane”. Ale konieczność taka jest nieodwracalna. Bądźmy zatem zyczliwi i tolerancyjni wobec nowego, choćby jego forma budziła różne początkowe zastrzeżenia. I pamiętajmy: 38 procent dorosłych ludzi w PRL być może czeka na powrót starego.

Z tej ziemi

Trzydzieści osiem procent

1. Owe 38 procent proszę traktować w zaokrągleniu i jako pewien symbol. Jest to liczba ludzi uprawnionych do głosowania, którzy 4 czerwca 1989 roku nie stawili się w lokalach wyborczych. W latach poprzednich, kiedy nie było u nas wyborów, a tylko głosowanie, liczyła się przede wszystkim i jedynie wielkość frekwencji w lokalach wyborczych. W Albanii na przykład — gdzie nadal obowiązuje taki system wybierania przedstawicieli — w ostatnich wyborach wzięło udział 99,99 procent uprawnionych do głosowania. Dokładnie wiadomo, że nie głosowało 17 osób. Ta wielkość frekwencji, która u nas też w minionych latach sięgała 99 procent, miała rzekomo świadczyć o poparcu dla kandydatów FJN Ale — jak dziś wiemy — nie świadczyła. Ludzie chodzili do urn wyborczych z różnych powodów. Jakże często dla świętego spokoju, aby nikt się nie mógł ich z tego powodu cze-piać.

Dziś sytuacja jest inna. Nie o frekwencję chodziło i 62 (w zaokrągleniu) procent wybierających całkowicie zadowala. Pozostała jednak pytanie: dlaczego mimo tak hałaśliwej — a miejscami natrętnej — propagandy ludzie ci nie poszli do lokali wyborczych? Z jakich powodów? I kim są? Oczywiście nie chodzi o to, aby poznać ich z imienia i nazwiska, chodzi raczej o to, aby zrozumieć motyw ich postępowania.

2. Muszę przyznać, że się pomyliłem. I wcale mi nie jest przy-jemnie, że pomylił się dr Wojciech Lamentowicz i dr Zbysław Rykowski. Zakładałem, że będą porażki, że będą baraża, że będą niespodzianki, ale że przegrana koalicji przyjmie takie roz-miary, tego założyć nie mogłem. I nie tylko ja, co nie jest ani usprawiedliwieniem, ani pociechą. Po prostu wszystkim nam za-brakło wyobraźni politycznej, umiejętności przewidywania.

Wojciech Lamentowicz na spotkaniu w łódzkim klubie „Jaw-ność” zakładał, że „Solidarność” zdobędzie 75 procent mandatów w Sejmie i około 25 procent w Sejmiku. W tych 10 procentach mogli się zmieścić przedstawiciele innych ugrupowań opozycyj-nych. Stało się inaczej. Jedyne w Dębicy obsadzono wszystkie mandaty. Koalicja zdobyła tylko 5 mandatów, w tym 2 z listy krajowej. „Solidarność” zdobyła do Sejmu wszystkie mandaty, jak-że były do zdobycia i 92 mandaty do Senatu.

Zastanawiając się nad tym, Zbysław Rykowski od-powiadając na pytanie Johna Daniszewskiego z AP powiedział 30 maja 1989 roku na konferencji prasowej w „Interpresie”:

„...są dobre prognozy wyborcze dla naszej strony. Te wszyst-kie podane przez naszych konkurentów wyniki badań to są wyniki życzeń. Zapewniam Pana, że będzie znacznie dla „Soli-darności” gorzej, niż wykazują wyniki tych badań”.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nadmierna pewność siebie, wykształcona w latach monopolu władzy, zgubiła stronę koalicyjną. Przykładem tego jest lista krajowa. Nie przewidy-wano żadnych trudności, żadnych kłopotów, spodziewano się, że wzorem minionych lat wszyscy wrzucą ją bez skręśleń. I w wy-niku takiej pewności siebie kandydaci z tej listy uzyskali — od 38,76 do 49,98 procent ważnych głosów, i tylko 2 powyżej 50 procent. Na 27 362 313 uprawnionych do głosowania na listę krajową oddało ważne głosy 17 053 171 wyborców, a więc o 3 372 015 ty-sięcy osób więcej niż polowa upoważnionych. Cóż z tego, skoro tylko 2 kandydatów otrzymało mandaty posłów z tej listy. Powstał problem, jak obsadzić 33 brakujące mandaty?

3. Można się domyślać, kto nie poszedł do wyborów? Zapewne ludzie, którzy, leniwi, obojętni na wszystko, ludzie w podróży i temu podobnie. Ale to niczego nie wyjaśnia. Nie poszli ci, któ-rzy nawoływali do bojkotu wyborów, jak na przykład Federacja Młodzieży Walczącej, czy którzy bójdały z odłamów PPS, a jest ich już trzej. Ale to też jeszcze wszystkiego nie wyjaśnia. Nie wypełnia trzecią ówych 38 procent.

Niektórzy są skłonni przypuszczać, że mieszcza się w tej gru-pie ludzi przede wszystkim przeciwnicy wszelkich reform, a więc ludzie nastawieni konserwatywnie, ci, których nazywamy „beton-em” i to nie tylko należą do PZPR, ale i do innych ugrupowań koalicji i opozycji. Byłbym skłonny do takiej koncepcji przychylić się.

4. „Solidarność” niestety dała się złapać w zastawioną przez sie-bie pułapkę. Pułapka była oczywiście zastawiona na koalicję i koalicja w nią wpadła, ale przy okazji pociągnęła za sobą „Soli-darność”. W telewizji pokazano, jak kandydat z Bielska Białej nawoływał do zrobienia komunistom plebiscytu. Instrukcja była wyraźna: — skreślamy wszystkich poza kandydatami „Solidar-ności”. I instrukcje wypełniono dokładnie. Plebiscyt udał się. Tylko nikt nie chciał zastanowić się nad konsekwencjami tego. Teraz Adam Michnik słusznie pisze w „Gazecie Wyborczej”: „Wiarę, że za pomocą wykreślenia wszystkich kandydatów z listy krajowej można zmienić władzę w Polsce, jest złudzeniem”. Powstała zatem sytuacja paradoksalna, „Solidarność” wygrała wybory i nie może — nie tylko nie chce — przejąć władzy, bo fakt ten spowodowałby ogromny zamęt w kraju i mógłby w przyszłości doprowadzić do wojny domowej. „Solidarność” godzi się zatem na powtórzenie w innej formie wyborów kandydatów (niekoniecznie tych samych) z listy krajowej, czego nie prze-widuje „Ordynacja wyborcza”, przeciw czemu są liczni członkowie „Solidarności”. Ale innego wyjścia nie ma. Na tym właśnie polega pułapka do zastawionej na kogo innego pułapki. I to ty-lko potwierdza lansowaną od dłuższego czasu tezę przez wielu ludzi, że nie ma przyszłości Polski bez rozwiązania dylematu poli-tycznego pluralizmu. Nie wolno pluralizmu bowiem ograniczać do dualizmu, a tak się ciągle dzieje. Trzeba więc teraz wspólnym wysiłkiem wybrać kandydatów koalicji, aby można było do-konywać dalszych reform i działać metodami pokojowymi i poli-tycznymi.

5. Mogą sobie różni nieopierzeni politycznie młodzieńcy wykrzy-kiwać na ulicach: „Precz z komuną!”, ale to nie zmienia faktu, że pokojowa przyszłość Polski zależy teraz w głównej mierze od tego, co dokona się w PZPR. W powstałym układzie sił poli-tycznych decydujący krok należy właśnie do komunistów. Partia musi gwałtownie przeobrazić się, musi odrzucić wszystko, co hamuje jej rozwój. Stalinizm umiera w bólach, ale i nowe rodzi się w bólach. Jaki jest stalinizm — wiemy wszyscy, jakie będzie nowe — nikt dobrze nie wie. Ale jedno jest niewątpliwe: trzeba rozstać się z ludźmi ukształtowanymi przez stalinizm, czy — jak kto chce — postalinizm, trzeba umożliwić działanie lu-dziom szukającym nowych rozwiązań i nowego modelu partii. Taka świadomość zdobywa sobie uznanie nie tylko w Polsce, ale na Węgrzech i w ZSRR. Wyraził ją ostatnio na łamach „Mos-kowskich Nowosti” Jewgienij Ambarcumow.

W Polsce, Jugosławii i na Węgrzech przekonano się, a także i u nas na kwietniowym Plenum KC KPZR, że sformowany według starych kryteriów konserwatywno-biurokratyczny apar-at partyjno-państwowy jest nie tylko niezdolny do wypracowania nowej strategii i taktyki działania, ale nawet do jakiejkolwiek obiektywnej i krytycznej samooceny”.

Skoro stare struktury są niezdolne do przekształceń, to wniosek stąd prosty: muszą powstać nowe. Rodzą się one w sposób nieformalny, nieoczekiwany i — niestety — nie są „mle widziane”. Ale konieczność taka jest nieodwracalna. Bądźmy zatem zyczliwi i tolerancyjni wobec nowego, choćby jego forma budziła różne początkowe zastrzeżenia. I pamiętajmy: 38 procent dorosłych ludzi w PRL być może czeka na powrót starego.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Polska broń pancerna

1 200. Wielka Brytania — 1 150, Włochy — 1 000, Polska — 987. W liczbie tej było 313 lekkich czołgów, 574 czołgi rozpoznawcze (tankietki), 100 samochodów pancernych. Jakościowo — u-stępowałyśmy znacznie innym, a przede wszystkim Niemcom. Armia polska dysponowała ponadto 10 pociągami pancernymi.

Pociągi pancerne przeznaczo-ne były do patrolowania tere-nu, samodzielnych zagonów oraz do wsparcia artyleryjskie-go natarcia i przeciwnatarcia. Jak taki pociąg pancerny wyglądał opisuje Aleksander Rummel w książce „Wśród zmian i prze-mian”.

„Pociąg, który nam demon-strowano również w ruchu, składał się z dwóch opancerzo-nych wagonów artyleryjskich, uzbrojonych w jedno działo 75 mm i jedną haubicę 100 mm, umieszczone w wieżach obroto-wych, oraz osiem ciężkich ka-rabinów maszynowych. Opan-czerzona lokomotywa znajdowa-ła się pomiędzy wagonami ar-tyleryjskimi, do których po ich zewnętrznej stronie dołączone były, po jednym, opancerzo-ne wagony szturmowe z czterema ciężkimi karabinami maszyno-owymi”.

Dysponowano pancernymi drezynami „Tatra”, które słu-żyły do kierowania ogniem ar-mat i zwiadów. Zostały one na-stępnie zastąpione przez czołgi zwiadowe mogące się poruszać po torach, jak i po terenie. Armia „Łódź” dysponowała dwoma takimi pociągami pancernymi.

Wojско polskie przed wrześ-niem 1939 roku dysponowało 12 batalionami czołgów. Stacjo-nowały one: 1 — w Poznaniu, 2 — w Przemyślu, 3 — w Werszawie, 4 — w Brześciu nad Bugiem, 5 — w Krakowie, 6 — we Lwowie, 7 — w Grodnie, 8 — w Bydgoszczy, 9 — w Lublinie, 10 — w Zgie-rzu, 12 — w Łucku oraz bati-on doświadczalny w Modlinie (11 według kolejnej numeracji). Były to w gruncie rzeczy jedno-stki administracyjno-szkole-niowe.

Czym dysponowała polska broń pancerna?

Najcięższy czołg polski to Renault-35. Ważył 9,8 tony. Ob-sługiwało go dwóch żołnierzy. Jed-n z nich obsługiwał dział-ko 37 mm. Pancernik miał gru-

czość 4 do 10 mm. Silnik moc 42 KM. Roz-wijał szybkość na szosie 40 km na godzinę, w terenie 18 km na godzinę. Jego zasięg wynosił: po szosie 120 km, w terenie — 80 km.

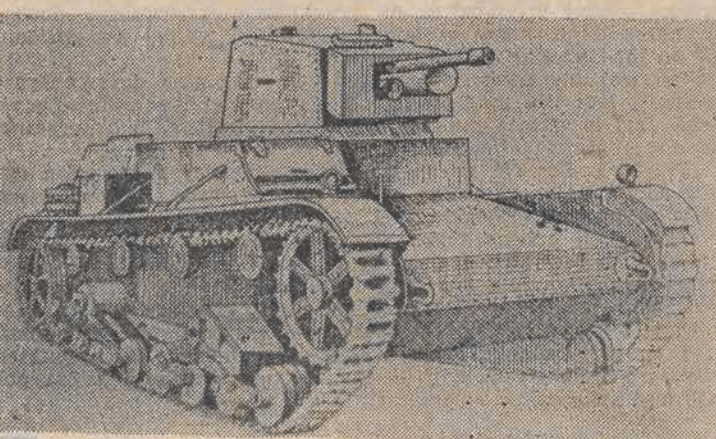
TK-3 ważył 2,3 tony. Ob-sługa składała się z 2 żołnierzy. Miał km kalibru 7,9 mm. Pan-cernik grubości od 3 do 8 mm. Silnik miał moc 40 KM. Roz-wijał szybkość na szosie 45 km na godzinę, w terenie 20 km na godzinę. Zasięg miał: po szo-sie 150 km, w terenie — 100 km.

Samochód pancerny wzór 34 zbudowany był na podwoziu Citroena, co pozwalało mu się łatwo poruszać tak po szosie, jak i po twardym terenie. Miał jednak wysoko ustawiony śro-dek ciężkości, co czyniło go... wywrotnym. Ważył 2,2 tony. Obsługiwało go dwóch żołnie-rzy. Miał albo km kalibru 7,9 mm, albo działko kalibru 37 mm. Silnik o mocy 22 KM. Po szosie rozwijał szybkość 50 km na godzinę, w terenie — 12 km. Miał zasięg: po szosie 250 km, w terenie — 100 km.

Wojско polskie dysponowa-ło również samochodami pan-cernymi wzór 29, zbudowanymi na podwoziu Fiata. Ważyły one 4,8 tony. Obsługiwało je 4 żołnierzy. Miały wymienne działko kalibru 37 mm, km ka-libru 7,9 mm, km przeciwlotni-czy kalibru 7,9 mm.

Wojско polskie dysponowało też innymi typami czołgów. Najlepszym rozwiązaniem był czołg lekki 7 TP. Ważył on 9,3 tony. Obsługiwało go składała się z 3 osób. Miał pancernik gru-bości od 5 do 17 mm. Wypos-ażony był w działko kalibru 37 mm i km kalibru 9,7 mm. Silnik miał moc 110 KM. Roz-wijał prędkość na szosie 32 km na godzinę, w terenie 20 km. Miał zasięg: po szosie 160 km, w terenie — 120 km. Jedynie Vickers „E” miał działko ka-libru 47 mm.

Z niemieckich czołgów naj-hardziej do 7 TP zbliżony był Pzkw-IIIc. Miał on wagę 9,5 ton-y. Obsługiwało go trzech żoł-nierz. Wyposażony był w działko kalibru 20 mm i km kalibru 7,9 mm. Silnik jego miał moc 140 KM. Pancernik miał grubość od 5 do 15 mm. Na szosie rozwijał prędkość 40 km na godzinę, w terenie — 19 km. Miał zasięg: po szosie 180 km, w terenie — 125 km.



Uzbrojenie wojska polskiego; 1939 r.: lekki czołg 7 TP.

go rządu, ale zarazem wykazał kunszt niezwykle delikatnego omijania wszystkich ostrożeń, wszystkich skomplikowanych problemów, które były przedmiotem dyskusji. Być może, taki przebieg rozmowy nie zawsze był pomocny w zrównoważeniu obustronnych interesów w takiej lub innej międzynarodowej lub bilateralnej kwestii. Niemniej jednak tworzył pomyślniejszy klimat dla szukania rozwiązań w toku późniejszych rozmów.

— Również z Hansem-Dietrichem Genscherem?

— Jeśli chodzi o Hansa-Dietricha Genschera mam wszelkie podstawy, aby powiedzieć coś więcej o tym człowieku. Wiedzą panowie dobrze, że wspólnie z nim wypiełem wiele filizanek bardzo mocnej, świetnie przyrządzonej, aromatycznej kawy. I, być może, właśnie dlatego mam tak wyraźną przed oczami jego postać.

Hans-Dietrich Genscher jest bardzo interesującym i rozsądnym rozmówcą, również podczas prowadzonych negocjacji. Jeśli rozpoczyna się rozmowa z Hansem-Dietrichem Genscherem, można być od początku pewnym, że nie przeoczy on najważniejszych spraw. Niekiedy nie miałem też trudności z odgadnięciem kolejności stawianych przez niego pytań. Kiedy spotkał się, jego wykład zewnętrzny i nastroj dostarczały mi w tym względzie dalszych wskazówek. Zdolność przewidywania, jaką posiada Genscher, uważam również za pozytywną cechę polityka i dyplomaty. Jest o wiele trudniej rozmawiać z partnerami, którzy nie kontrolują samych siebie, a myśl ich skacze jak zaby. Oczywiście uważa to nie ma zastosowania do Hansa-Dietricha Genschera, który był zawsze solidnym rozmówcą. (...)

Nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek zakończyli rozmowę, która by prowadziła do rozjęcia się naszych dróg. Przeważnie kończyło się na tym, iż ustalaliśmy termin kolejnej rozmowy, mając jednocześnie to świadomość, że również to, co przedyskutowaliśmy dotychczas, nie było bez pożytku dla naszych obu krajów. (...)

— A więc zrodziło się nieco pewności i zaufania. Interesuje nas jednak pańska opinia, a mianowicie, czy wrogość między Niemcami i Rosjanami jest niejako dana przez naturę, czy też powstała już dostatecznie wiele punktów zbieżnych, które mogłyby stworzyć szanse trwałego zacieśnienia stosunków?

— Historycznie rzecz biorąc, wrogość ta nie była — czynnym nieuniknionym ani też z góry zaprogramowanym przez los. Układanie dobrych stosunków było zawsze możliwe. Jednakże tym, którzy określali politykę, brakowało koniecznej przebiegłości myślenia. Adolf Hitler był tragedią, wielką tragedią dla obu państw, dla Europy, dla świata. Nie była ona jednakże zesłana przez los.

— Czy układ Molotowa — Ribbentropa z 1939 roku stanowi poważną próbę ze strony Związku Radzieckiego polepszenia stosunków z narodowo-socjalistycznymi Niemcami?

— Tak, wówczas istniała możliwość ułożenia pokojowych stosunków. Józef Stalin ufał Adolfowi Hitlerowi — nadaremnie. — A komu jeszcze ufał Józef Stalin?

— Prawdę mówiąc nie należał on do ludzi, którzy komukolwiek ufali, raczej był on patologicznie nieufny. Adolfowi Hitlerowi jednemu udało się wywieść go w pole, aczkolwiek nie brałoby mu to bystrości. Józef Stalin posiadał dostatecznie duży i przenikliwy rozum. Oczywiście obciążają go teraz wyjątkowo ciężkie zbrodnie, których nasz naród nigdy mu nie wybaczy. Jednakże Adolfowi Hitlerowi ufał w sposób niewybaczalny. W historii zdarzają się takie przypadki.

— W swej książce pisał, pan, że nigdy nie znaleziono rzekomego tajnego protokołu na temat uzgodnień, osiągniętych w roku 1939 między Władysławem Molotowem i Joachimem von Ribbentropem. Stwierdza pan też, że nie można było znaleźć. Otóż przekazujemy panu tutaj fotokopie rosyjskiej i niemieckiej wersji tego tekstu, który uznany został za autentyczny przez renomowanego niemieckiego dyplomata Gustawa Hilgera.

— Nie wykluczam, że Gustaw Hilger jest renomowanym dyplomata, jednakże jego podejrzenie do oczywistych faktów jest trudne do pojęcia. Muszę zatem powtórzyć, że nie ma żad-

nych dowodów istnienia jakichkolwiek autentycznych dokumentów, podpisanych przez Władysława Molotowa i Joachima von Ribbentropa, nie licząc oczywiście tych, które zostały oficjalnie opublikowane. Owe „dokumenty”, które się teraz rozpowszechnia, są fałszywkami. Jest to mocno powiedziane, ale używam tego sformułowania całkiem świadomie, z pełną odpowiedzialnością.

— Dokumenty te są przecie znane od dawna.

— Zaraz po wojnie, podczas jednego z posiedzeń ministrów spraw zagranicznych w Genewie, Władysław Molotow powiedział mi, że nie można uważać za autentyczny żadnego „dokumentu”, dotyczącego jego rokowań prowadzonych z Joachimem von Ribbentropem w 1939 roku, poza tym, który opublikowano oficjalnie. A powiedział to już po procesie zbrodniarzy wojennych w Norimberdze, podczas którego radziecki prokurator, Rudenko, nazwał fałszywką ów dokument noszący podpis Molotowa i Ribbentropa. Na pewno

szło nigdy. Nawet ci ludzie, których Stalin posłał na śmierć, nie brali pod uwagę ostrzeżenia Lenina i tym samym przyspieszyli swój własny zgon.

— A kiedy uświadomił pan sobie cały ogrom stalinowskich zbrodni?

— Pełną informację o tym, co miało miejsce w moim kraju, zaczerpnąłem dopiero z referatu Nikity Chruszczowa, wygłoszonego w 1956 r. na XX Zjeździe KPZR. Wcześniej nawet członkowie Biura Politycznego nie wiedzieli o wszystkim; dla wielu te fakty, które odważył się ujawnić Nikita Chruszczow, były czymś nowym.

— A czy nie doświadczył pan tej rzeczywistości, będąc przy powrotnym aresztowaniu w 1952 r. żony ministra spraw zagranicznych Władysława Molotowa?

— Nie rozegrało się to na moich oczach, ponieważ w owym czasie byłem ambasadorem w Londynie. 6 marca 1953 r. a więc w dzień po śmierci Józefa Stalina, zostałem odwołany do Moskwy i mianowany

on zresztą w rok później. Już wtedy od dawna brakowało nam chleba. W trakcie zbierania drzewa przewrócił się. W pobliżu nie było leśniczki pomocy. Moja matka pozostała z czterema synami i jedną córką. Dwóch moich braci poległo podczas ostatniej wojny, trzeci zaś powrócił z frontu z ciężkimi obrażeniami. Ja jestem ostatni, jak panowie widzą, jakos się trzymam.

— Pańska książka ukazuje wkład, jakiego dokonał pan w historię. Proszę nam jednak powiedzieć, czy reprezentowana przez pana polityka zagraniczna była zorientowana w pierwszym rzędzie na walkę klasową, wymierzona przeciwko zachodniemu imperializmowi, czy też na służenie interesom ZSRR?

— Oczywiście, przyswlecały mi zawsze takie humanistyczne wartości jak pokój i postęp społeczny. Leżały one u podstaw radzieckiej polityki od chwili powstania radzieckiego państwa, a więc od października 1917 r. Były to elementarne zasady naszej polityki.

Trudno jednakże już dziś ocenić, jak sprawy potoczyły się dalej. Dlatego też wolę na razie nie wypowiadać się o Europie Zachodniej, jako hipotetycznym trzecim, światowym mocarstwie. (...)

— Prezydent Carter zabiegał w 1979 r. o zbliżenie ze Związkiem Radzieckim, o odprężenie, aż do chwili wkroczenia radzieckich wojsk do Afganistanu. Czy akcja ta zaszkodziła pańskim zamierzeniom w dziedzinie polityki zagranicznej, czy też rzeczywście uważał pan, że zaistniało zagrożenie na południowej granicy ZSRR?

— Oczywiście, że w roku 1979 zaistniało zagrożenie dla południowej granicy Związku Radzieckiego. I właśnie, biorąc pod uwagę ten fakt, Biuro Polityczne KC KPZR podjęło decyzję, zatwierdzoną z kolei przez Komitet Centralny, o wysłaniu do Afganistanu ograniczonego kontyngentu wojsk. Podczas podejmowania tej niełatwej decyzji uwzględniono także prośbę rządu afgańskiego, który zwrócił się do nas o udzielenie pomocy. Pomoc ta

niemieckich przez wojskowo-polityczny przymus NATO. Słusznie mówią panowie o radzieckich propozycjach, które mogłyby doprowadzić do politycznej jedności Niemiec. Jednakże proszę spojrzeć obiektywnie na wszystkie fakty. To Stany Zjednoczone i Anglia, a wraz z nimi Konrad Adenauer nie chcieli udzielić poparcia tym propozycjom Związku Radzieckiego. Tym samym sposób myślenia ówczesnych mężów stanu doprowadził do stordowania konstruktywnej orientacji w polityce międzynarodowej. Teraz jednak, pomijając stronę uczuciową, jestem zdania, że odjechał już pociąg „jedności Niemiec”. I będę to po tysiącokroć powtarzał.

— A pańska koncepcja?

— W międzyczasie powstały już dwa samodzielne, niezależne państwa niemieckie. USA, Anglia i Republika Federalna określiły i ustaliły w latach pięćdziesiątych, z własnej inicjatywy, swe polityczne pozycje. A dodam jeszcze, że już wtedy sprawa jedności Niemiec nie była nawet poważnie wysuwana w trakcie prowadzonych rozmów.

— Czy uważa pan, że naród niemiecki ma prawo do samostanowienia lub też czy uczynił on już to prawo?

— Nie pozostaje mi nic innego niż powtórzyć to, co stwierdzałem już wielokrotnie. Podstawowy jest fakt istnienia dwóch państw niemieckich. Naród jednego i drugiego państwa uczynił swym prawem do samostanowienia już przed 45 laty. Są to dwa suwerenne państwa niemieckie o różnych systemach społecznych i nikt tego faktu nie podważa. Granice państwowe w centrum Europy są na trwałe ustalone. Są one nienaruszalne i mają podstawy prawne.

— Czy Związek Radziecki widzi własny interes w przecistawianiu rokowań między dwoma suwerennymi państwami niemieckimi, które mogłyby prowadzić do zjednoczenia?

— NRD również w przyszłości, jako członek UW pozostanie równoprawnym partnerem RFN. Tego jestem pewien. Nie będzie to oczywiście przeszkodą we wzajemnej wymianie dóbr kultury i wartości duchowych. Ostatecznie to samo występuje w stosunkach między USA i Anglią. Historyczna droga, którą mają oba te państwa za sobą, jest powszechnie znana. Z pewnością nie jest to jakaś paralela, lecz jedynie przypomnienie, że ludzie, mający wspólną historię, kulturę, wspólny język, mogą żyć przedzieleni granicą, która przebiega bądź to na lądzie, bądź na oceanie.

— Lub w mieście!

— Mam podstawę do pełnej satysfakcji, że bliższa NRD stała się czynnikiem stabilizacji i spokoju w Europie. Takiej stabilizacji życzą także Republiki Federalne.

— Podejmując w 1988 roku decyzję o podaniu się do dymisji, powołał się pan na Johanna Gottfrieda von Herdera: przypadek i czas to dwa największe tyrańi w życiu. Oczywiście po tak pracowitym życiu, kiedy skończyło się 79 lat, pańska decyzja jest całkiem zrozumiała. Ale tyran przypadek? Jaka odegrał on rolę?

— Co się tyczy „tyrana przypadku” udało mi się go uniknąć. W każdym razie w moich „Wspomnieniach” piszę o sytuacjach, w których przypadek mógł zadecydować o moim życiu. Raz, kiedy leciałem amerykańskim samolotem nad oceanem, przestał nagle funkcjonować jeden z silników. W przypadku kłopotów z drugim silnikiem, niechybnie spadłbym do oceanu.

— Nie spadł pan. A może przytoczy pan jeszcze jakiś inny przykład.

— Drugi przypadek miał miejsce wtedy, kiedy Andrzej Wyszyński usiłował przekonać Józefa Stalina, że niezbyt intensywnie walczyłem przeciwko trockizmowi. Konsekwencje mogłyby być bardzo poważne. Mimo iż Józef Stalin powziął przeciwko mnie podejrzenie, nie zareagował na wypadek Andrzeja Wyszyńskiego.

— Szczęśliwy przypadek.

— Być może dlatego, że Władysław Molotow wyjaśnił, iż wtedy, kiedy Józef Stalin walczył przeciwko trockizmowi, miałem 16-17 lat. Ale p.ozję mi wybaczyć, chyba rozmawiamy i tak dość długo i sądzę, że mogliśmy na tym skończyć.

Rozmawiali:
JOERG R. METTKE
FRITZ MEYER
(„Der Spiegel”
17.02.1989 r.)

Konstruktor zagranicznej polityki ZSRR zwierza się

panowie przypominają sobie, że w Norimberdze była obecna nie tylko cała kordona laszowskich zbrodniarzy wojennych, ale i zbrodniarstwo, lecz także ich obojętność. Było zaś wiadome, że za ten z nich nie zaprzeczą oświadczeniu Rudenka. Coż zatem może być bardziej przekonujące niż własne to oświadczenie Joachima von Ribbentropa — nie posłużył się tym „argumentem” w celach samooproby.

— A zatem nie pozostaje mi nic innego niż powtórzyć, że nie ma żadnych autentycznych dokumentów, o których mówi Gustaw Hilger. W istocie bowiem omawianie wydarzeń historycznych, a zwłaszcza tych, które włączy się z konkretnymi uzgodnieniami terytorialnymi, podejmowanymi przez państwa, musi opierać się na sprawozdaniach dokumentach, a nie na emocjach i fantazjach.

— W każdym razie nie widział pan oryginału na własne oczy?

— Moją pracę w ludowym komisariacie spraw zagranicznych ZSRR rozpocząłem w roku 1939. Od tamtego dyplomatycznie nie słyszałem nigdy o jakimś „protokole”. Jest przy tym wiadome, że treść tego „protokołu”, który pojawił się nagle po rozgromieniu faszyzmu, stoi w sprzeczności z rzeczywistym rozwojem sytuacji, m.in. na obszarze przybaltyckim.

— Jak pan sądzi, czy Józef Stalin kochał swój naród?

— Józef Stalin? Doprawdy trudno to powiedzieć. Czy kochał? Być może w tym sensie, że, sprzyjał rewolucji, upowszechniał jej ideologię, a więc dążył do tych celów, które były celami całego narodu. Wszelako miłość nie jest adekwatnym słowem, jeśli weźmie się pod uwagę jego stosunek do narodu. O zbrodniach, jakich dopuścił się, nie zapomni się jeszcze za 1000 lat. W swych poczynaniach był on prawdziwym zbrodniarzem.

— Dlaczego popiełnił on tyle zbrodni? Czy po to, aby się samemu wywyższyć? A może, mając na względzie nadchodzące ciężkie czasy, chciał on wszystko skupić w swych rękach? Lub może postępował jak surowy ojciec, który bije swe dzieci, aby wskazać im właściwą drogę postępowania?

— Według mojego głębokiego przekonania, jego wszystkie myśli i dążenia były skierowane ku jednemu celowi, a mianowicie dotarcia do szczytu piramidy władzy. W konsekwencji niszczył on wszystko, co mogło przeszkodzić w osiągnięciu tego celu. Szedł zatem po stosach trupów. Krótko przed wojną zlikwidował on całe dowództwo wojskowe, kwiat naszej armii, zupełnie niewinnych ludzi. Pragnął on nieograniczonej władzy. Już Włodzimierz Lenin ostrzegał przed Józefem Stalinem, doraździał, aby go wymienić.

— A kto byłby lepszy: Lew Trocki? Nikołaj Bucharin? Grigorij Zinowiew?

— Do takiej dyskusji nie do-

pierwszym zastępcą ministra spraw zagranicznych. Po moim przybyciu, co nastąpiło już po pogrzebie Stalina, odwiedził Władysława Molotowa w jego biurze. Nie był on bynajmniej smutny. Powiedział: „Moje szczęście jest znów tutaj, moja żona”. Powróciła ona wtedy z wygnania w Środkowej Azji. Jednakże do tej pory nikt nawet nie wiedział, że była aresztowana i zesłana. Nikt mnie wcześniej o tym nie poinformował, chociażby zaszyfrowaną depeszą. W istocie bowiem, gdyby to nastąpiło, Józef Stalin dowiedziałby się o tym natychmiast.

— Jest pan synem biednego chłopca. Stalinowska kolektywizacja odebrała pańskiemu ojcu niewielki skrawek ziemi, a mimo to wstąpił on dobrowolnie do kolchozu.

— Wszyscy wstępowali, wszyscy. Była to fala, której nie mógł się przeciwstawić. Zmarł



pozostawała w zgodzie z Kartą ONZ oraz radziecko-afgańskim układem, który przewidywał wsparcie wojskowe dla Afganistanu w przypadku agresji grożącej z zewnątrz.

— A jak oceniał pan wówczas ostrzeżenia radzieckich ekspertów?

— Nie są mi znane żadne ostrzeżenia radzieckich ekspertów. Istotny był także w owym czasie moment psychologiczny. Na krótko przed podjęciem decyzji przez Biuro Polityczne, przybył z wizytą do Związku Radzieckiego szef afgańskiego rządu, Taraki. Po powrocie do Kabulu został on zamordowany nie przez kogo innego, tylko przez ludzi Amli- na. Leonid Breżniew, a mówię to całkiem otwarcie, był oburzony. Należy jeszcze dodać, że sytuacja w Afganistanie stawała się coraz mniej stabilna, istniały wszelkie oznaki, że dojdzie do militarnej interwencji Pakistanu oraz stojących za tym państwem Stanów Zjednoczonych.

— Czy uważa pan za możliwe, aby Europa Zachodnia przekształciła się w trzecie wielkie mocarstwo?

— Pytanie jest śmiałe. Dotychczas, jak wiadomo powszechnie, Europa Zachodnia składa się nadal z poszczególnych suwerennych państw. Niewątpliwie Europejska Wspólnota, jako związek tych suwerennych państw, będzie stawała się coraz silniejsza.

— Czy uważa pan, że afgańska operacja była błędem?

— W mojej odpowiedzi zawarta jest informacja na temat okoliczności, które wpłynęły na decyzję Związku Radzieckiego skierowania kontyngentu wojsk do tego kraju. W istocie usiłowaliśmy zabezpieczyć naszą południową granicę w tym sensie, aby w Afganistanie nie powstała baza, która miała zastąpić tę, którą Amerykanie utracili w Iranie. Na ten temat otrzymywaliśmy liczne informacje o różnych służb wywiadu.

— Józef Stalin powiedział, że zarówno naród niemiecki jak i niemieckie państwo pozostaną. Na Konferencji Poczdamskiej, w roku 1945, w której także pan brał udział, postanowiono zachować gospodarczą jedność Niemiec. W okresie od 1952 do 1959 r. pański rząd składał propozycje związane także z przywróceniem jedności politycznej. Później jednak, w ciągu 30 lat, nie było już tego rodzaju propozycji. Jaka jest pańska koncepcja w kwestii niemieckiej?

— W roku 1945, na Konferencji Poczdamskiej, a muszę to powiedzieć otwarcie, podjęto niewątpliwie słuszne decyzje, ale dotyczyły one zbyt wielu spraw. Wązały się także z kwestiami gospodarczymi. Niech mi jednak panowie powiedzą, z ręką na sercu, co z tego wynikało? Co przyniosły owe słuszne decyzje?

— Podział Niemiec.

— Powołano do życia NATO, wymierzona przeciwko Związkowi Radzieckiemu i państwom demokracji ludowej. A więc przeciwko byłym sojusznikom z czasów wojny. Fakt ten wyprawił niektóre decyzje poczdamskie lub też — je bezpośrednio zniekształcił, w tym uchwale dotyczące gospodarczej jedności Niemiec. Słownie też przybierała na sile „zimna wojna”, która sprawiła, że mocarstwa zachodnie zaczęły rozpatrywać i oceniać wszystkie wydarzenia w obu państwach

trzecim — przy Żeromskiego 21 — już się tylko jeden pisarz patrzył i trzymał za bok od ischiasu (ischias jest tu przypadłością nie tylko wieku — znam ludzi starszych znacznie od niego bez tej dolegliwości — i przede wszystkim udręk życia partyzanckiego u „Jedrusiów”) to Tadeusz Szewera. Jeszcze do niedawna mieszkali tam: Władysław i Jarosław M. Rymkiewicz oraz Zygmunt Fijas. Władysław i Fijas już w ziemi, do kąd wcześniej odeszli stamtąd, znakomita tłumaczka Zofia Petersowa i historyk sztuki, oraz wydawca Norwida, Roman Zrebowski. Dawny dom Bandurskiego 8 połączony jest jak brat z bratem syjamskim z domem przy Kościuszki 98 i oba były oddane przez miasto na mieszkania i siedzibę pisarzy.

Stwierdzenie w pierwszym zdaniu „już nie ma” wiąże się z nagminnym do niedawna w krajach naszego bloku i podobno nadal panującym w trzecim świecie zwyczajem: co sytuacja, to zmiana nazw ulic. Bandurski jako patron ulicy zaraz po Zjeździe Zjednoczeniowym podpadł władzom miasta. Nie dane mu było wyznawać „Światopoglądu naukowego”, gdyż był księdzem. Żeby to jeszcze księdzem rewolucjonistą jak Piotr Ściegienny czy księdzem niepraktykującym jak Stanisław Staszic, czy choćby „księdzem patriotą”. Ale i to nie. Był księdzem niepatriotą, ponieważ związał się ściśle z burżuazyjnymi legionami Józefa Piłsudskiego i Józefa Hallera, a także przemawiając w 1910 pod pomnikiem feudała Władysława

czącymi guzami. Orzechosio przepędzał obwiesiów, a osoby nieobwiesiowe, które pierwszy raz widział, indagował; kto zacytował, do kogo? Wtedy dopiero przepuszczał, a gdy osoba wydała mu się „profesorem”, otwierał windę.

Miał kult profesorów. Pisarz dopiero był ważny, jeśli łączył w swojej osobie te dwa powołania. Redaktorów miał też w poważaniu, to jednak było nie to co profesor. Miał dobrą pamięć wzrokową i osoby raz przepytane z wynikiem pozytywnym pozostawiał w spokoju. Dysponował służbówką z pięknym oknem oraz piwnicami.

W piwnicach miał warsztat ślusarski i malownicze apartamenty. Gdyby to było na przykład w Sandomierzu, to te sale piwniczne można by romantycznie ponazywać i przepuszczać wycieczki za biletem. Na ten pomysł Orzechosio jednak nie wpadł, za to w jednym z podziemnych apartamentów urządził ni to świetlicę, ni pijalnię wódeczności dla pisarzy trunekowych i siebie samego. Pisarzy trunekowych Orzechosio cenil tak samo jak profesorów, ale cenil tylko profesjonalistów spokojnych, nie marnujących gardel, które są stworzone do picia, na głupie wrzaski i niepoważne brewerie. Toteż pito tam trochę jak w kościele i bardzo Orzechosia szanowano.

Ponieważ musieliśmy co czynić ująć podczas pierwszej mojej bytności w tym Domu Literatów, w którym przyszło mi niebawem zamieszkać (nosiłem przecie dwa wzbudające jego respekt tytuły „profesora”, co prawda licealnego, a też asystenta, i redaktora), nie pytał

łem największe trudności z namówieniem do dania nam materiałów dawnych mieszkańców obu naszych domów. Odmówili kolejno główni sztabowcy „Kuźnicy” z byłym naczelnym, a jeden z „Kuźniczan”, literaturoznawca i edytor, z którym kiedyś toczyłem żarty na temat celowości stosowania również metody socjologicznej dla wyjaśnienia sukcesów, również i pozaartystycznych. „Zapisków myślowego” Turgienie- wa, tenże edytor wmawiał nam, że nigdy w Łodzi nie był, a przynajmniej sobie nie przypomina.

Po tamtych przyszli nowi. Wymienię: Wacława Mrozowskiego, Stanisława Czernika, Jana Koprowskiego, Mirosława Ochockiego, Jurka Millera, Tadeusza Papiera, Leona Gomo-lickiego, Wandę Karczewską, Horacego Safrina, Józefa Konowicza, Jana Czarnego, Grzegorza Timofiejewa, Mariana Piechala, Igora Sikiryciego, Wacława Bilińskiego, Wojciecha Drygasa, Wiesława Jazdyńskiego, kogoś, kto w większości wypadków się tak samo nazywa jak ja. Niemalże to były indywidualności, ale panowała nie tylko na mieście opinia, że dom nasz swój złoty wiek literacki przeżył już wcześniej.

Podobnego zdania był i stary Orzechowski. Zwierzył mi się kiedyś nader melancholijnie:

— Dawniej, proszę pana profesora, to były literaty. Takie go rany Broniewskiego to ja dwa razy dziennie z deróżki ściągałem i dźwigałem do mieszkania i to mi jeszcze kazał lecieć po piwo. Kiedyś pani Gojwicińska rozebrała była, ale wola: „Wystaraj się, Orze-

Jaka jest ta młodzież? Co myśli o swoim życiu i swojej przyszłości? Reporterski zwiad „Odgłosów”.

Dlaczego chcą być studentami?

Małurzyści podjęli decyzję o swej przyszłości już jakiś czas temu i złożyli podania o przyjęcie ich na studia. Jakimi motywami kierują się wybierając uczelnię i wydział? Co wpływa na decyzję? Czy jest to wybór świadomy? Przeprowadzona tuż przed pożegnaniem klas czwartych w trzech łódzkich liceach ogólnokształcących minisonda nie pretenduje do miana ankiety socjologicznej, ale jej wyniki w jakiejś mierze dają obraz sytuacji i odkrywają motywacje, którymi kierują się młodzi ludzie decydując się na podjęcie studiów.

Największym powodzeniem cieszy się od lat medycyna, głównie wydział lekarski, w niewielkim tylko stopniu ustępują jej ekonomia i handel zagraniczny. Na pozostałe kierunki wybierają się pojedyncze osoby, przy czym do części powtarzających się należą polonistyka, elektronika, architektura, matematyka i szkoła plastyczna. Czyli standard. Zastanawia brak chętnych do bycia adwokatami.

Niektórzy kandydaci nawet nie potrafili podać dokładnej nazwy wybranej uczelni, wydziału i kierunku, więc można przypuszczać, że mają podobnie mgliste pojęcie o programie nauczania. Część wyboru dokonała już w szkole podstawowej (?), inni dłużej dojrzewali do określonego profilu studiów, jeszcze inni zdecydowali się w ostatniej chwili, kiedy nadziesiąt termin składania podań o przyjęcie na wyższą uczelnię.

Niektóre odpowiedzi udzielane przez uczniów były ubrane w okragłe zdanki i wyglądały jak wcześniej przygotowana przemowa do komisji egzaminacyjnej. Najcenniejsze okazały się te ankiety, w których młodzi ludzie anonimowo, a więc prawdopodobnie szczerze przyznawali się do prawdziwych motywów. Dodatkową rolę w czasie sondażu odegrał element zaskoczenia, za- brakło miejsca na kalkulację i wyrachowanie. Wyniki ankiety są po części zaskakujące, po części możliwe do przewidzenia.

Większość maturzystów jako powód podaje swoje zainteresowania, chęć poszerzenia wiedzy i zdobycia specjalizacji w wybranej dziedzinie. Określając termin: „zainteresowania” należałoby na jednym biegunie postawić hobby i pasję, a na drugim: „robić to, co lubię, do czego mam zdolności”.

Interesuje mnie fizyka i chciałbym dowiedzieć się czegoś nowego z tej dziedziny. Nie idę na uniwersytet, ponieważ uważam, że są to studia łatwiejsze, wolę politechnikę. Kierunku moich studiów nie wiąże z chęcią zrobienia pieniędzy ani przyszłym zawodem, chcę to traktować jako hobby.

Kandydaci na studentów mają nadzieję na otrzymanie w przyszłości atrakcyjnego zawodu i ciekawej, czystej i urozmaiconej pracy. Pragną dzięki swej wiedzy i uzyskanym możliwościom wpływać na otaczający świat, zmieniać i na swój sposób kształtować zasnę rzeczywistość. „Miałam okazję napatrzeć się na opiekę lekarską nad zwykłymi pacjentami. Chcę to zmienić, będę inna”.

Podjęcie studiów dla niektórych to możliwość sprawdzenia się, wykazania, podjęcie wyzwania i dowartościowujące zmaganie z trudnościami. Rzadko się zdarza, aby dwudziestolatki miały już określony światopogląd, studia traktują więc jako czas na sprzecyzowanie życiowych postaw, rozwój osobowości i doskonalenie intelektualne, poszerzenie horyzontów myślowych.

„Jeśli chcę się liczyć w społeczeństwie, powinienem mieć studia. Człowiek z wyższym wykształceniem ma szersze spojrzenie na świat, szuka w nauce trochę innych wartości niż codziennie sprawy. Przyjdzie dzień, kiedy człowiek zapyta: kim jestem?”

„Zastanawiam się wciąż, jak sprawić, aby życie nabrało większego sensu. Nie chcę, żeby moja przyszłość ograniczała się do domu i pracy”.

Mało jest idealistów, takich jak autorzy tych wypowiedzi:

„Zawsze martwiłam się, że nigdy nie zdązę przeczytać wszystkich książek, które zamierzam”.

„Nie widzę siebie nigdzie indziej, liczę się z tym, że mogę zdawać kilkakrotnie”.

Tylko jedna osoba wspomina o studiowaniu dla satysfakcji i o spełnieniu marzeń, jedna twierdzi, że tylko ten wybrany kierunek i jeden inny, jedna, że ma wzór do naśladowania i idzie w jego ślady. Trójka nieśmiało napomknęła o drugim fakultecie, kilku uczniów myśli o pracy naukowej na uczelni (o ile nie będzie lepszych propozycji).

Większość wybiera drogą eliminacji — łatwiejszy kierunek, o mniejszej liczbie chętnych na jedno miejsce. Zamiaty mierzą, na siły, myśląc realnie godzą się na kompromis chęci i możliwości.

„Mechanika jest kierunkiem, który chociaż częściowo jest zgodny z moimi zainteresowaniami, a polithechnika to jedyna uczelnia, gdzie nie ma polskiego, biologii i historii”.

„Właściwie to obojętne jakie studia i tak nie wiadomo, co potem będę robić”.

„Jeśli dostałbym się nie na wybrany kierunek, ale na jakiś inny — też nie będę żałował”.

„Nie ma kierunku, który mógłby mnie poważnie zainteresować, ale gdzieś przecież muszę wyładować”.

„Elektronika lub informatyka, zależy ile punktów uda mi się wydebić”.

„Realnie oceniam swoje szanse i wiem, że nigdzie indziej się nie dostanę”.

W wielu wypowiedziach pobrzmiewa nuta gotowości i desperacji — „jaką ciekawą pracę można podjąć po skończeniu ogólniaka i bez specjalnych umiejętności do ustawienia się w życiu?”, „liceum nic nie daje”, „po liceum jestem nikim”, „muszę coś ze sobą zrobić, nie umiem nic oprócz uczenia się”, „nie mam sprecyzowanych zainteresowań”. Echom odzywa się nie zawsze trafny wybór szkoły średniej, profilu klasy, choć przecież decydując się na LO od samego początku uczniom towarzyszyła świadomość kontynuowania nauki po maturze. Daje się zauważyć brak rozbudzonych zainteresowań w określonym kierunku, tylko czyja to wina — szkoły? domu? a może samych uczniów?

Esencją motywacji przyszłych lekarzy jest, to oto onkiet: „Jedyny zawód, który ma przyszłość i może dać odpowiedni standard życiowy, uznane w społeczeństwie, możliwość wysokich zarobków na Zachodzie”. A gdzie miejsce na powołanie, poświęcenie i zaangażowanie? — takich rzeczy nie przekazał w genach poprzednie pokolenia lekarzy w rodzinie.

„Przyczyną mej decyzji jest wychowanie. Po prostu od dziecka miałem styczność z lekarzami (babcią, dziadek, mama, tata). Nie jest to, co prawda, mój wymarzony zawód, ale wszystkie przemawia za tym, że jest to dla mnie najlepsza droga i co najważniejsze — jestem wewnętrznie przekonany, że na ten kierunek muszę iść”.

Czy rzeczywiście? „Chciałbym zostać lekarzem, choć bez przekonania. Chyba bardziej chcę tego rodzice”.

Presja środowiska jest bardzo duża, wielką rolę odgrywa tradycja i ambicje rodzinne („dopięć ze strony mamusi”). Nierzadko rodzice „w trosce” o przyszłość pociech lub realizując w dzieciach swoje nie spełnione marzenia, zmuszają je do podjęcia studiów niezgodnych z ich zainteresowaniami. Dramatycznie brzmi pełen rezygnacji i uległości wobec rodzicielskiego autorytetu głos na siłę uszczęśliwiającej dziewczyny:

„Chciałam iść na prawo, na kryminalistykę, ale rodzice stwierdzili, że nie po to mnie tyle lat chowali, żeby... itd. Na naukowca się nie idą, na nauczyciela też nie (biedne byłyby dzieci). Pozostał handel zagraniczny. To rodzice najpierw wpadli na ten pomysł, co będzie dalej zobaczmy...”

Na tym tle nieco zaskakuje niezwykła wypowiedź kandydatki na filologię polską: „Jedynym bodźcem jest chęć sprawienia rodzicom przyjemności. Wynika to z faktu, że oni są robotnikami, chcą, żeby byli ze mnie dumni”.

Przed wszystkim wśród kandydatów na medycynę i handel zagraniczny powtarzają się głosy o nobilitacji, wysokiej pozycji w społeczeństwie, prestiżu zawodu, chęć zaimponowania elitarnym wykształceniem. Na pierwszy plan wysuwają się pieniądze, ustawienie w życiu, wysoki standard, możliwość wyjazdów zagranicznych. Dominuje myślenie przyszłościowe i ekonomiczne.

Wybór handlu zagranicznego nie jest rezultatem specjalnych pragnień, bardziej spełnieniem ambicji rodziców oraz efektem sytuacji ekonomicznej w domu i w kraju. Moje zainteresowania skłaniają się bardziej ku archeologii, ale po jej ukończeniu istnieje niewielkie prawdopodobieństwo otrzymania pracy w swoim zawodzie, place pracowników tej branży nie są wystarczające na utrzymanie rodziny. Decyzja ta podyktowana jest głównie względami ekonomicznymi”.

„Jedynie studia (HZ) mogą dać mi pozycję i zapewnić dostatek życia, czego nie miałbym po liceum”.

„Idę na ekonomię, ale wcale mnie to nie interesuje. Ekonomista to po prostu zawód przyszłościowy i myślę, że nie będę miała problemów z zatrudnieniem”.

„Chciałabym poznać mechanizm rządzący gospodarką i ekonomią, co pozwoliłoby mi na posiadanie własnego zdania na temat przyczyn i skutków kryzysu, a także na prowadzenie własnego przedsiębiorstwa”.

Wydaje się, że końcowe stwierdzenie jest kluczowe w tej wypowiedzi. Pewna panienka po ukończeniu filologii „francuskiej” (chodzi zapewne o filologię romańską) chciałaby „nawiązać kontakty z zagranicą, a potem wyjechać do Francji lub Belgii i tam zostać”, gdyż w kraju nie widzi „perspektyw życiowych”. Jest taki dowiec: — Kto pojechał po rożm do głowy? — student, który wyjechał do RFN i nie wrócił. Niebagatelną rolę odgrywa możliwość przedłużenia sobie młodości, na dalsze pięć lat odalenia od siebie perspektywy pojęcia do wojska u chłopców („jedyna szansa ucieczki”, „uchronić się przed dwuletnią przerwą w życiu” — „a u wszystkich niechęć do podejmowania pracy zarobkowej, zakładania rodziny i borykania się z troskami życia codziennego”).

Pobyt na uczelni to ostatnie pięć, w przypadku medycyny sześć lat wolności, beztrudności i swobody, w czasie których można zakosztować osławionego studenckiego życia towarzyskiego, nawiązać nowe znajomości, rozszerzyć kontakty, poznać ciekawych ludzi. Choć żadna z dziewcząt tego nie powiedziała, należy się domyślać, że dla wielu z nich studia wiązały się również z okazją do poznania przyszłego męża.

Niewesołe myśli rodzą się po lekturze większości ankiet. Jeden uczeń napisał: „Znajac polskie realia trudno pozostać bezwzględnie optymistą”. Jacy urosną nam specjaliści z ludzi gonionych za pieniędzmi i zasłużonych w głos własnego „ja”? Niekiedy już od początku zakładają, że „jako informatyk mogę przecież tapetować mieszkania albo myć ułany i lepiej na tym wydać” albo „nie zamierzam pracować w zawodzie, jaki zdobędę, gdyż w obecnej sytuacji nie miałbym szans żyć w warunkach, w jakich powinien żyć człowiek wykształcony”. Trudno nawet winić młodych za takie postawy, stykają się z nimi na co dzień, wyznają wartości, jakie im wpoił dom i społeczeństwo.

W obecnych czasach w Polsce człowiek po studiach bardzo często zarabia dużo mniej niż pracownik fizyczny. Jest to przyczyna, dla której wielu ludzi nie podejmuje nauki na wyższej uczelni. Podejmując studia na UL mam na uwadze wartości moralne i poznawcze, które może uzyskać studiując”.

Wśród przyszłych studentów daje się zauważyć ogromny brak wiary we własne siły („nie wybieram się na studia, ponieważ nie wierzę w siebie i swoje możliwości”), brak odwagi w podejmowaniu życiowych decyzji, oglądanie się na innych, żeby za nich dokonali wyboru.

MONIKA MATUSZAK

Dom przy ul. Bandurskiego 8

Jagiellę wieścił ponoć rychłe „zmarłych powstanie” (co za słownictwo!) burżuazyjnego państwa polskiego. Zatem ulicę przemianowano, ponoć specjalnie na naszą cześć, na ulicę Adama Mickiewicza (autora wiersza „Do przyjaciół Moskali”), a także gorącego socjalisty, jak uczył nas „Kuźnica”, główny w tamtych latach filozof — specjalista na polu marksizmu-leninizmu czyż niego oraz polonista o niearyjskim nazwisku Stefan Żółkiewski.

Potem jeden z prezydentów miasta zarządził całkowite odwrócenie numeracji domów przy tej ulicy, wskutek czego początkowa Adama Mickiewicza 8 została przemianowana na późniejszą Adama Mickiewicza 15, co wprowadziło służby pocztowe oraz przemianowało dawno nie widzianych przyjeżdżających z innego miasta czy państwa znajomych w pociesznych poszukiwaczy. Szczęściem ten nasz drugi dom, w którym mnie z czasem przyszło mieszkać, nazywa się jak i dawniej ulicą Tadeusza Kościuszki. „Inżyniera Tadeusza Kościuszki” — gdyby żył, poprawiłby mnie w tym momencie Józef Maciej Kononowicz — poeta i przede wszystkim znakomity, a nie doceniony przez Łódź nie kochającą prowincję krytykę autor autobiograficznych powieści o Łodzi i Pabianicach, a także jednej opowieści o biskupie Klepaczu — tak zasłużonym dla Kościoła w latach więzienia prymasa Stefana Wyszyńskiego. Józef Maciej miał upodobanie w nazywaniu swego ukochanego bohatera zgodnie zresztą z prawdą inżynierem.

Te dwa bliźniacze domy, podobnie jak dwa następne: w których królowali dziennikarze, zbudowane przed samą wojną z myślą o lokatorach zamożnych, a w jednym pionie dla wybitnie zamożnych, to najciekawsze bodaj w mieście realizacje architektury kubistycznej, jako takie w latach okupacji otrzymały awans na reprezentacyjne dzieła architektury nordyckiej, o czym informuje znajdująca się dziś w moim posiadaniu bogato ilustrowana książka pt. „Der Osten des Warthelandes”. Kamienice te otrzymywały Volksliste.

Ich ściany wyłożone są złobkowatymi płytami jasnego piaskowca czy jakiegoś piaskowcopodobnego tworzywa. W pięknej branie zakomponowanej ze szkła i jakichś kutych z żelaza motywów, za nią posadzka z drobnych kostek kamiennych barwy żółtej. W bramie stał siłwawy, a może dopiero spakowaty, pan Orzechowski zwany pieszczotliwie „Orzechosiem”, o ile pamiętam w wolnych reprezentacyjnych od brudnych robót godzinach w portierskim mundurze z blysz-

czącymi guzami. Orzechosio przepędzał obwiesiów, a osoby nieobwiesiowe, które pierwszy raz widział, indagował; kto zacytował, do kogo? Wtedy dopiero przepuszczał, a gdy osoba wydała mu się „profesorem”, otwierał windę.

Ach, co to były za windy, dopóki nie dobrała się do nich działwa i czarnoroboczy konserwatorzy z ADM! Ciemno-orzechowe gładkie ściany, kryształowe lustra do poprawy uczesania i wygodne kanapki dla pasażerów szanujących nogi. Kto windę gardził, prosił bardzo, szedł dziarskim krokiem schodami wystylizowanymi szkarłatnymi chodnikami. Nikt z koleżkowiczów Domu Towarowego „Central” nie wdierał się na te obdarte dziś schody i nie siusiał w luksusowych warunkach przed drzwiami akademików literatury.

Oba te domy, stanowiące praktycznie jeden, zdawały się pekać (lecz tylko metaforycznie) z dumy do świętości nazwisk twórców, którzy tu w pierwszych latach zamieszkiwali. W domu od Bandurskiego, gdzie się mieści lokal Związku Literatów, mieszkali i mieszkali: Zofia Nalkowska z siostrą rzeźbiarką, Pola Gojawiczyńska, Wanda Krzemieniecka, Władysław Broniewski, Jan Brzechwa, Stefan Żółkiewski, Jerzy Wyszomirski, Adam Wazyk, Mieczysław Jastrun i Krystyna Biłska, Seweryn Pollak i Wanda Grodzienka, Adriana Demkowska, Juliusz Saloni, Bolesław Dudziński, Edward Csa- to, Paweł Hertz, Jan Huszcza, Helena Duninówna, Maria Castellati, Jan Spiewak, Roman Hussarski, Włodzimierz Słobodnik, Stanisław Brucz, Stanisława Zakrzewska, Władysław Smólski, Anatol Mikulko — ginekolog i dziennikarz, współtwórca „Dziennika Łódzkiego”.

W domu za drugim (wejście przez półokrągłą bramkę pokrytą bluszczem, obok ścianiskiej i wysokiej nakrytych kiedys zielenią nieczym fragmentem wiszącego ogrodu królowej Semiramidy) mieszkali: Seweryn Szmagłowski, autorka unius libri, Kazimierz Bieżyński, filozof, Jan Aleksander Pięta, Ryszard Matuszewski, Adolf Rudnicki, Kazimierz Brandys (wtedy bodaj u szczytu sił twórczych), Zygmunt Kałuzynski z Anną Hardwig, Halina Dąbrowska, Stanisław R. Dobrowolski, Zofia Lorentz, Jerzy Jurandot, Leon Pasternak.

Z wymienionych tu pozostało ledwie kilku. Większość wyjechała ławą, pierwszym pociągiem do trochę już odbudowanej Warszawy, inni gęsiego — co rok, co dwa. Kiedy wraz z Adamem Leśniewskim przygotowywałem książkę zbiorową wspomnień o porzuconej Łodzi zamieszkałych tu przez pierwsze lata intelektualistów pt. „Tranzytem przez Łódź”, mia-

chosiu, o pół litra czystej”. A bo u nich się ten mój pisarski musiał przebiec do lepszego rusa. A te dziesięć nowych literatów to ani pić, ani pisać nie umię... z wyjątkiem pana profesora (to wyróżnienie spadło na mnie nie z powodu moich bachicznych zasług, lecz mego nauczycielskiego tytułu). A takie duperele, jakie pisze na ten przykład pan Czarny, to ja też potrafię.

Jan Czarny pisał znakomite fraszki. Fraszka jest, jak wiadomo, utworem niezwykle krótkim, więc zdaniem mojego rozmówcy „pisać takie coś” to była żadna sztuka. Poza tym Czarny był człowiekiem przykrego usposobienia i kiedyś jako przewodniczący komitetu domowego (bardzo stare dzieje) zrobił naszemu Orzechosowi — osobie przez nas wszystkich bardzo poważanej i właściwie nietykalnej — „wygawor” za złe czy rzekomo złe umyte schody.

Odprowadzaliśmy Orzechowskiego na cmentarz — cały związek, nasze żony, dzieci i — od kiedy dom zaczął tracić znaczenie jako zawiadowany przez Związek, dom wyłącznie literatów — nasi sąsiedzi przedstawiciele innych szlachetnych profesji.

Z dużej rodziny Orzechowska została tylko syn i córka Aurelia. Przejęła po ojcu życiowy stosunek do nas, starych i młodych. Wsparła na kiju, bo nie jest już zbyt dobieżna, zagaduje każdego z nas:

— Dzień dobry. Dobra pogoda dzisiaj. Trochę popadało, ale to i dobrze dla roślin, ale słoneczko wyjrzy, wyjrzy.

Od tych życiowych słów w jesieni naszego żywota robi mi się na chwilę słonecznie.

Ale ja piszę o czasach, kiedy jeszcze trwa wiosna mojego żywota.

Poeta tłumacz, prozaik i krytyk z winy wojny zbyt długo początkujący, lecz już po pierwszych powojennych drukach w kilku prestiżowych pismach przychodzi do Domu Literatów z materiałami redakcyjnymi (Jan Aleksander Król, który mnie nieraz i przez całą noc u siebie trzymał, poił kawą, koniakiem i kazał tam z miejsca poprawiać złe jego zdaniem napisany artykuł), z utworami do oceny oryginalnymi i przekładami (Seweryn Pollak, opracowujący właśnie swe pomnikowe „Dwa wieki poezji rosyjskiej” — zamieścił mi w niej „Harfe” Lermontowa) bądź po prostu z wizytą na piąte piętro (Słobodnik, patrz moja wcześniejsza książka „Uczeń czarnoksiężników”), z wizytą na drugie (Zygmunt Kałuzynski i Julia Hardwig).

TADEUSZ
CHROŚCIELEWSKI

Pewien trzydziestoletni mężczyzna z rozbrajającą szczerością opowiedział mi dość znamieniącą historię erotyczną. Kiedy miał 18–20 lat, lubił w miejscach letnich jeździć zatłoczonymi tramwajami i autobusami. Ustawiał się wtedy za ładnymi kobietami i przyciskał do nich w stopniu całkowicie uzasadnionym przepełnieniem. Wybierał zawsze nieco starsze panie, około czterdziestki. Wcześniej dokładnie opróżniał kieszenie spodni, żeby mu nie przeszkadzało.

Przez cienką materię letnich ubrań dobrze wyczuwał kształty pośladków. Podniecało go to bardzo i szybko osiągał stan erekcji. Kobiety powinny więc jakos zareagować: oburzyć się, odsunąć, przejść dalej lub przynajmniej zmienić pozycję. Żadna jednak tego nie uczyniła. Udały, że nie się nie stało, że wszystko jest w porządku. Niby przypadkiem, nieświadomie brały udział w grze erotycznej.

Wygląd zewnętrzny wskazywał, że były to przyzwoite kobiety. Dlaczego więc tak się zachowywały? Miały prawo przypuszczać, że napastuje je jakiś zboczeniec. Nie musiały się wprawdzie niczego obawiać, bo były w tłumie pasażerów, ale nie powinny pozwalać na bezczelne zaczepki erotyczne. Tłok nie usadniał ustawienia chłopca dokładnie na wprost

fald, przy czym jego ramię objęło siostrę, następnie, równie ostrożnie, zęby Ulricha puszcily napadniętą; prawą ręką objął jej kolano i podczas gdy lewą przyciskał jej ciało do swego, uniósł ją do góry, wyprężając ścięgna nóg. Agata wydała przy tym okrzyk przeżenienia.

Aż do tej chwili była to taka sama niesforna i figlarna gra jak wiele razy już przedtem i choć muskała barwę miłości, to jednak, tylko nieśmiały zamiarem ukrycia jej niebezpiecznej, niezwyklej natury pod taką wesołą poufalszą. Ale gdy Agata przewyciężyła przeżenienie i poczuła się nie tyle uniesiona w powietrzu, ile raczej w nim spoczywająca, wyzwolona nagle z wszelkiej wagi, a w zamian za to oddana łagodnemu, stopniowo coraz powolniejszemu ruchowi, jeden z owych przypadków, nad którymi nikt nie włada, sprawił, że ten stan wydał się jej cudownym ukojeniem, jakby uciekła od wszelkich ziemskich niepokojów; zmieniając równowagę jej ciała ruchem, którego nigdy nie potrafiłaby powtórzyć, zerwała ostatnią jedwabną nitkę skrępowania, odwróciła się do brata padając, jak gdyby nawet w tym padaniu unosiła się jeszcze bardziej wzniosła, i opadłszy jak obłok szczęścia, znalazła się w jego ramionach.

my, by wreszcie opaść na dywan i tak bez wstydu, zazdrości czy skrepowania kochać się wspólnie. Było to tak piękne, podniecające i nowe, że po urlopach przy następnym spotkaniu postanowiliśmy po długiej rozmowie świadomie już organizować wspólne spotkania seksualne całą szóstką. (...) Ponieważ żaden z panów nie ma inklinacji homoseksualnych, uznaliśmy jedynie stosunki między płcią przeciwną, kilkakrotnie natomiast dwie z naszych żon uprawiały miłość lesbijską, ale bardziej z ciekawości niż z rzeczywistych potrzeb. (...) Podczas jednego spotkania trwającego 6–8 godzin na ogół trzykrotnie dochodzimy do orgazmu, korzystając z 8–10 różnych zabaw.

Bawią się w różne gry, próbują rozmaitych pozycji i układów, stosują wibratory i sztuczne członki, oglądają filmy pornograficzne. Swoje postępowanie uważają za bardziej etyczne niż popularne zdrady małżeńskie. Wszyscy mają dzieci i podobno są szczęśliwi.

Być może mężczyznom łatwiej jest pokonać wstyd i uczestniczyć w tego rodzaju spółkach seksualnych niż kobietom. Natura i psychika kobiety jest bardziej subtelna. Ale wśród obu płci występują skłonności dewiacyjne.

Pewien grafoman zwierza się

7 lat małżeństwa i od samego początku małżeństwa, jako element pieścioty, stosujemy z mężem masaż części lechtaczkowej bezpośrednio przed normalnym stosunkiem. Wywołuje to mocny orgazm, który jest wspólnie przedłużany w czasie samego stosunku, a w przypadku, gdy mąż nie jest tego dnia dysponowany, także mnie całkowicie zadowala. (...) Zauważam, że chodzi o masaż obojętnej lechtaczki bez wprowadzania wibratora do pochwy. Dotychczas czuję się świetnie, lecz nie jestem pewna, czy nie wywoła to w przyszłości jakichś ujemnych skutków.

Lucyna K. z Łodzi ma bardzo dziwnego męża, który prosi ją, żeby oddawała się innym mężczyznom. Czule ją żegna, gdy idzie na randkę, a potem z upodobaniem słucha dokładnych relacji. Podniecony całuje jej stopy, uda, pośladki, piersi. Inny zboczeniec namawia swoją żonę do uprawiania miłości lesbijskiej. Marzy o tym, aby uczestniczyć w miłości dwóch lesbijek. Opowiada żonie, jak by to było, gdyby kochała się z inną kobietą. Początkowo budziło to w niej wstręt, a teraz opowieści męża podniecają ją. Ale nie zna we Wrocławiu, niestety, odpowiedniej kobiety.

Z tych intymnych listów wyłaniają się nieprawdopodobne dramaty seksualne. Przyczyna

Współżycie seksualne wymaga odrobiny lubieżności i perwersji, lecz niektórzy przekraczają granice dewiacji.

Seks dla starszych i zaawansowanych

MIROSLAWA SARBINSKA

ich tylko. Czując za sobą podnieconego osobnika mogły w różny sposób okazać dezaprobatę i przerwać grę. Ale nie zrobiły tego. Nawet się nie oglądały.

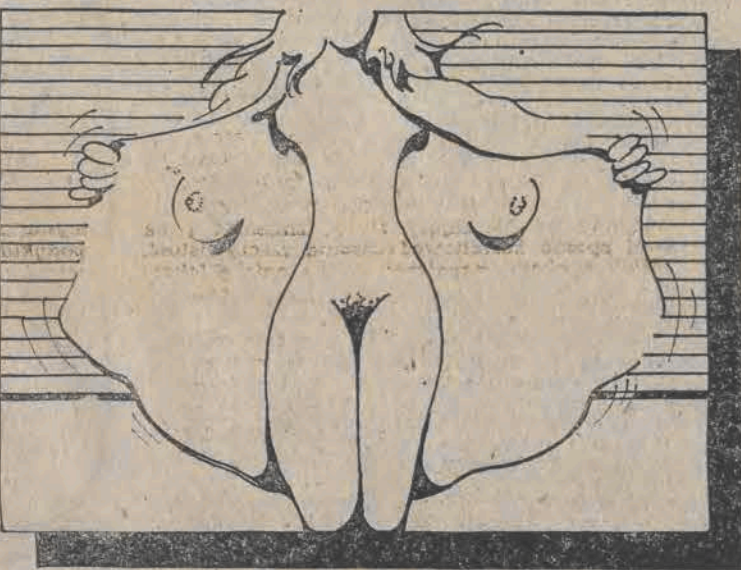
Co można o tym sądzić? Jak wyjaśnić zachowanie owych kobiet? Prawdopodobnie odczuwały pewną przyjemność. Jeśli cierpliwie znosiły dotyk nabrzmiałego członka na pośladkach, to chyba nie było im to niemiłe. Świadomie tolerowały niewinną pieśczęć. Trudno bowiem zakładać, że mój rozmówca pechowo trafił na same istoty z kamienia.

Mężczyzna zapewniał mnie, że nie tylko on bezkarnie igrał w godzinach szczytu komunikacyjnego. Jego koledzy z klasy maturalnej i pierwszego roku studiów również polowali na ładne panie w średnim wieku. Widząc zgrabne, opalone ciała w cienkich sukienkach, nie mogli sobie odmówić drobnej przyjemności. Korzystając z okazji przytulali się do kobiet, które wydawały im się nieosiągalne. Nie wiedzieli jeszcze, że panie w zaawansowanym wieku marzą skrycie o miłości z młodym chłopcem.

Trzeba przyznać, że kobiety świadomie czy nieświadomie prowokują erotycznie mężczyzn. Współczesna moda jest bardzo seksowna. Nosi się krótkie spódnice i przezroczyste sukienki. Wyraźnie widać kształty piersi i pośladków, przeświadcza bielizna. Musi to silnie działać na zmysły. A młodzi mężczyźni są niezwykle pobudliwi.

Na wpół rozebrana piękna kobieta, podnieca nie tylko obcych. Robert Musil przekonywająco ukazał gwałtowną namiętność, która popchnęła brata do własnej siostry. Agata i Ulrich wybierali się na wieczorne przyjęcie. Byli sami w domu. Ulrich obserwował jak siostra z całą uwagą wciąga cienką jedwabną pończochę. Stał za jej plecami.

„Widział jej głowę, kark, ramę i niemal nagie plecy; jej cudo wygięło się nieco w bok nad podniesionym do góry kolanem i konieczny do tego wysiłek utworzył trzy koliste faldy, które delikatnie i bezpośrednio przemknęły w jej jasnej skórce niczym trzy strzały. Urzekająca cielesność tego obrazu, który momentalnie wyłonił się z zalegającej ciszy, wydawała się tracić wszelkie ramy i przesła tak nagle i bezpośrednio w ciało Ulricha, że ten opuścił swe miejsce — nie tak całkiem bezwiednie jak chorągiew rozwijana przez wiatr, lecz i bez świadomego postanowienia — podkrał się na palcach, zaskoczył pochyloną i z dziłą czułością ugryzł w jedną z tych



Bardzo pragnęli uwolnić się od przykrości nagłego pożądania. Ale coś ich powstrzymało przed przekroczeniem niewidzialnej granicy, przed naruszeniem jakiegoś wyższego przykazania. Zmieszani i pogrążeni w zadumie, nie odzywali się tak długo, aż ich uczucia nieco uspokoiły się. Nie poszli już na przyjęcie. Pozostali w domu ze swoją tajemnicą.

Ulrich twierdził, że miłość między rodzeństwem „może być perwersyjna i może być mitem”. Ale przede wszystkim — nie wnioskując w subtelności filozoficzne — jest kazirodztwem, naruszeniem odwiecznego i powszechnego prawa ludzkiego. Ulrich i Agata znaleźli się na granicy dewiacji seksualnej.

Współżycie seksualne wymaga odrobiny lubieżności i perwersji. Jeśli małżonek nie zachowuje się jak uwodziciel, a żona nie ma w sobie maledonkiej domieszki nierządnic, to przed czy później stosunki płciowe stają się nudnym rytuałem. Niektórzy przekraczają jednak granice dewiacji, o czym świadczą listy intymne opublikowane przez doc. Zbigniewa Lwa-Starowicza. Część korespondentów doznaje satysfakcji tylko podczas stosunków grupowych. W imieniu trzech par małżeńskich (co najmniej 8-letni staż, wiek od 29 do 38 lat) pewien dziennikarz pisze:

„Naszą przygodę rozpoczęliśmy ponad 2 lata temu — w czerwcu 1977 roku. Zaczęło się wszystko od pewnych czerwcowych imienin. Upał, wspaniałe nastrój i głęboka łącząca nas przyjaźń (znamy się wszyscy od lat) sprawiły, że zaczęliśmy kilka gier seksualnych znanych nam jeszcze z lat studenckich, potem — rozebrani tańczyli-

w liście, że przyjemność mu sprawia obserwowanie własnej żony w objęciach innych mężczyzn. Kiedy przekonał się, że nie zaspokaja w pełni małżonki (są 8 lat po ślubie, on ma 31 lat, a ona 29) zaproponował jej, żeby równocześnie kochała się z trzema jego kolegami. Początkowo żona była onieśmielona i zażenowana, lecz teraz już sama daje hasło do rozpoczęcia gry. Na popołudniowo-wieczornych seansach odbywają po dwie-trzy kolejki. Grafoman prosi o szczerą odpowiedź, czy wymogi jego żony są ponadprzeciętne. Żona twierdzi, że on nie zna absolutnie kobiet i nie wie, ile one potrzebują.

Rzeczywiście w wielu listach kobiety skarżą się, że mężowie nie mogą zaspokoić ich potrzeb. Jolanta z Katowic odczuwa tak silny głód seksualny, że stała się nerwowa i wybuchowa, nie może zasnąć, zbyt wcześnie się budzi, cierpi na bóle w okolicy krzyżowej i w podbrzuszu. Innej kobiecie (21 lat) nie wystarczy 5–8 stosunków w ciągu nocy; zaczyna myśleć o innym partnerze i obawia się, że ogromny temperament wyprowadzi ją na ulicę... Stenka z kolei ma jeszcze silne pragnienie tuż po stosunku i musi sama kończyć palcem.

Jakaś kobieta pyta, czy nie jest szkodliwe dla zdrowia masowanie lechtaczki przy pomocy wibratora. Podobno kobiety powszechnie używają tego aparatu, aby szybko osiągnąć silny orgazm. Piszemy między innymi:

„Sprawa nie dotyczy tylko młodych dziewcząt uprawiających samogwałt, lecz także kobiet dojrzałych. Będąc na wczesnych, nakryłam na tym panią mającą 58 lat. Sama jestem od

...często jest brak wiedzy i doświadczenia. Powstaje pytanie, kto ma zająć się niezbędną edukacją? Nie załatwią chyba sprawy prymitywne filmy pornograficzne, które krążą między właścicielami magnetowidów. Nie można też wymagać od szkoły, żeby nauczyla sztuki kochania. Każde małżeństwo musi po prostu samo eksperymentować.

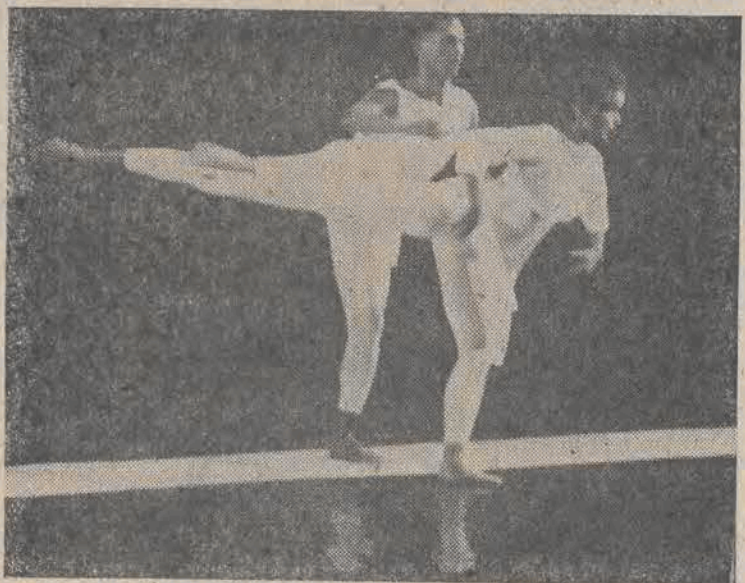
Pocieszające jest, że kobiety stają się coraz bardziej aktywne w łóżku. Ale wciąż jeszcze — jak ustalił doc. Lew-Starowicz — jedna trzecia kobiet nigdy nie pieści i nie dotyka członka partnera. Zaledwie 16 proc. kobiet pobudza członkiem wargami i językiem. Miłość po francusku uchodzi za wyższy stopień wtajemniczenia bądź uważana jest za wybujałą perwersję. A przecież jest to normalna technika w kulturach Wschodu. Znamienny list cytuję dr Szabolcs Szerdahelyi:

„Miałam problemy z seksem. Co tu ukrywać, nigdy nie przeżyłam orgazmu. Kiedyś na prywatce opowiedziałam o tym młemu chłopcu. Obiecał mi pomóc, i to tak, że nawet nie pójdziemy do łóżka. Wyszliśmy do osobnego pokoju i tam mnie rozebrał. Czynniki to delikatnie, jak na zwolnionym filmie. Bardzo wolno rozchylił mi udę, a później zewnętrzne wargi sromowe i pieścił je, z niespotykaną łagodnością zaczął je całować. Miał rację, doznałam rozkoszy. Potem opowiedział mi, że tej sztuki nauczyła go kobieta Dalekiego Wschodu. A zaczęło się to między nimi tak, że gdy tylko poszli do łóżka, wskoczył na nią i był przekonany, że dzielnie się spił. Kiedy skończył, córka Dalekiego Wschodu ku jego największemu zdumieniu zapytała: A co to takiego było? I dopiero wtedy zaczęła się nim zajmować. Po swoim. Ten chłopiec zadzwonił potem do mnie. Już w trakcie rozmowy telefonicznej, na samo wspomnienie tego co było między nami, doznałam rozkoszy”.

W innym liście do specjalisty węgierskiego jakiś mężczyzna pisze, że jego dziewczyna, kiedy miała okres, całkowicie zaspokoila go ustami. Od tego momentu stał się entuzjastą miłości po francusku. Żałuje tylko, że żadna z poprzednich partnerek nie nauczyła go wcześniej tej sztuki.

Nie ulega wątpliwości, że brak w edukacji seksualnej uniemożliwiający wielu ludziom przeżycie wspaniałych doznań. Nie wiedzą nawet, co tracą. Potrzebne są lekcje seksu również dla starszych i zaawansowanych.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:



Tańczy Elisa Monte Dance Company (USA).



JERZY
WALENCZYK



Galeria „W przeciagu”

Satyra prawdę ci powie...

Śpiew dla Rzeczypospolitej

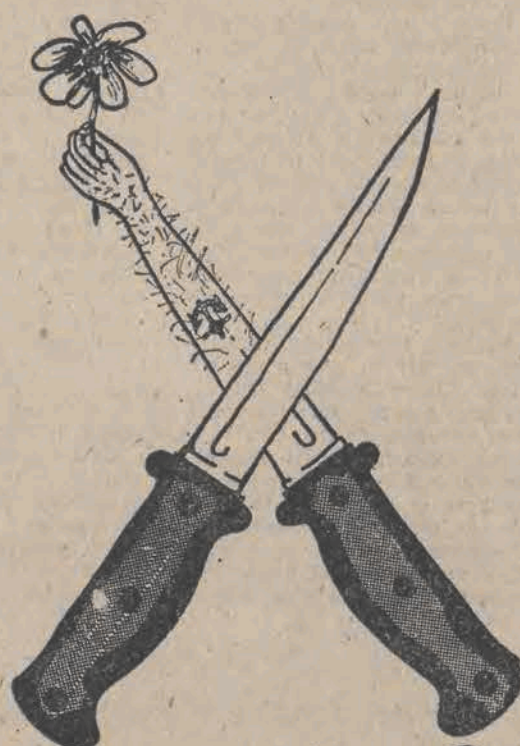
W nowym krawacie, z cygarem suchym w palcach
Stoją przed księgą na głównej ulicy
Mojego miasta. Kawiarnia jest obok.
I kamień spękany tu prowadzi.
A głosnik czasem gwizda jakieś walce
Lub coś nowego. Jestem w tej gromadzie
Wieczorem, gdy stoliki stawiają w czworobok.
A potem sen błędzący nas czeka.
I rzeczywistość w szkiele szczelnym ukryta.
Gdyby tu była chociaż nowa płyta,
Te same oczy, ta sama podnieta.
I pusta salka, chociaż salka pełna.
Rzeczypospolito! To są twoje syny,
Chłopcy posłuszni na ulicach ludnych,
By mieli dobrą drogę, chleb i miód.
Przebieg im ich niepokole nie winy.
Przechodnia zbil, dziewczynę uwiedli,
Chcieli by dźwigać ciężar niesienia,
Daj im żar godny, daj im blask powszedni
I długi lot nad twoją zmiętą ziemią.
Lecz nie każ więcej im krzywo przysięgać
Za paczkę papierosów. W nich się sława
Jak śmierć codziennie dla ciebie wylega.
Chcieli by cieszyć się, o strachu zapominać,
Podnosić wyżej twe pomniki kruche
I rzucić z siebie obojętność, drwinę,
Poświęcać się, zapatrzeć i zasłuchać.
Głos własny słyszeć pośród pięknych głosów.
Oni ci jeszcze nie przywykli kochać,
W szaty, gdzie była pismo, stawiają alkohol,
Klnąc cię głośno, zadrzewiając sąsiedom,
Marząc, że dnia któregoś na zawsze wyjadą.
Rzeczypospolito! To są twoje syny,
Noc chociaż krótka złudzenia wydaria,
A teraz przepłukują swe ochryple gardła.
Matką bądź dla nich. Nie w nich szukaj winy.

Jak przystało na tę galerię i im najwyższe wymagania. „W co-dzienniej pracy — powiedział na zakończenie — i w twórczości ma-wysokie poczucie humoru, co-sprawia, że, po prostu, da się lu-bić i jest bardzo popularną autor-ką „Karuzeli”. Pracuje w naszym-pismie 14 lat, stała 14 zdań i 14-róż z podziękowaniem”. Oprawa-godna więc miejsca i autorki.
Choć Halina Sibińska jest osobą-młodą, w jej pracach zdumiewa-ostrosze widzenia otaczającej nas-rzeczywistości i dojrzałość arty-styczna — celność doboru śro-dków wyrazu, precyzja kompozycji-rysunku, wzbogaconego często fun-kojonującym w nim kolorem, a-wszystko to okraszane inteligent-ną, lapidarną pointą. Nierzadko-słowna. Oto zapelniona pląza dwi-ekształne jejmoście. Jedną z nich-zauważyła: „Nie widzę, co ludzie-widzą w tym naturyzmie”. Dwie-starsze damy. Dama z książką-do przyjaciółki: „Od kiedy przesła-m na emeryturę, znalazłam czas na-czytanie książek”. — powiada, czytaj „Sztukę kochania”. — Oto-duża kolejką. Kobieta do stojącej-przed nią: „Jak rozwiązuje pani-problem wólnego czasu?” To znów-przechodził do zebrańka podsta-wiającego mu kapelus: „Proszę-o odciśnięcie renty!”
Nie ma jednak w tych rysun-kach tego, co złościł i określa-„kobięcy” warsztatem czy „ko-bięcy” treściami. Zarówno for-ma jak i treść — to świadomy-wybor artystyczny. Wyrazem tego-są rysunki nie wymagające-słownej pointy, jak rysunek chło-

pa popędzającego... Pegaza wprze-niętego do ... pług. Precyzyjna-kreska, symbol i kolor. To dzięki-zastosowaniu koloru rysunek nie-jest prymitywny, a raczej banal-na drwina. Jego klimat, celnie-wydobyty kolorem, wyraża znacz-nie więcej. Bo też kolor stanowi-tu doskonałą pointę.
Jedną z recenzentek zauważyła, że Sibińska „często operuje in-tensywnym kolorem takim, jakim-posiuguje się pop-art”. „Popular-art”-oznacza „sztukę społeczną, sztukę-ludu miejskiego” i „nie posia-da możliwości do uchwycenia jed-nolitych cech kierunku plastycz-nego, a jedynym elementem wspólnym dla tych dzieł jest obecność-w nich, lub przypomnienie przed-miotów codziennego użytku, lub-upodobanie miejskiego plebsu”. Ha-lina Sibińska nie odwołuje się do-tych estetycznych wzorców, ani do-ich atrop. Świadomy zamysł wy-raża odważną, klasyczną kreską, w której akcent położony jest na-walory linearne, wykorzystując w-rysunku grę światłocieni wydo-bywanych lawowaniem. To wyzna-cza Halinę Sibińską i czokowe-miejsce wśród polskich rysowni-ków satyrycznych.
Wystawę jej prac warto obej-rzeć. Prezentowane na niej rysun-ki mówią więcej o naszej rzeczy-wistości, niż dziesiątki stron zapi-sanych publicystyką.

MARIAN
ZDROJEWSKI

PESTKI DYNI



Kochajmy się?

Półka z książkami

MRÓZ, MROZEK, LEM I INNI...

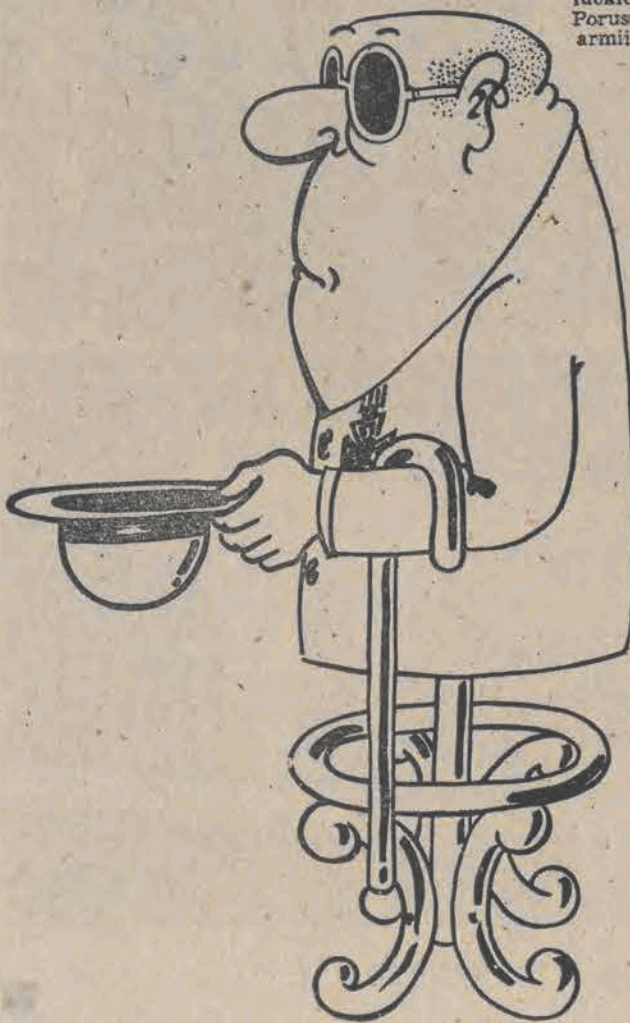
Tytuł jest frastrujący, książka nie mniej. A jest nią album rysunków Daniela Mroza, popularne-go grafika, od lat zwanego z „Przekrojem”, a także ilustratora dzieł Mroza, Lema, Szanław-skiego czy Leca. Album został znakomicie po-myślany graficznie: rysunki Daniela Mroza są-tu ilustrowane prozą wspomnianych wyżej auto-rów, czyli nastąpiła jakby odwrotność w stoso-wanej od wieków regule. Pomysłodawcą był za-pewne sam Daniel Mroź, bo ktoś by lepiej od-niego wykonał obwołane, strony tytułowe i do-konał wyboru ilustracji.
Polecam ten album, choć drogi, a nakład zale-dwie 2 tys. egzemplarzy.

Mroź, Mrozek, Lem i inni... Wyd. Lit. 1989.
Str. 144. Cena 2200 zł.

JAN KOCHANOWSKI

Od 15 do 19 października 1984 r. obradowała w-Warszawie Międzynarodowa i Międzydyscyplinar-na Konferencja Naukowa pod hasłem: „Jan Ko-chanowski 1584—1984. Epoka — Twórczość — Re-cepceja”. Oprócz polskich naukowców byli nau-kowcy z NRD, Rumunii, Włoch, ZSRR, Holandii. Teraz ich referaty i wystąpienia, a także komu-nikaty zostały wydane w dwóch pokazowych to-mach. Europejska kultura w ten sposób złożyła hold jednemu z czołowych przedstawicieli rene-sansu, którego dzieło posiada znaczenie ponad-narodowe.

Jan Kochanowski 1584—1984. Epoka — Twórczość — Recepceja. Wyd. Lub. 1989. Tomy I i II. Cena 5000 zł.
Oprac. E.I.



Rys. Sławomir Łuczynski

„I została tylko fotografia”

Ogromnie ucieszyła mnie wiadomość, że stanie się zadość mojej sugestii (w artykule „Ojczyzna moja” — „Odgłosy” nr 19) i wystawa Barbary Wachowicz „W ojczyźnie serce me zostało” be-dzie przybliżona mieszkańcom Łodzi. 2 czerwca w Muzeum Historii Miasta odbyło się uroczyste otwarcie i jednocześnie spotkanie z autorką. Za-proszeni goście mieli możliwość obejrzenia uni-kalnych zdjęć, a także uczestniczyć we wspania-lym spektaklu. Miał to być swolisty komentarz do-wystawy, tymczasem był to niezapomniany, po-nad godzinny występ Barbary Wachowicz o ce-nach monodramu, który przyjęto z ogromnym-wzruszeniem. Układem ocierano łzy. Bo też Bar-bara Wachowicz to mistrzyni nastroju. Znakomic-ie aktorsko przygotowała wieczór. Swa orację w-pięknie, potocznie polszczyźnie — wspierała cy-tatami z dzieł naszych mistrzów. Zdawało się, że-wytrąsa je z szerokiego rękawa swej fioletowej-sukni.

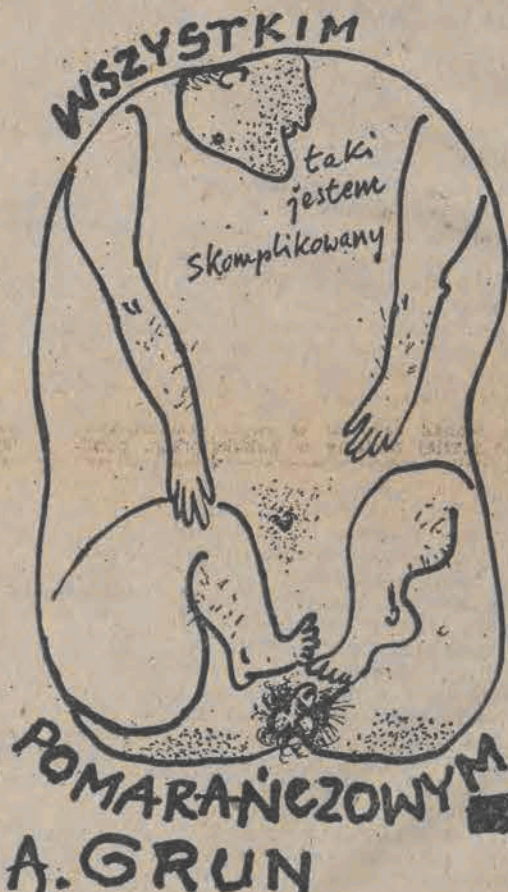
Dostojna, biała sala koncertowa w pałacu Poznań-skiego rozświetlona żyrandolami, z fortepianem i-stylowymi meblami stanowiła odpowiednią sce-nę do opowieści o domu rodzinnym, o ojczyź-nie i jej niezłomnych bohaterach, którzy za nią oddawali życie, bądź pielgrzymowali po świecie, gdy była rozdzielana przez zaborców.
Wzruszały opowieści znanego Niemca — gdzie od-40 lat umilkł w szkołach język polski, a gdzie od-dziś — ludzie, którzy wyrosli na książkach Eli-zy Orzeszkowej, nakłaniają wnuki do polskiej-mowy. Na wystawie można zobaczyć rozlewną-rzekę Niemem, jak naprawdę wyglądała wieś Bo-hatyrowicze i grób autorki „Nad Niemnem”, obok-którego stoją założyciele Towarzystwa Przyjaźni-Polsko-Litewskiej w Grodnie. Są fotografie-ludzi, którzy opowiadali autorce dramatyczne-zdarzenia z ziem kieleckiej. Jest krzyż spróchniały, mechem pokryty — legendarna mogiła Jana Ro-złuckiego — bohatera „Ech leśnych” Żeromskiego. Poruszała historia bohatera, który zdezercerował z-armii carskiej w 1863 roku do powstańców i gdy

schwytywany stał przed plutonem egzekucyjnym-wypowiadał przed stryjem, carskim generałem-o-słabną wole: „Żeby mój mały, sześciolatek, syn, Piotr, był wychowany jako Polak...” I jak to-przysła do tego syna — ojczyzna, gdy stanął na-grobie ojca w obcym mundurze jako wychowa-nek Akademii Mikołajewskiej i wypowiedział to-jedno słowo: Polska.

Są na fotografii dwie babce. Każda z nich ma-swoją wersję legendarnej śmierci Salomei z „Wier-nej rzeki”. Tej krótkiej rzeki zwanej Łosną, Łosną-na — dziś Wierną nazwana. „Bo kto jej co za-wierzy — to na zawsze. Podobno jeden powsta-niec potopił papiera „w rzecę, a zlandary latały, szukały i nie znalazły”.
Barbara Wachowicz kilka razy ewokowała-wspomnienia domu rodzinnego. Był to dwór szla-hecki na Podlasiu, z którego wyniosła przywia-zanie do tradycji i miłość do skrawka ziemi naj-blizszej. Gdy z humorem opowiadała o konflikcie-między jej dziadkiem — organistą w miejscowym-kościółce, a dzwonnikiem, który notorycznie za-głaszał muzykę organów — cudownym zbiegiem-okoliczności zabity dzwony na sąsiednim koście-le...

Przy dźwiękach fortepianu harcerze śpiewali-„Pieśń o domu”. Autorka wreczyła drużynie im. Janka Bytnara — „Rudego” — fotografię patro-na, zrobioną na kilka dni przed jego tragiczną-smiercią. Był to kolejny dowód, że kiedy zosta-nie chociażby fotografia to... to bardzo wiele. Jest to główna idea wystawy, do obejrzenia któ-rej jeszcze raz zachęcam. Wystawa czynna tylko-dwa tygodnie.

DANUTA
KONIECZNA-MALATYŃSKA



ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



O KARIERACH

dyrektorskich w teatrach, dawniej i dziś, pisze Wojśław Brydak („Wybrzeże”): „Axer, Dejmek czy Hübner obejmowali-teatry w wieku dwudziest kil-ku lat. Owe dyrekcje zaowoco-wały długimi, ważnymi kariera-mi i dorobkiem cytowanym na-każdym kroku. Coś podobnego-dałoby się powiedzieć o ich kil-ku wybitnych rówieśnikach, a-także o nieco młodszych nastę-pcach. Przez swój teatr wyrażali-się lub wyrażają i Warmiński, i-Szajna, i Braun, i Okopiński, i-Cywińska, i Hussakowski, i Prus, i-Grzegorzewski, i Englert, i-Cybulski; mogłoby paść jeszcze-kilka ważnych nazwisk. Ale tu-taj już nie zawsze uderza cią-głość, i na ogół im młodszy twór-cy teatralni, tym mniej konse-kwencji w karierze, tym mniej-ciągłości właśnie. Najmłodszy bar-dzo utalentowani, Wiśniewski, Zaleski, Babicki, Bradecki w

ogóle nie prowadzili teatrów za-wodowych, nie prowadzą, i, zda-je się, nie pałają się do tego. Po-przestają na robieniu przedsta-wień na życiowych scenach pro-wadzonych przez kogoś innego (...)
Reżyser bez zespołu to trochę-jak skrzypek grający na pozycy-onym instrumencie. Ale w-dzisiejszych warunkach dbanie-o własny instrument tak absorbu-je, że może zabraknąć pomysłów-na grę. Mamy więc do czynienia-z błyskotliwymi inscenizacjami-najmłodszych artystów, ale nie-widać zarysów ich teatru”.

ŁĘKI I OBawy

„Czasami otrzymuję listy za-wierające nieprzyzwoite słowa-czy rysunki — mówi naczelny-redaktor „Ogonioka” Witajł Ko-rolczak. — Zdarzają się też po-gróżki, z których najagradniejsza-zapowiada, że zrobią mi z twa-ry kotlet. Bywa też, że nasz ty-godnik naraża się na krytykę-pewnej gazety, z którą, siłą przy-zwyczajenia, nikt nie ośmiela-się dyskutować: mam na myśli-„Prawdę”. Gazeta ta budzi ponoć-lęk tak głęboki i zasadniczy, że-przewyższa on dziesięciokrotnie-wszystkie lęki.

Coś jednak zmieniło się w-na-szym społeczeństwie. Lęki i oba-wy, inaczej niż w przeszłości, ma-ny zawsze się sprawdzają. Ma-

china, która podporządkowała-sobie innych za pomocą miaż-dzenia, a nie perswazji, jest już-na wykończeniu. Ale panowanie-nad innymi poprzez strach, dys-ciplina poprzez strach, dyskusja-sterowana poprzez strach —-wszystko to nadal żyje w du-szach i w doświadczeniu milio-nów ludzi. Strach potrafi zablo-kować klawisze maszyny do pi-sania, potrafi zakneblować usta-i zatkać uszy. Ale dziś ten strach-stopniowo zanika i naród zaczy-na z wolna powracać do życia.

Uczymy się wypowiadać gło-sno słowa, które baliśmy się artykułować przez całe dziesięcio-lecie. W przeszłości „Ogoniok”-nie mógł zdecydować się na to, by wydrukować choćby jedno-zdanie nawiązujące do potrzeby-kontroli społecznej nad radziec-kim wojskiem i KGB. Dziś dru-kujemy wszystko, pod czym mo-żemy się podpisać — i tak być-powinno...

Na ogół ci, którzy się z nami-nie zgadzają, piszą listy do Ko-mitetu Centralnego lub do rzą-du domagając się, by nasz ty-godnik został ukarany lub zaka-zany. Wielu z tych, którzy się-na nas skarżą, ani nie chce, ani-też nie wie, jak z nami bezpo-srednio dyskutować. Zapytałam-kiedyś pewnego człowieka, któ-ry napisał krytyczny list do Ko-mitetu Centralnego w sprawie-„Ogonioka”, dlaczego właściwie

O KOPERNIKU

Marcin Luter o teorii Mikołaja Kopernika: „Wspomniano o-nowym astrologu, który chciał-dowiedzieć, że Ziemia porusza się-i chodzi wokół, a nie firmament, albo niebo, Słońce i Księżyc(...)”. Ale tak to teraz uchodzi: kto-tam chce być mądry, ten musi-sobie coś swojego wymyślić, to-musi być najlepsze, co on zro-bił! Ten głupiec chce wywrócić-całą sztukę astronomii. Ale, jak-wskazuje Pismo Święte, Jezus-kazał Słońcu zatrzymać się, a-nie Ziemi!”

(„Warmia i Mazury” nr 11)
„MAŁY
GENETERNIK”

„Pod nazwą „Mały chemik”-można było dawniej nabyć ze-



Ostatni „krajowy” i goście z Kuby

Mamy za sobą wszystkie już występy zespołów polskich, w tym trzeci już program poświęcony wielkiemu artyście baletu Wacławowi Nijzyskiemu. W dalszym ciągu nie będzie zbieżności, w jakim stopniu ta czy owa realizacja dochodzi do wierności dokonaniom choreograficznym bądź zamierzeniom sławnego rodaka, ani też czy fabuła nawiązująca do jego życia zawiera prawdę. Przecież przekazuje się nie inną, jak tylko legendę o człowieku i artyście.

Zespół Teatru Wielkiego w Warszawie pokazał się więc tym razem w programie pt. „Nasz Nijzyski”. Dane na początek „Marzenie” do muz. Debussy’ego i „Glazunowa”, w chor. Zygmunta Sidly, a wykonaniu uczniów warszawskiej szkoły baletowej ocenilibyśmy z ostrym optymizmem. Następnie po „Narcyzie” do muz. Mikołaja Czerepnina, w chor. Zofii Rudnickiej, w sprawnym wykonaniu MIROSLAWA GORDONA w wianusku trzech Nini, nadarzyła się nam okazja skonfrontowania „Modrzejka z różą” do muz. Webera w chor. Zbigniewa Juchnowskiego z oglądaniem przed kilku dniami „Duchem róży”, do tej samej muzyki „Zaproszenia do tańca”, wykonywanej wówczas przez Poznański Teatr Tańca iż i dowieńniej, choć i obecnie przedstawieniu nie można nie zarzucić.

Bez większego wrażenia odbierałem „Arlekinadę” do fragmentów „Karnawału” Schumann’a, w insc. i chor. Teresy Kufajew. Znacznie więcej zainteresowania wzbudziły, jak sądzię, „Gry” do muz. Debussy’ego, w chor. Emila Westofowskiego. Ten utwór „z kluczem”, z nieludnymi do rozszyfrowania pierwotnymi scenicznymi postaciami, dostarczył okazji do tanecznego popisu ANNY BIAŁECKIEJ, ERY GŁOWACKIEJ, MIROSLAWA GORDONA i LUKASZA GRUZIELA.

Mile zaskoczyło mnie „Wspomnienie” do muz. „Ogólnego piąka” i „Pietruszki” Strawińskiego, będące podobno debiutem choreograficznym znanej taneczki Kamy Akuciewicz. Rzecz odznacza się dowcipem i świeżością wyobraźni oraz wrażliwością reagowania na treści muzyczne. Zasyfrowana para Wacława i Tamary tańczyła znakomicie LUKASZ GRUZIEL i ELŻBIETA KWIATKOWSKA, a jak należy wrażeń w roli Marietonki pozostawiła ELŻBIETA CYRAN i KRZYSZTOF SŁON.

Pięknym zwieńczeniem wieczoru był „Dafnis” ze wspaniałą muzyką Ravela, a nasz wybitny tancerz WALDEMAR WOLK-KARACZEWSKI pokazał się z wielkim powodzeniem w potężnej roli inscenizatora, choreografa i projektanta kostiumów. Dużą skalą środków ekspresji odznaczało się wykonanie MI-

ROSLAWA GORDONA (Dafnis), BEATY WIĘCH (Chloe) i JACKA PRZYBYŁOWICZA (Bóg).

Omnienie poprzedniego występu stołecznych gości pragnę dziś uzupełnić zagubionymi gdzieś słowami uznania dla ERY GŁOWACKIEJ, DARI DĄBUN, BARBARY KRYDŁY i BEATY SZYMAN-SKIEJ.

Ostatni występ polskiego zespołu Teatru Wielkiego w Poznaniu, z dwoma utworami w insc. i chor. znanego nam już z najlepszej strony Mirosława Różalskiego (w gościnnych występach Polskiego Teatru Tańca). Scenografię do obu utworów opracował IRENEUSZ DOMAGAŁA.

W „Domu Bernardy Alba” — wg znanego dramatu Garcil Lorki, udało się realizatorom i wykonawcom wyrazić środkami tańca surową i mocną atmosferę tradycyjnego hiszpańskiego „domu kobiet”, gdzie pod powierzchnią rygoru wymuszonego przez despotyzm Bernardy (MALGORZATA PLATKOWSKA), matki sześciu córek, z coraz większą mocą dojrzewa ich pragnienie swobody i miłości. Zresztą tem jest w tej realizacji wielkoleński blok mieszkalny, bo też i za każdym z jego oświetlonych okien mogły się i dziś rozgrywać podobny dramat. Portywaląca muzyka gitarowa i śpiew inspirowany motoryczny, pełen dumnych pragnień, tańców samotnych kobiet, a gdy wtargnie w ich życie mężczyzna (JACEK SZCZYŹKOWSKI), stanie się sprawą nieuniknionej tragedii, Bernarda zaś utraci władzę nad córkami.

Nie wzbudził również silnych emocji balet „Quasi-modo” na literackim motywie z Victora Hugo, do muz. Arthura Honeggera. I tu, jak poprzednio, inscenizator zamierzał w syntetycznym skrócie przedstawić literacki wątek, pełen romantycznych niezwykłości, a jednak utwór nie oparł się przegadaniu i dużyżym, mimo iż nie tylko JACEK SZCZYŹKOWSKI w roli tytułowej i EUGENIA PIŚCZYK jako Esmeralda, nie i pozostali soliści oraz cały zespół zaprezentowali duże umiejętności taneczne i interpretacyjne.

Narodowy Balet Kuby, założony i kierowany przez Alicję Alonso, gościł już na łódzkich Spotkaniach, oczekiwaliśmy więc i tym razem również wielkich przeżyć, jak poprzednio. I przynajmniej częściowo nie zawiedliśmy się, gdyż z dziesięciu utworów pokazanych podczas trzech wieczorów co najmniej połowa reprezentowała oryginalne propozycje choreograficzne, a poziom wykonawczy liczącej grupy soliści i towarzyszących im grup tanecznych mógł zadowolić bardzo wymagających miłośników baletu.

Z programu pierwszego dnia uczucie niepełnej satysfakcji mógł wywołać, moim zdaniem, jedynie utwór „En la noche” (W nocy), na muzycznym tle nokturnów Chopina, wykonywanych „na żywo” przez pianistę, będącego zapewne stałym akompaniatorem baletu. Nie wniosło to nic nowego do „chopinowskich” tradycji baletowych, toteż powtórzenie tego utworu w programie drugiego wieczoru można odczytać chyba jako gest wobec rodaków kompozytora.

Z pewnością silne wrażenie wywarła zarówno „Dionaea” inspirowana przez przyrodniczy motyw walki przez wzajemne pożeranie się, jak i — brać w uwzględnienie przez troje soliści „Suite guerrier”. Widzieliśmy też jeszcze „Dido abandonata”, oparte na waleku kartagińskiej Dydony z udziałem Alicji Alonso, która występowała również w dwóch kolejnych wieczorach, toteż może o niej — osobno.

Drugi wieczór mógł się upamiętnić zwłaszcza dzięki oryginalnemu utworowi „El reto” na tle popularnej w krajach latynoamerykańskich walki kogutów. Wacława pokonany — zdawał się mówić przebieg akcji i nie mógł pokonany liczyć na zwycięstwo, a zwycięzca, dopóki nie okazał mu swej wielkoduszności zwycięski rywal. Na zakończenie tego programu Alicja Alonso wystąpiła w utworze pt. „Amaris”.

Ostatniego dnia oglądaliśmy inscenizację Hamleta, która wbrew zapowiedzi okazała się nie tyle odprężającym odczytaniem sensu szekspirowskiego dzieła, ile próbą znalezienia dlań jak najczytelniejszej tanecznej interpretacji. Potem nastąpił najbardziej, moim zdaniem, porażający utwór z całego pobytu gości, „Malizmo” do muz. Massneta. Był to taniec pełen żywiołowego temperamentu i niezawodnej sprawności, w którym grają i precyzyjnie ruchowa trzech tancerzek szła o lepsze z dynamicznymi i zarazem niezwykle miękкими skokami czterech tancerzy. Błyskotliwy popis, w którym prym wiodła para: OFELIA GONZALES i DAGMAR MORADILLO.

Ten wieczór kończył występ ALICJI ALONSO i towarzyszącej jej grupy tancerzy w „La diva” dla uczczenia pamięci Marii Callas. Wielka klasa artystyczna Alicji Alonso, jednej z najznakomitszych tancerzek naszego stulecia, nie wymaga od piszącego kurtuazyjnych gestów, lecz raczej różnicowania ocen poszczególnych wykonawców. A nie we wszystkich, jak sądzię, wykonywanych u nas partach artystka rozgrywała swoje najmocniejsze działy. Ani bowiem „Dido”, ani „La diva” nie dają jej, jak „Amaris” sposobności do roztoczenia przed widzami tak szlachetnego w swym wyrazie gestu, tak sugestywnych gry ramion i dłoni, jak również zwrotów i pochylów głowy — co z nieporównywalną maestrią podkreślało majestat boskiej Afrodyty. Partnerowali soliście JORGE VEGA jako Ares i RAFAEL PADILLA jako Adonis. I ten właśnie występ chyba najświetniej utrwalił się w wdziedzieli pamięci widzów.

Za tydzień ostatnie omówienie baletowych prezentacji i próba ich całociowej oceny.

JERZY KWIECINSKI



Foto: Wiktor Sawiuk

wrecz akrobacji wchodząc na stół i splewając do mikrofonu, dał także próbkę swych możliwości tanecznych. Publiczności nie musiał nawet specjalnie zachęcać do uwierzenia wrodzonego poczucia rytmu (zdecydowany prym w tej materii wiodli obecni na koncercie ciemnoskórzy), jego muzyka sama kołysze bledra i wprawia w ruch nogi.

Tak więc po blisko siedemdziesięciu latach od pierwszego historycznego „cudu nad Wisłą” doszło do drugiego. Tym razem był on nawet podwójny, gdyż jego autorem stał się muzyk, którego artystyczny pseudonim tak można właśnie tłumaczyć i który ożył na kilka godzin całym latami martwy Stadion X-lecia.

MARIOLA KNAGA

Galeria pisarzy

ZBIGNIEWKOSIŃSKI



Rys. Sławomir Arabski



„Dom Bernardy Alba” Teatr Wielki w Poznaniu. Foto: Zb. Siaszyszyński



Kronika

W PONIEDZIAŁEK rozpoczęły się w Łodzi trzecie Międzynarodowe Targi Odzieży, Zakam, Działalności i Wyrobów Skórzanych „Interfashion 89”, które są imprezą tanią, atrakcyjną i o wysokim poziomie. Na łódzkich Targach swoje wyroby prezentuje 86 wystawców — w tym 59 z Polski i 27 zagranicznych, m. in. z Australii, Argentyny, Belgii, Francji, Holandii, Indii, Pakistanu, Kenii i Berlina Zachodniego, Turcji, Węgier, NRD, ZSRR.

Z OKAZJI DZIA BIBLIOTEKARZA najbardziej zasłużonych uhonorowano dyplomami ministra kultury i sztuki. Na liście wyróżnionych znaleźli się: Izabela Nagorska, Elżbieta Równicka, Piotr Bierozyński, Anna Domagała, Aleksandra Piuszewska, Andrzej Gawroński, Maria Szeżuka, Lucyna Sulkowska, Elżbieta Siuńska, Andrzej Kempa, Iwona Szymczak, Zofia Wilńska, Monika Ziomek, Michał Kuna i Waleria Konarska. Medalami ZG SBP uhonorowano Lucynę Wojcik i Danutę Przybylską.

W DNIACH 13-14 BM. trwały egzaminy do szkół ponadpodstawowych. W liceach ogólnokształcących przygotowano 3.900 miejsc, w które ubiegało się 4.394 tegorocznych absolwentów szkół podstawowych. W średnich szkołach zawodowych naszego województwa przygotowano 3.480 miejsc, natomiast w zasadniczych szkołach zawodowych — 8420.

W ŁODZI ODBYŁA się sesja naukowa poświęcona problemom teoretycznoliterackim ewoluującym w twórczości znakomitej uczoniej — prof. Stefani Skwarczyńskiej. Organizatorem sesji był Instytut Teorii Literatury Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego, zaś współorganizatorem — Łódzki Oddział Polskiej Akademii Nauk.

W Łodzi odbyło się spotkanie środowiska literackiego z pisarzami i tłumaczami z Lublany, na które przybyli dr Tone Pretnar i mgr Niko Jež — pisarze i tłumacze, a jednocześnie pracownicy nauki Uniwersytetu w Lublanie. Gościom towarzyszyła doc. dr Bożena Ostromecka — tłumaczka i wykładowca języka polskiego na tamtejszym uniwersytecie. Gości podejmował prezes ZO ZLP — Karol Strylski, przy udziale przedstawicieli Wydawnictwa Łódzkiego — które prowadzi słynną już „Bibliotekę Jugosłowiańską” — Bożeny Gogolewskiej.

W WIEKU 92 LAT ZMARŁ PROF. DR EDWARD ROSSET — wybitny uczony, autor licznych prac z zakresu demografii, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, zastępca przewodniczącego Oddziału PAN w Łodzi, współorganizator wielu towarzystw naukowych, krajowych i zagranicznych, wychowawca licznych pokoleń statystyków i demografów.

W UB, PONIEDZIAŁEK odbył się X Wojewódzki Zjazd Towarzystwa Wiedzy Powzechnej — wielce zasłużonego w popularyzowaniu wiedzy.

Wybrano nowe władze i delegatów na Zjazd Krajowy. W MUZEUM SZTUKI w Łodzi otwarto wystawę „DEVESTIL” — czeskiej awangardy artystycznej lat dwudziestych. Wystawę, na której zaprezentowano ok. 300 obrazów, rzeźb, projektów, książek, dokumentację architektoniczną i makiet teatralnych zorganizowano przy udziale dyrekcji Galerii Stołecznej Miasta Prahi. Te niezwykle interesująca wystawa radziły obejrzać.

W WYŻSZEJ SZKOLE SZTUK PLASTYCZNYCH otwarto wystawę towarzyszącą tegorocznym targom „Interfashion 89”. Prezentowane są na niej tkaniny odzieżowe i dekoracyjne, dzianiny, konfekcje z dzianin i tkanin, futra, obuwie, biżuteria autorstwa studentów tej uczelni. Na wystawie zobaczyć można także plakaty opakowania oraz obrazy młodych artystów.

ŁÓDZKI „DYWLAN” przygotował na targi „Interfashion 89” bardzo ciekawą wystawę dywanów, wykładzin, chodników oraz specjalną kolekcję „Portretów”. MIĘDZYUCZELNIA INSTYTUTU NAUK POLITYCZNYCH UL. Zarząd Łódzkiej ZSMP przy współudziale Katedry Historii i Teorii Wychowania UL zorganizował I Symposium pt. „Ruch młodzieżowy w krajach socjalistycznych”. Oprócz polskich uczonych z wielu ośrodków akademickich kraju w symposium wzięli udział naukowcy Bułgarii, Węgier, Czechosłowacji, Jugosławii i ZSRR.

ZAKŁADOWY DOM KULTURY „UNIONTEKXU”, należy do tych placówek, które prowadzi bardzo bogatą i wszechstronną działalność artystyczną. Grupa Wokalna „Amabile” zaprasza dziewczęta i chłopców w wieku od 17 do 21 lat; osoby zainteresowane mogą zgłaszać się w ciągu czerwca we wtorki i czwartki, w godz. 16-18.

ZAPROSILI NAS: Nasz stały współpracownik, Sławomir Łuczyński, którego rysunki zamieszczamy na sąsiedniej stronie, zaprasza do Muzeum Miasta Fabianów na swoją — dodatkową, bardzo interesującą — wystawę satyr.

Muzeum Miasta Zgierz na wystawie 100 kosztowności” pochodzących ze zbiorów Muzeum Zamkowego w Głuchau (NRD).

Galeria Teatru Studyjnego na wystawę rysunku Janusza Wierzborka.

Z RELACJI z łódzkiego festiwalu „Jeunesses Musicales”, wypadły informacje o występach łódzkiej Grupy Parkusowej oraz utalentowanej, 16-letniej pianistki z Wrocławia — Dagmary Krupowicz. Przepraszamy.

Cud nad Wisłą

27 maja 1989 r. Stadion X-lecia, Warszawa. Ta data i miejsce każdemu, kto choć trochę interesuje się muzyką, mówi wszystko. Wielki koncert niezapomnianej gwiazdy muzyki soul — Stevie Wondera.

Przyjechał do Polski dzięki skonsolidowanemu wysiłkowi Fundacji Wspierania Inicjatyw Gospodarczych, Spółki Akcyjnej „ESTRA” i agencji Bo Johnson Concert and Promotion. Organizatorzy, licząc na dużą frekwencję, wybrali na miejsce koncertu potężny stadion, zbudowany w czasach gigantomanii i straszny zmuszający ławkami. Stadion się jednak zawiązał w swym kalkulek, gdyż mimo niezłej reklamy w publikacjach, publiczność wypełniła stadion zaledwie w jednej czwartej. Niby totalna klęska, ale tylko z porozu. Narzekania na słabą frekwencję nabierają zupełnie innego wymiaru, jeśli wziąć pod uwagę, że wykonawców, którzy występowali w naszym kraju przed 25-tygodniową widownią można zliczyć na palcach jednej ręki. Być może nazwiska Tiny Turner (choć w 1981 r. przed jej słynnym come backiem, za duży okazał się dla niej Torwar), Stinga, Phila Collinsa czy jeszcze parę innych zdołaby przyznać czterem rąkom więcej ludzi, ale sprowadzenie gwiazdy tego formatu miało być proporcjonalnie wielce kosztowne i strach pomyśleć o cenie biletów, choć i to nie Wondra nadszarpnęło niejedną kieszeń.

Mozna domniemywać, że swe rachuby na sukces kasowy opierali głównie na tym, że ten wielce utalentowany wokalista i multiinstrumentalista ma bardzo szeroki krąg odbiorców, jest popularny zarówno wśród rockianów, jak i w środowisku jazzowym, zna go dobrze także bywalcy dyskotek. Stevie Wondera nie da się bowiem wrzucić do jednej szufladki, on sam najlepiej czuje się w stylu soul, muzyce murzynskiej duszy (powstałej z symbiozy bluesa i pieśni gospels), choć jako cudowne dziecko wystartował w wieku 12 lat do rytmu and bluesa, a w latach światowego boomu na rocka komponował i nagrywał utwory utrzymane w jego konwencji.

Warszawski koncert to wielkie show w amerykańskim stylu, choć bez szczególnej dramaturgii, świetna zabawa i wysoki poziom wykonawczy, ale za dużo komercyjnej Zastrzeżenia budziła też strona wizualna widowiska, gdyż zabrakło obiecanych w

zapowiedziach koncertu wielkich ekranów, na których obraz miał być widoczny z każdego punktu stadionu. W tej sytuacji tylko nieliczni mieli szcście zobaczyć jak wygląda artysta z bliska. Za to dwie piramidy kolumn głośnikowych, osłagające wysokość średniej wielkości kamienicy i cały szereg akustyków, rozlokowanych na dwupiętrowej wieży pośredku boiska, zapewniły dobrą słyszalność nie tylko publiczności na stadionie, ale chyba również w nadwiślańskim parku. Najkrócej mówiąc — lepiej było słyszeć niż widzieć.

Pierwszą część koncertu wypełniały mało znane nagrania z najnowszej płyty artysty — „Characters”, wydanej w 1987 roku, która w przyszłym roku ukazać się w Polsce nakładem „Polskich Nagrań”. W 2,5-godzinny koncert nie wchodził ten gigant światowego show-businessu przypominał prawie wszystkie swoje największe przeboje, na czele z dynamicznym „Superstition” i evergreenem „You Are the Sunshine of My Life” czy „Isn't She Lovely”. I w końcu już „wyszechtany”, dąsający „I Just Called to Say I Love You”, w chwilę po uroczystości przekazania przez niewidomego artystę swego honorarium za sprzedaż praw autorskich do swej ostatniej płyty w wysokości 33 mln złotych na fundusz działań niesprawnych, dzielnie sekundował mu Wojciech Mann. Publiczność, wśród której nie brakowało również ludzi na wózkach inwalidzkich, nagrodziła ten piękny, głęboko ludzki gest brawami, a nawet załotnowała „Sto lat”. Stevie Wonder nie raz już dowodził swojej wielkiej wrażliwości, inicjując różne akcje charytatywne. Na wieść o śmierci Johna Lennona, tragicznego wieczoru, kiedy koncertował wspólnie z Carlosem Santaną w Kalifornii, zażędykował mu utwór „I Ain't Gonna Stand For It” (Nie zgodzę się na to).

Pisząc o tym koncercie nie sposób pominąć współautorów widowiska, a mianowicie całego dzieła wieloosobowego zespołu, wykorzystującego bogate instrumentarium, choć może chwilał brzmienie w nim saksofonu. Sam lider wielkość czasu spędzał przy najnowszym modelu „Yamaha”, stojącej na pleksiglasowych nogach, ale kilka razy przesłał się również do niebieskiego fortepianu, akompaniując sobie w nastrojowych soulowych balladach. Nadzwyczaj żywoty i pogodny Stevie jednak nie tylko zasiadał przy klawiszach, w pewnej chwili dokonał

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

staw, który niejednej uzdolnionej latorośli umożliwiał uzyskiwanie niezłych efektów pirotechnicznych, rodziców zaś zmuszał do nieustannej czujności. Obecnie na rynku pojawił się wariant tej gry, coś jak gdyby „Mały genetyk”.

Firma Carolina Biological Supply z Burlington (Pn. Karolina) rzuciła na rynek zestaw o nazwie „Colony Transformation” (Transformacja kolonii). Zawiera on wszystko, czego potrzeba do szczęścia młodocianemu amatorowi biologii molekularnej: kultury bakterijne, stosowaną pożywkę, koliste łańcuchy DNA (tzw. plazmidy), instrumenty potrzebne do transferu genów i obszerny podręcznik. Przyszły badacz może podjąć pierwszą próbę ingerencji w materiał genetyczny, transplantując obcy gen bakteriom Escherichia Coli. Gen ów sprawia, że bakterie stają się odporne na ampicylinę.

Po skończonym eksperymencie — jak usilnie doradza podręcznik — mały genetyk koniecznie powinien sobie dobrze umyć ręce.”

(„Forum” nr 22)

A LUDZI PRZYBYWA

Według ocen ONZ, tempo przyrostu ludności świata osiąga

„punkt krytyczny”. Jak poinformowała dyrektorka Funduszu Ludnościowego ONZ, pani Nafis Sadik, liczba ludności świata zwiększa się co roku o 90 mln i sięga obecnie 5,3 mld. Jeśli wysiłki na rzecz kontroli urodzeń i planowania rodziny nie powiodą się w pełni, do roku 2100 żyć będzie na kuli ziemskiej 14 miliardów ludzi.

MORDERSTWO CZY...?

„Sensacja goni sensację! Nie tak dawno — w sposób dość wiarygodny — zakwestionowano wersję o samobójstwie Włodzimierza Majakowskiego, twierdząc, że został on zamordowany, a teraz podważona została wersja o samobójstwie innego poety rosyjskiego, a mianowicie Siergieja Jesienina. Tragedia jaka rozegrała się w końcu grudnia 1925 roku w apartamencie hotelu „Angleterre” w Leningradzie, wymaga — tak jak w przypadku śmierci Majakowskiego — dokładnego zbadania. Tymczasem badacz twórczości Jesienina, S. Demidzenko, oraz lekarz prof. S. Morochow, sugerują, m.in. na podstawie oryginalnego aktu sądowej ekspertyzy medycznej i fotografii martwego poety, iż został on najpierw pobity (uszkodo-

dzona czaszka), ciężko ranny, a następnie uduszony. Ich zdaniem — ani gwałtowna nagonka ze strony „proletkultowców”, inspirowanych w.in. przez Lwa Trockiego, ani alkoholizm Jesienina nie mogły go zabić i doprowadzić do desperackiego kroku, skoro w tym właśnie czasie pragnął on rozpocząć nowe życie, z dala od Moskwy.

Wersja o samobójstwie miała więc zostać spreparowana pod czujnym nadzorem. Podano ją zresztą do publicznej wiadomości 28 grudnia 1925 roku, podczas gdy ekspertyza lekarska sporządzona została dopiero nazajutrz. Ciekawostką w całej tej sprawie jest także to, że przyjaciel Jesienina, G. Ustinow, który zwierzył się prywatnie, że zdradzi prawdziwą okoliczności śmierci poety, następnego dnia został znaleziony z pięcią na szyi.

Jak więc zginął Jesienin? Czy było to samobójstwo, czy morderstwo? Dowiemy się o tym, być może, już niebawem. Na razie znany pisarz Wasilij Bielow postawił wniosek, aby pod pieczęcią Związku Pisarzy powołać komisję, która zajmie się zbadaniem okoliczności śmierci Jesienina.”

(„Wprost” nr 24)

Nie to jednak było najstraszniejsze. Pewnego razu, ale było to nieco później, jeden ze współwzięńców, „Siwy”, dostał gryps i przekazał Stanisławowi Wiąckowi wiadomość, po której ten po raz pierwszy w więzieniu zapla-kał. Rzecz w tym, iż ubowcy co parę dni wpada-
li na rewizję do Trzcianki i z domu zawsze coś gineło. Rodzice nie wiedzieli, że Stanisław siedzi, a Józef nie wiedział, że Stanisław u-
bowcy kazali wejść ojcu na strych, a oni za-
nim. Ojciec zatrzymał się tuż przy schodach, obok wisiało na haku siodło. Zapytano, gdzie
stary trzyma swoich bandytów. Ojciec odrzekł,
że synowie mają powyżej trzydziestu lat i nie
opowiadają mu się, gdzie i co robią. Funkcjo-
nariusz chwycił za pułsika, zerwał z haka sio-
dło i walnął nim ojca w głowę. Ojciec runął
za schodów i w wyniku doznanych obrażeń za-
jutrz zmarł.

29 czerwca 1945 r. dotarła wiadomość, że
następnego dnia St. Wiącek stanie przed sądem.
Oficjalnie nazywano się to: „Posiedzenie Woj-
skowego Okręgowego Sądu w Łodzi na sesji
wyjazdowej w Kielcach”.

Ranek 30 czerwca Stanisław Wiącek został
wywołany z celi i odprowadzony do bramy.
Czekało tam już 9 ludzi, m.in. major Stanisław
Dorosiewicz. Człowiek ten w bardzo krótkim
czasie dokonał poważnych malwersacji w wojs-
ku, w związku z czym miał zdać swój pułk
oficerowi radzieckiemu, samemu zaś zamelo-
wać się w Warszawie. Dorosiewicz z grupą
współników postanowił uciec, ale że pociąg
kursowały wówczas strasznie kulawo, utknęli
na stacji w Skarżysku, gdzie z łatwością ujęto
ich, ponieważ byli kompletnie pijani.

Więźniów wsadzono do samochodu ciężarowe-
go i zawieszono do WUB na ul. Focha. Na ko-
rytarzu chorąży wręczyli każdemu kartkę z wy-
pisanym szeregiem artykułów i paragrafów. Do
podpisu. Żadnych konkretnych zarzutów.

Salę rozpraw stanowił niewielki pokój, w
którym znajdowała się ława oskarżonych, stół
sędziowski i kilka krzeseł, a dla ozdoby —
dwóch wartowników. Lebering i Kwasek usiedli
z boku. Przewodniczącym sądu był oficer w
stopniu majora, z trudem mówiący po polsku.
Towarzyszyli mu dwaj starsi mężczyźni w
mundurach, ale bez dystynkcji. Nikt nie dostał
aktu oskarżenia do ręki. Nie było prokuratora,
obrońców ani świadków.

Jako pierwszy wystąpił Stanisław Wiącek. Po
rutynowym sprawdzeniu personaliów przewo-
dniczący odczytał szereg artykułów i paragra-
fów, po czym zapytał jak kolega kolegę z wojs-
ka:

— Przyznajesz się do popełnionych zbrodni?
— Nie mogę się przyznać — odrzekł oskarżo-
ny — ponieważ nie jestem prawnikiem i nie
wiem, czego dotyczą te paragrafy.
— Aha! A jakie masz usprawiedliwienie na
swoje zbrodnie?

— Żadnego. Chyba że zbrodnia jest walka z
Niemcami. Zabiłem ich, przelewałem własną
krew. Byłem ranny...

— He, he! My ciebie nie sadzimy za bój z
Niemcem, tylko za to, że ty nie zgłosił się do
nas!

— Byłem związany przysięgą, nie mogłem
więc tak nagle przejść na drugą stronę.

— Milcz — ryknął przewodniczący — bo ka-
żę ciebie natychmiast rozstrzelać!

Trwała parodia procesu. Oskarżony, major
Dorosiewicz, wyjaśnił, że wszystkich swoich
czynów dopuścił się na polecenie Kozłuszkowa
z NKWD, aby łatwiej nawiazać współpracę z
AK i rozszyfrować ją w sposób rzetelny i do-
kładny. Stanisław Wiącek otrzymał 3 razy karę
śmierci plus 27 lat więzienia. Łącznie kara
śmierci przez rozstrzelanie. Dorosiewicz został
skazany na karę śmierci za dezercję, inni do-
stali po 10 lat więzienia, jednego za zabójstwo
sąsiadki skazano na dwa lata.

Skazanych rozdzielono. Tych z karą śmierci
wpakowano do piwnicy WUB, gdzie czekał na
śmierć inni skazani. Przedtem oznajmiono
jeszcze skazańcom, że wyrok jest ostateczny i
nieodwołalny. A ponieważ w czasie wojny za
prawą łaski mógł korzystać wódz naczelny, za-
pytano, czy chce napisać do marszałka Michała
Roli-Żemierskiego. Chcieli.

Wkrótce wręczono nam wyrwane z zeszy-
tu, zatłuszczone kartki papieru — przypomina
sobie Stanisław Wiącek. — Człowiek był w
szoku, umysł już słabo pracował, ale każdy
chciał żyć. Nie wiedziałem dobrze, co robić, ale
gdy wręczono mi grubasny ołówek stolarski,
nagryzmoliłem jakoś tę prośbę o ulaskawienie.
Wieczorem po apelu skazanym na śmierć sku-
to ręce na plecach i przewieziono do więzienia.
Była wśród nas 18-letnia dziewczyna z NSZ...

W Trzciance ostrzono kosy. Ale Stanisław
Wiącek nie wiedział, że 3 lipca 1945 r. jego u-
krywający się brat Józef będzie naprawiać ko-
siarkę. Ci z PUB w Sandomierzu wpad-
li zleniacka w asyście żołnierzy radziec-
kich. Żołnierze zeznali potem, że Jó-

zef Wiącek nie bronił się i na rozkaz podniósł
rece do góry, ale nawet ich głos nie liczył się
dla bezpieczeństwa. Reprezentowali ja Waleczak i Gus-
taw Sternik. Ten ostatni, gdy Józef, ps. „Sowa”,
podniósł ręce do góry, przeszył go serią z
automatu. Siedem kul trafiło w ciało, kość
jednej nogi została oderwana od biodra. Wożo-
no go bez śledztwa na łóżku, z nogą na wycią-
gu, wreszcie po wyleczeniu zwolniono. W jakiś
czas potem Józef Wiącek sam skrzył funkcjo-
nariusza UB, niejakiego Skwarka, historyka z
bożej łaski, który go znieśli w swej publi-
kacji pt. „Na wysuniętych posterunkach”. Bo
Józef przecież nie tworzył po wojnie zbrojnego
oddziału, jak pisał Skwarek, posługując się przy
tym licznymi kłamstwami. Skwarek przegrał
7 procesów o zniesławienie, a jego kłamliwa
książka do dziś nie znalazła się na indeksie.

A skoro już jesteśmy przy Józefie Wiącku,
to powiedzmy jeszcze kilka słów gorzkiej praw-
dy. Otóż znany nam już major Dorosiewicz
oskarżył Józefa o zamordowanie trzech Żydów
o nazwisku Bergier. Sprawa oparła się o Sąd
Najwyższy. W końcu Józef został uniewinniony,
bo nie było wyjścia — fakty przemawiały za
nim. Prawda bowiem polegała na tym, że pod-
czas wielkiej akcji na „Jędrusiów” Niemcy za-
bili ukrywających się w lasach dwóch braci
Bergierów. Trzeci uratował się. I jego właśnie
ściągnął do sądu jako świadka ówczesny szef

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (3)

Ballada o „Jędrusiu”

RYSZARD BINKOWSKI

rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi, także Żyd z
pochodzenia. Bergier zeznał, że z Wiąckami
znali się od dziecka i oni nie tylko do nich nie
strzelali, ale pomagali im w przetrwaniu.

Lecz o tym Stanisław Wiącek dowiedział się
później. Teraz czekał na śmierć.

Po kilku dniach rano wywoływano z celi jed-
nego skazańca. Po chwili wiadomo było, że zo-
stał ulaskawiony. 10 lat więzienia.

Po wieczornym apelu wywołano z celi śmierci
drugiego mężczyznę. W parę minut później
ciszę nocy przeszła seria z automatu. Ten
pierwszy wyrok wykonano bezpośrednio na te-
renie więzienia. Przez parę dni nikogo nie
brali. Szczęście, że służba więzienna była stara,
przedwojenną, np. poczciwy oddziałowy Czar-
tosh. Zastępca naczelnika także starał się wię-
źniów pocieszać.

Po kilku dniach rano dwóch skazańców po-
szło do ulaskawienia. Wieczorem dwóch na-
stępnych poszło na śmierć. Okazało się, że ko-
lejne wyroki wykonywano na kirkucie. Rano
— ulaskawienie, wieczorem — egzekucja.

Alle zanim wykonano pierwszy wyrok, wywo-
łano z celi śmierci pułkownika Antoniego Żół-
kiewskiego „Lina”, który po paru minutach
wrócił. Potem wyprowadzono majora Michała
Mandziarę „Siwego”. Ten także wrócił po paru
minutach. Jako trzeci wyszedł z celi major Sta-
nisław Dorosiewicz „Siwy” i „Lin” powiedzieli
Wiąckowi, że rozmawiali z nim Kwasek i
Lebering. Rozmowa rutynowa, nie z niej nie
wynikało.

Dorosiewicz długo nie wracał...

Siedziałem w celi na podłodze — opo-
wiada dalej Stanisław Wiącek — gdy od Le-
bergina wrócił Dorosiewicz. Usiadł obok i mówił
szepem, że biorąc pod uwagę sprzyjające oko-
liczności i moją odwagę — a tego ponoć mi
nie brakowało — moglibyśmy zwać z celi
śmierci. Wystarczy wydstać się w nocy na
korytarz i załatwić strażnika. Potem na sto-
lik krzesło, z którego sięgnie się do klapy w
suficie i otworzy ją, a tam już strych. Łatwo
zeskoczyć na parter, w którym mieści się pra-
lnia, dalej już tylko park i mur. Plan był mo-
żliwy do zrealizowania, a czas naglił, gdyż Do-
rosiewicz zapewniał, że za dzień lub dwa nas
rozwalą. Zwróciłem się z tym do „Siwego”, a
ten kręcił głową i mówił, że to mu śmierdzi
provokacją. Jak to? Ano, szepce „Siwy”, nas
wezwał na parę minut, a tamtego na długo,
nie? Po to, bracie, żeby upozorować rozmowę.
A jeśli na zewnątrz jest silna obstawa, to zgi-
niemy podczas próby ucieczki.

Na początku w celi śmierci znajdowało się
14 skazańców. Ci, co zostawali, liczyli ulaska-
wionych i rozstrzelanych. Groza. Najstraszniej-
sza z eliminacji. Bo oto zostaje już tylko pięciu.
Rano trzech zostaje ulaskawionych. I w pustej
celi śmierci siedzą na wprost siebie podporuc-
znik Stanisław Wiącek, ps. „Inspektor” i major
Stanisław Dorosiewicz, ps. „Dziekan”. Wszystko
jest jasne. Wieczorem wykonają na nich wyrok
śmierci. Ale czy obaj myślą o tym samym? A

może obaj wiedzą o sobie coś, czego woleliby
nie wyjawiać? Stanisław Dorosiewicz ma in-
formację, że nie żyje Zabrzewski ps. „Dr Ju-
lian”, szef wywiadu AK w Krakowie. Wie tak-
że, co czeka „Inspektora”, choć ten nie ma o
tym pojęcia, i jest pewny, że „Inspektor” tego
nie przeżyje. Stanisław Dorosiewicz nie wytrzy-
muje i mówi niemal z prośbą, jak przystało na
skazańca:

— Słuchaj, Wiącek, to ostatnie godziny nasze-
go życia. Powiedz, kto rozpracował moją spra-
wę oświecimską?

Wiącek milczy, namyśla się.
— Zaraz będzie po nas. Co ci zależy, mów —
nalega major.

— Dobrze! — odpowiada z determinacją „In-
spektor”. — Skoro mamy razem wachać korzon-
ki, to ci powiem.

— No?

— Tę sprawę zna „Julian”, „Sowa” i ja.

Stanisław Dorosiewicz jakby się uspokoił.
Bo najgroźniejszy dla niego był „Sowa”, czyli
Józef Wiącek, ale tego można było załatwić.
Stąd też te obawy na Józefa. A kto wie, czy
ubowiec Sternik nie skoślił go serią celowo, że-
by zlikwidować świadka? Bo według rozpozna-
nia AK, Stanisław Dorosiewicz był kapo w
Oświęcimiu. Jego ucieczka z obozu była upozo-
rowana, pomógł mu w tym gestapo, które

fałszował z ich byłych podopiecznych nie zdołał
zbiec. Zaden z najgorszych „wrogów ludu”. Nie
docierało do ich świadomości, albo też zwy-
czajnie nie chcieli o tym wiedzieć, że w miarę
jak rósł w siłę oddział „Jędrusiów”, stawał się
on prawdziwą „międzynarodówką”. W oddziale
znaleźli się dwaj Francuzi, którzy zdezerowali
z formacji idącej na front wschodni, oraz Man-
fred z Berlina, dezertor z Wehrmachtu, antyfa-
szysta. Ba, są na to dokumenty, że żołnierzami
„Jędrusiów” byli polscy komuniści, m. in. An-
toni Czuba, a także jeden Żyd, który wolał bić
Niemca, niż iść pokornie do gazu.

Na twarzy Stanisława Wiąckę cień gorzkiej
zadumy, w oczach błysk uśmiechu.

— Szturmujący więzienie w Kielcach Antoni He-
da, ps. „Szary”, został później ujęty i skazany —
mówi z nutką niezamierzonej ironii. — Spotkał-
my się w Rawiczu. Przeproszał, że mnie wtedy
nie uwolnił. Wyprowadził za mury „Lina”, któ-
ry w chwilę później zmarł na ulicy na atak
serca. „Szary” nie uwolnił też swoich braci, po-
nieważ jeden zmarł w czasie śledztwa, drugi
zaś w przeddzień brawurowego ataku na wię-
zienie został zabity na przesłuchaniu w WUB. A
szwagier został zwolniony tego samego dnia,
gdy „Szary” wieczorem rozbił więzienie.

Po tej nocy więzienie nadawało się do re-
montu, toteż pięciu skazańców na śmierć prze-
wieziono do piwnicy WUB. Siegające krawędzi
chodnika okna zabite były blachą, która miała
drobne otworki do cyrkulacji powietrza. Można
było przez nie coś niecoś dojrzeć. Dzień i noc w
piwnicy paliło się światło.

Po kolacji wywołano Konrada Suwalskiego. Po-
kładał się. Szedł na śmierć. Reszta stłoczyła się
przy oknie, aby widzieć, co się dzieje na ulicy.
Przez bramę wyjechał samochód osobowy z kie-
rowcą, Suwalskim i ubowcem Kwaskiem.

Po kwadransie do celi wepchnięto Konrada
Suwalskiego. Był błądy, roztrzęsiony. Przeki-
wał własną śmierć.

— Kwasek zawiózł mnie do bramy więzienia —
opowiadał łamiącym się głosem. — Wysiadł, za-
dzwońnik i przyszedł naczelnik. Kwasek rozkazał
zamknąć mnie do rana w celi. Naczelnik odrzekł,
że cele są w remoncie, brak krat i jak wiecie-
cie ucieknie, to co? Przecieżli mnie z powrotem...

Wiącek odciągnął go na bok i pyta szepem:

— Byłeś skutny?

— Nie...

— A Kwasek miał peem?

— Nie, chyba tylko zwykły pistolet, bo rękę

trzymał w kieszeni.

— To na co czekałeś?

— A co miałem robić?

— No, przecież szarówka, wokół park, krzaki...

Dwa palce w oczy i w nogi!

To była straszna noc. Konrad Suwalski leżał na

betonie i co tylko usłyszał kroki w korytarzu,

chwycił Wiąckę za rękę i szepotał: „Koniec, już

po mnie”. Czekal na śmierć tej nocy i okropnie

żałował, że wieczorem nie zaryzykował.

O świcie wartok. W bramie staje ciężarówka z

odkrytą skrzynią bez plandeki. Wywołują Konra-

da Suwalskiego. Jest błądy, ponownie zgna się z

więźniami, lecz w oczach ma determinację. War-

townik prowadzi go do bramy. Więźniowie śledzą

to przez otworki w blasze. Widąc opuszczoną kła-

pę ciężarówki, po bokach stoją dwaj wartownicy

z pepesami i Kwasek z pistoletem. Suwalski

wchodzi na skrzynię, wartownicy zarzucają broń

na ramię i unoszą kłapę w górę, aby ją zamknąć.

Suwalski skacze, biegnie, słysząc strzały, które są

niecne, bo uciekinier skacze w ulicę. Na chwilę

znika więźniom z oczu, a potem znowu go widzą,

ale w towarzystwie. Bo na ulicy zdarzył się z

obchodowym patrolem nocnym. Związano mu rę-

ce drutem, wrzucono na ciężarówkę i odjechał.

Wieczorem służbę w piwnicy miał ten wartow-

nik, który odprowadzał Konrada Suwalskiego do

auta. Przy kolacji, której podstawowym i jedynym

daniem była gorzka kawa zbożowa, Stanisław

Wiącek został jako ostatni sam na sam z wartow-

nikiem.

— Kiedy — zapytał — będziecie nas tak wykań-

czać, jak Suwalskiego?

— A ty za co siedzisz, he?

— Za AK.

— Ee, to ciebie nie rozwalą.

— Nie? Dlaczego?

— Bo my rozwalamy tylko żandarmów i gesta-

powców.

— Rano zabiście żołnierza AK.

— Pieprzysz, bracie! To był żandarm.

— Nie, byłem z nim w partyzance, razem bli-

liśmy Niemca.

Wartownik zamyślił się i zamykając powoli

drzwi, mruknął:

— Cholera! A UB mówi nam, że to sami szpicle

i gestapowcy.

Okazało się, że po każdej egzekucji na kirkucie

dostawali po 500 zł, a w nagrodę ciuchy po trupie.

Wkrótce ten sam wartownik siedział już w

kieleckim więzieniu. Za przemycanie grypsów.

C.D.N.

Historia niemal prawdziwa, ale wszelkie podobieństwo do osób, zdarzeń
i sytuacji jest absolutnie przypadkowe.

Tragiczne przypadki Antoniego H.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

9.

W marcu Janina H. włama-
ła się do jego mieszkania, po-
została w nim i zmieniła zam-
ki w drzwiach. Wtedy włamał
się z kolei Antoni H. i musia-
ło dojść do kompromisu. Była
małżonka zajęta jeden pokój i
kuchnię, do której przez ten
pokój się wchodzi. Próba wy-
meldowania go z mieszkania
również spełzała na niczym, bo
u Alostwa był zameldowany je-
dynie na pobyt czasowy.

Odwiekanie terminów płat-
ności grzywien nie na wiele

już by się zdało, więc pan An-
toni poprosił o rozłożenie ich
na raty i zaczął odbywanie ka-
ry ograniczenia wolności po-
przez pracę społeczną na rzecz
sądu. Izba Skarbowa odezwa-
ła się nagle z informacją, że
w momencie sporządzenia umo-
wy Antoni H., chcąc nie chcąc,
stał się prawnym właścicie-
lem pojazdu i winien
był uiścić opłatę podatko-
wą w wysokości 72.000 zł.
Za niedokonanie tej czynności
zasądzono od niego grzywnę w
wysokości 150.000 zł.

A samochód nie dawał się na-

prawić i domagał się wkładu
dewizowego. Wreszcie, po pro-
wizorycznym remoncie, urwał
się pasek zębaty napędzający
mechanizm rozrządu i nastąpiła
katastrofa. Ukroczony wałek roz-
rządu, pogięte wodziki zaworów
i pęknięta głowica. Należało
sprzedać wóz tak jak stał.

Od czasu awarii samochodu
stosunki między Alem a An-
tonim H. znacznie się pogor-
szyły. Gość żył przecież pełnią
szczęścia, a gospodarz miał z
tego niewiele. Pani Barbara za-
łożyła już nawet fikcyjną spra-
wę rozwodową, za którą Anto-

ni H. zapłacił i na tym zapła-
ceniu sprawa skończyła się
wprawdzie, ale same dobre za-
miary powinny być docenione.
Zaczęło się więc mówić o tym,
że dla ocalenia mieszkania, w
którym szarogęsła się Janina
H., Antoni H. powinien wrócić
do siebie.

Pani Barbara coraz chętniej
ulegała zaczepkom i utyskiwa-
niom Ala na nierentownego lo-
katora. Pewnego dnia, kiedy
myślała podłogę, Al zaczął osten-
tacyjnie masturbować się, pa-
trząc na nią.

— Nie żal ci go? — spytała
Antoniego H.

— Żal — odpowiedział Anto-
ni H. i tego wieczoru położyli
się do łóżka we troje. Barbara
reżyserowała akcję wzbogaconą
o nowe elementy perwersji. Mo-
że i taka sytuacja trwałaby
dłużej z dobrym skutkiem, ale
Antoni H. czuł niesmak. Bar-
bara wyrzuciła mu, że do tego
dopuszczał, a Al był nienasyco-
ny.

Pijany Al urządził awantu-
ry. Barbara z kochankiem ucie-
kała piętro niżej do matki, któ-

rej potem należało odwzajemnić
się za gościnę prezentami. Do-
szło do bójki, jeden z obroń-
ców uciśnionego Ala wyjechał
karetką pogotowia. Barbara
trafiła do szpitala pobita rzeko-
mo przez męża i wszystko wa-
liło się w gruzy.

Wreszcie samochód został
sprzedany za 1,5 miliona zio-
tych. Na moment burza uciicha.
Zrobiło się niezbędne dla domu
zakupy. Potem za resztę pie-
niędzy pani Barbara nabyła de-
ewizy i umieściła je na swoim
koncie.

— Przestań się pętać! — po-
wiedziała do zubożalonego ama-
ta, gdy zabiegał o jeden jej
uśmiech.

W styczniu 1988 roku oznaj-
miono mu już oficjalnie, że jego
zameldowanie przestało być
ważne i gospodarze, nie rozsz-
cując do niego pretensji finan-
sowych, proszą, by opuścił ich
rodzinne gniazdo. Ich małżeń-
stwo sementowało się być mo-
że właśnie dzięki niemu, toteż
zachowały go we wdzięcznej
pamięci, ale kontaktować się

powinni jedynie z rzadka przez
telefon.

10.

Antoni H. zbiera teraz ma-
teriały, by wystąpić z trzema
oskarżeniami: przeciwko Barba-
rze za oszustwo matrymonialne,
powiązane z wyłudzeniem zna-
cznych korzyści w naturze i w
gotówce; przeciwko Alowi za
czerpanie korzyści materialnych
z nierządu uprawianego przez
zonę, a więc za sutenerstwo i
przeciwko matce Barbary za
czerpanie dochodów z udostę-
pniania pomieszczeń i umożli-
wiania czynów nierządnych
własnej córce.

Nie może jedynie znaleźć pa-
ragrafu przewidującego karę za
zabicie w nim włary w bezin-
teresowną miłość. W miłość
wielką i prawdziwą.

KONIEC

10 ODGŁOSY

NR 25 (1629), 18 CZERWCA 1989 R.

Zastąpiła mu drogę.
— Dobry wieczór. Czy mógłbyś... — zaczęła patrzeć w nieruchomą, poważną, zdecydowanie urodziwą twarz chłopaka, w jego oczy przysłonięte mgłą, chmurne i czujne, skupione, i wiedziała już, że coś się stało, że to nie jest żaden chłopak, lecz młody, przeobrażony z dnia na dzień mężczyzna, który ma za sobą jakieś silne przeżycie, jakieś głębokie, dramatyczne doświadczenie, i wtedy oddała walkowerem pierwsze sztony poprawiając się, gasząc uśmiech i zaczynając od nowa: — Czy mógłbyś pan pomóc mi wnieść na drugie piętro telewizor? Bardzo przepraszam! Boję się, że upuszczę go na schodach i uszkodzę.

Jacek odmilił chwilę: akurat tak długo, aby Gejsza poczuła się zakłopotana. Nie zrozumiała, co mruknął potem ni to do siebie, ni do niej. Spojrzała na samochód i ruszyła ku niemu miłym, wiotkim krokiem lekkoatlety. Wydobyl oburcz po nad oparciem siedzenia karton z telewizorem i zapytał tonem, który świadczył, że mógłby równie dobrze nie pytać:

— Front?
— Tak. — Zamknęła samochód i podążyła za Jackiem po gnących się, żelaznych stopniach, które do pierwszego podestu oberwane zostały z marmurowych płyt, sprzedanych zapewne cmentarnym kamieniarzom i umieszczonych na grobach bogaczy. — Niech pan się nie gniewa, że zaczęłam pana tak bezceremonialnie, ale znam przecież pana od dziecka. Odpowiedział ciepło i pogodnie:

— Po co „pan”, skoro znasz mnie od dziecka, Basiu?
Zarumieniła się, a kiedy odwrócił głowę, aby na nią zerknąć, była już zupełnie czerwona. No, no! Dawno nie miała takich reakcji i nigdy nie trafiły jej do serca z taką mocą słowa mężczyzny. Ale to wcale nie jest mężczyzna! Jest, jest! Przystał się oszukiwać. Zwarowałaby chyba! Trzeba coś powiedzieć. Trzeba natychmiast coś powiedzieć! Czemu jednak denerwujesz się? I czemu niby masz coś mówić? Możesz go zignorować; pożałować za pomoc i odprowadzić. Bezcenna poufalość i bezczelny smarkacz! Nie, wcale nie bezczelny. Zatem chcesz uwieść nieletniego? Ani mi to w głowie! Tłkliwość po prostu poczułam. Nie gadał tylko o miłości od pierwszego wejrzenia. Ty, stara doświadczona kurwa! Nie jestem stara i nie jestem kurwa! Nie, nie, nie, nie! Skoro zdarza mi się coś takiego w ułamku sekundy na schodach, potrafię być jeszcze bezinteresowna i czysta.

Otworzyła drzwi i puściła go przodem. Postawił telewizor na ławie obok kanapy i spojrzał na nią, i było w tym nieme, zagadkowe pytanie: odejść? tego sobie właśnie życzy?

Nie! — odpowiedziała mu wzrokiem. — Zostań! Będzie pewnie przez ciebie cierpieć, lecz zostań! — I dopiero teraz wróciła do zerwanego na schodach dialogu tonem swobodnym i przyjaznym:

— A ty masz na imię Jacek?
— Tak. Mówią również na mnie Wicher.

— To ładne. Usiadł! A na mnie mówią również Gejsza.

— Wiem.
— I co jeszcze wiesz? Pewnie same okropne rzeczy.

— Od tej pory, jeśli ktoś rzuci na ciebie słowo, nie powtórz go już nigdy w mojej obecności.

Powinna roześmiać się. Powinna puentować to uwagę w stylu: rycerskim jestem młodzieńcem. Jacku! Każdą damie życie takiego kawalera Młodził! Jednak Wzrok chłopaka fascynował ją. Ani trochę nie był skrepowany otaczającym go bogactwem: kanapa i fotelami ze skóry, misterna stolarka gdańskiego kompletu w czarnym debie, portiera, żyrandole, ze złoczonego mosiądzu, pastelowymi tapetami, elektronicznie sterowaną telewizją. Wzrok chiława zdawał się mówić: stać mnie na to samo albo i na więcej; nie zemdleję!

— Naójz się?
— Chętnie — powiedział i zrozumiął jednocześnie, że nie chodzi o kawę, ani o herbatę, ani o coś, ani o żadne inne świństwo.

— Koniak, whisky?
— Nigdy jeszcze nie próbowałam whisky — wyznał Jacek z prostotą. — Nie jestem silny i biegły w alkoholu. — Poczęstował Gejszę camellem.

— Ja z kolei ograniczam palenie. Pięć-sześć sztuk dziennie i koniec. — Zaciągnęła się z rozkoszą. — Ale lubię to.

— Ja też.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

25



— Nie chciałam mieć cie na sumieniu. Chyba lepiej weź tonik lub fantę.

— Nie. Whisky. Sprawdzę w końcu, na czym to polega.

— Musisz zacząć więc od dobrego gatunku. — Posłała do kuchni z butelką czarnego, dwunastoletniego Walkera i krzyknęła stamtąd: — Łód!

— A można inaczej?
— Można także z wodą sodową, z kawą, z mlekiem i z bitą śmietaną, lecz jest to profanacja.

— Tak jak ty wypije! — odkrzyknął. — Właczę wieżę?

— Włącz.

Zaszemrała muzyka. Gejsza wyciskała z pojemnika kostki lodu i składała sobie przyrzeczenie: żadnego porno, żadnych ordynarnych tematów, żadnych aluzji. Wręczyła mu ciążką, kryształową szklankę i patrzyła, jak niewprawnie ogolone, prześwitujące zdrowa, świeża krewia policki chłopca zakłęści się, kiedy pociągnął pierwszy ostrożny łyk.

— Smakuje?

— Trudno mi na razie powiedzieć.

— Sprawa polega na tym, żeby wygimnastykować podniebienie. Jadłeś obiad?

— Nie.

— To i dobrze. Whisky najlepsza jest przed posiłkiem. Chodzisz do szkoły?

— Miałem zdawać w tym roku maturę, ale nie dopuścili mnie.

— Z czego nawaliłeś?

— Z polskiego.

— Nie lubisz literatury?

— Lubie.

— Co czytujesz?

— Wszystko, co dobre.

— Skąd możesz wiedzieć, co dobre, co niedobre?

— Wiem. Dobry jest na przykład Dostojewski, niedobry Turgeniew, dobry Camus, niedobry Sartre.

— Poważnie to mówisz?

— Oczywiście.

— A Dąbrowska jest dobra?

— Nie czytam kobiet. Kobiety są dobre tylko w poezji.

— Czyli wpuściłam do domu zapiekłego antyfeministę. Zachwycasz się na pewno Hemingwayem?

— On też jest dobry. Nierówny, ale dobry. Teraz tysiące facetów myśli, że pisze lepiej od niego. Gdyby jednak nie było Hemingwaya, proza współczesna tkwiłaby jeszcze lewą nogą w dziewiętnastym wieku. To Hemingway posunął literaturę i przemobilował narrację, nie James Joyce.

— Skąd to wszystko wzięłeś?

— Znikąd. Ktoś czuje, albo nie czuje. Ten, co czuje, wie; ten, co nie czuje, pozwała, aby pierwszy lepszy zidiotał belfer lub pierwszy lepszy skretyniały eseista wcisnął mu do głowy każdą obiegową bzdurę.

— I dlatego właśnie masz dwóję z polskiego?

— Między innymi. Piszę również uparcie „który” przez „u” zwykle.

— I ten chłopak skończył zaledwie siedemnaście lat! Wie. Po prostu — wie! I wie na pewno cały szereg innych rzeczy. Wie, że siedzi w eleganckim mieszkaniu naprzeciw atrakcyjnej kobiety. Wie, że podoba się tej kobiecie. Wie, że jest inteligentny, silny i przystojny. Ten jego cholerny wicher na waskim, gładkim czole, zupełnie jakby ktoś dmuchał mu nieprzerwanie we włosy o tej samej barwie, co włosy dziewczyny — złociste, proste, mocne, nie zlepięte; żadne tam ke-dziorki i fale, żaden kaczy puch!

Blondynki woła zwykle brunetów, i odwrotnie. Wszelako ludzie bliźniaczej karnacji przyciągają się na inne zasady, tak, jakby pochodzili z tej samej rasy, jakby mieli wspólnych prarodziców, jakby łączyły ich wezły krwi. Blondynka kocha i pożąda bruneta nienawidząc go równocześnie i walcząc z nim, blondyn natomiast budzi w niej uczucia łagodne i kłliwe. BLOND IS MORE FUNNY — zobaczyła kiedyś to

hasło na płycie piosenkarza o platynowej fryzurze i czarnych, posępnych oczach notorycznego zbrodniarza i nie kupiła tej płyty; żrenice Jacka były jednak stalowe i miała ochotę je kupić.

— What about Whisky?

— O.K. — Nie zawiódł oczekiwania, tyknął pewnie w liceum trochę angielskiego i łapał proste zdania. — Smaku nie potrafię jeszcze docenić, lecz efekt jest miły.

— Zrobisz ci kanapkę.

— Innym razem. Pierwsza wizyta powinna być podobno krótka.

— A złożysz mi następną wizytę?

— Tak.

— Kiedy?

— To zależy już tylko od ciebie.

— Przyjdź jutro o czwartej, jeśli chcesz.

— O, pewnie, że chcę. Bardzo chcę! Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo!

Wtedy zarumieniła się znów.

— Nie zapominaj, że jestem starsza od ciebie o kilka lat.

— Nie jesteś starsza. Jesteś po prostu piękna, a piękne dziewczyny, choćby były nie wiem jak młode, przeznaczone są z góry dla bogatych i brzydatych facetów z samochodami i forsa. Taka jest już dola pięknych dziewczyn w każdym kraju i na każdym kontynencie.

Pocałował ją w policzek i wyszedł. Stała w otwartym oknie i patrzyła z płonąca twarzą, jak przecina swoim miłym krokiem podwórko i ginie w drugiej lewej oficynie kamienicy. — Oszalałam? — Wiatr zdjął z rozpalonego policzka wilgoć pocałunku. — Oszalałam! — powtórzyła cicho.

— Wróć czym prędzej do mnie, bracieczku. Kocham cię!

5.

Jacka, który wyskoczył z frontowej klatki schodowej, zobaczył wracający do domu Kukuryk. Czego on tam szukał, kogo odwiedził? — dumał grubas. Frontową klatkę zamieszkiwało uprzywilejowane grono lokatorów: na pierwszym piętrze dwóch lekarzy, na drugim Gejsza i ceniony w mieście krawiec, na trzecim jakiś profesor i znany Kukurykowi dziennikarz Adrian Kusy, zaś na czwartym, w mansardzie, rezydował samotnie grafik, którego prace wisiały na ścianach kilku prywatnych galerii. Może był właśnie u tego grafika, bo na Gejszę, to on raczej jest za biedny. Trza go w każdym razie sprawdzić — postanowił wszedłszy do klatki i zajął się, zapomniał tymczasem o Jacku, rozpatrując miniony, jakże udany dzień, spędzony pospół z markową grupą rockową — biegali po piwo dla muzyków i po coś dla piosenkarki, wytargowali dla niej w komisie biały puszysty szal, za co dała mu duże reklamowe zdjęcie z autografem. Niosł teraz ów skarb w kartonie do rysunków. Ruszył w mrok prawej oficyny i stał ciężko po schodach. Przysiadł na obłazym z farby parapiecie. Dyszał, pocił się i chłonił woń smażonego dorsza. U Banasiaków — stwierdził rzucając okiem w zielone, opatrzone grawerowaną tabliczką drzwi. Sam jadł nieregularnie. Godzinę temu przełknął dwa kremowe ciastka i popił je resztką lemoniady z butelki, którą ktoś wspaniałomyślnie zostawił w korycie fortepianu. Czaj! Myśl o gorącej herbatce kazała mu podjąć uciążliwą wędrówkę po schodach, które za podestem trzeciego piętra, wyznaczającego granicę między dwoma biegunami społecznymi, były już tylko drewnianą, niebezpiecznie trzeszczącą konstrukcją.

Naparał kolaniem na cztery szerokie i grube, byle jak sklejone deski tak, aby kłódka swobodnie wisiała na skoblu. Trafił kluczem w wyrobiony otwór i wszedł w ciasnotę dusznego, przegrzanego pomieszczenia, które zimą zamieniało się w lodownię. Zamknął od wewnętrznej strony drzwi na zardzewiały hak, przywodzący na myśl luksus wiejskiego ustępu. Z małej kuchni, gdzie oprócz kozy z oczadzoną, ginącą w czarnym otworze pod sufitem rurą był także zlew podobny do odwróconej dorożkarskiej budy, wmaszerował Kukuryk do właściwej części poddasza, większej trochę od bawialni w blokach.

Strop wisiał tuż nad głową. Mijając środek pokoju musiał uważać, aby nie pałać czołem w sześćdziesięciowatą żarówkę, uciepioną krótkiego przewodu i pozbawioną osłony. Była tu również stara, dwudrzwiowa szafa, żelazne łóżko o mosiężnych, zmatowiałych galkach przykręconych do czterech wysokich prętów oraz stół wystarczająco duży, aby grać na nim w ping-ponga. Biał stołu świadczył o wielu gospodarskich zabiegach: jeden z brzo-gów przypominał pień rzeźniczy, inny spójnił niezliczone wgniebia-pa po lebkach prostowanych młotkiem gwoździ i haków, środek zabrudzony był atramentem i tuszem. U stołu tkwiły dwa krzesła od pary: białe, drewniane, kojarzące się natychmiast z poczekalnią w rejonowej przychodni lekarskiej, i brązowe, nie całkiem jeszcze odarte z forniru, o puszo-wym, poprzecieranym siedzeniu, pod którym sterczały zardzewiałe sprężyny.

Kukuryk, zdmuchawszy kurz i okruszy chleba, umieścił blok na stole, rozłożył dwie tekturowe okładki i z odradającą się bez przerwy satysfakcją zerknął na cenną zdobycz. Nie od razu przeczytał dedykację, którą zresztą znał już na pamięć. Umiał dawkować sobie przyjemności i przedłużać je niczym wytrawny, zwlekający z orgazmem kochanek. Musnął kilkakrotnie okiem zgrabną sylwetkę dziewczyny, po czym wstał i wszedł do kuchni, aby włączyć grzejnik. Wypał do blaszanego kubka trochę herbacianych paprochów i zalał je wrzątkiem. Nie żałował cukru. Miesząc, wyjrzał przez samotne okienko, które było jedynym tego typu otworem w bocznej ścianie kamienicy. Z daleka, kiedy podążasz wskroś obcego podwórka, takie otwory wydają się bardzo romantyczne, szczególnie wieczorem, gdy płoń w nich światło. Chciałbyś znaleźć się w środku za tym oknem, w mieszkaniu z bajki — straszki, pełnym różnych tajemniczych sprzętów i oieni artretycznych wiedeń lub starców —

alchemików pogrążonych w swoich sekretach praktykach. Konfrontacja, jeśli do niej docho-dzi, przynosi rozczarowanie.

Zamierzał wrócić Kukuryk do pokoju, lecz to, co ujrzał w oknie na trzecim piętrze po przeciwnej stronie domu, zwróciło jego uwagę. Poznał masywną, krępa sylwetkę Bernarda w u-stępie o szybach zasłoniętych firanką. Nie było w tym niby nic nadzwyczajnego; Bernard często odwiedzał babkę i brata, i często korzystał z ustępu, lecz tym razem nie pochylał się nad muszlą i nie siedział na sedesie umieszczonym z prawej strony okna i niewidocznym, podobnie, jak niewidoczna była połączona z ustępem łazienka; nie opłukiwał również rąk nad pozostającą w zasięgu wzroku Kukuryka umywalką, dukał natomiast w ścianie. A-waria wody? Może pękła rura albo wysiadła jakaś uszczelka? Nie był w stanie rozszyfrować poczyną ekonomisty, gdyż przez firankę widział tylko jego rozmazane kontury, a jak wpatrujesz się w coś z natężeniem — męczysz oczy i tracisz ostrość spojrzenia. Przydałaby się jednak lornetka! Bez lornetki bank informacji nie wzbogaci się w żadnym razie!

Światło zgasiło. Bernard opuścił ubikację. Przysuwając krzesło do stołu i popijając gorącą, słodką jak ulepek herbatę Kukuryk zaczął na nowo kontemplować podobiznę piosenkarki. Dobrze ujęcie! Rozpuszczone, przycięte modnie na skroniach włosy; długie, zgrabne, rozstawione nogi, jakby panna chciała zrobić trapez, czemu stały jednak na przeszćdzie obcisłe spodnie ze skóry... No i ujmująca dedykacja: MILEMU ZYGMUSIOWI W DOWOD SERDECZNEJ SYMPATHII — MARYLA.

Przylepił do obwisłej wargi papierosa i zabrał się żwawo do roboty. Usunął z bloku wszystkie kartony, na jeden wyściłnął z tubki waleczek stolarskiego kleju i rozprowadził wskazującym palcem po marginesach. Przyciemnił karton do sztywnej okładki bloku i kładąc pośrodku zdjęcie zarysował ołówkiem cztery rogi. Grudka popiołu spadła mu na kolano, ale nie przejął się tym. Odłożył pieczętowlivie fotografii na wolną powierzchnię stołu, sięgnął po brudną, lepką od zmieszanej z zarostem piany żyletkę i czerwony z napięcia naciął ukośnie karton w zaznaczonych miejscach. Jego grube, niemrawe ręce o poob-gryzanych paznokciach okazały się nadzwyczaj sprawne; ruchy były szybkie i pewne jak u chirurga, który wie, że pomyłka to śmierć. Wypuścił przez-trzymywane w płucach powietrze. Niedopalek parzył mu wargi, więc wypuścił go na podłogę i rozdeptał. Wsunął płasko lewy górny róg fotografii w nacięcie kartonu, po czym, manewrując ostrożnie opuszką dużego palca, wsunął pozostałe rogi.

Podziwiał chwilę swoje dzieło, a serce przepelniała mu słodycz. Zerknął w głąb otwartej szafy, gdzie na półce ponad poręczą i paroma drewnianymi wiszakami, wygłębionymi od ciężaru starych kurtek i zartych przez mole palt, widać było stertę innych bloków różnej barwy i formatu — w każdym tkwiło jakieś zdjęcie z autografem sławnego artysty albo znanego sportowca, albo panny, która kręcąc pupą na scenie wywalczyła koronę w konkursie piękności, albo bohaterkiego żołnierza, który wydobyl zimą ze stawy dwójkę tonących dzieciaków. Kukuryk bardzo je sobie cenił. Był jedynym prawdziwym skarbem jego życia. Jeśli wychodząc z domu zamykał drzwi na kłódkę, jeśli bał się w ogóle pożarów i zacieków deszczu na suficie, miał na uwadze właśnie te bloki.

Postawił nogę na siedzeniu krzesła i usiadł na poręczu, aby przyjrzyć się fotografii z dystansu. Coś niepokoiło uparcie prymitywną podświadomość Kukuryka. Jacek we frontowej klatce schodowej, Bernard zachowujący się dziwnie w ubikacji... Przypomniał sobie, że... kiedy to było? W sobotę. Nie, w piątek!... Wstał nad ranem, aby oddać moc do zlewu, bo do ustępu przy śmietnikach nie chciało mu się biegać, i słysząc na podwórku czyjeś głosy wyrzucił przez okno, aby zobaczyć spieszących gdzieś o-wczesnej porze braci.

C.D.N.

Wideonotes



Tegorocznym sprawozdawcą krakowskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych przypadło trudne zadanie. Od lat przywykliśmy do estetycznego przebiegu festiwalu, w tym roku, nowy dyrektor, wybrał — dr Andrzej Kolodziej, pełen energii, pomysłowości i poświęcenia, konkurs uczynił nie celem samym w sobie, a tylko jednym z nurtów znacznie bogatszej całości. Festiwal dokonywał się pod znakiem pokazów specjalnych. W pokazach zaprezentowano filmy nie mogące znaleźć się w konkursie, czy to ze względów formalnych czy też regulaminowych, a które orientowały zainteresowanych o sytuacji filmu krótkometrażowego rozwijającego się poza kinem komercyjnym, oraz o tym, jakie funkcje ma on do spełnienia.

WERDYKT JURY XXIX OFFK W KRAKOWIE

To nie koncert życzeń...

wych, głównie telewizyjnych wydźwięku, czas trwania projekcji z 30 do 60 minut. Decyzja ta wyszła naprzeciw światowej tendencji umiarkowania twórców filmowych, pełniejszą wypowiedź. Organizatorzy zdecydowali się na prezentację wideo — media spełniającego coraz ważniejszą funkcję w procesie społecznego komunikowania się i przechodzącego wyraźną ewolucję. Ponadto Marcel Łoziński został wytypowany na przewodniczącego jury w drodze demokratycznych wyborów spośród grona jurorów.

Program festiwalowych imprez był niezwykle bogaty i wymagał od uczestników wyborczego ich potraktowania. Wystarczy powiedzieć, że w drugim dniu XXIX OFFK, od godziny 9.30 do 23.30, każdy gość festiwalu miał do wyboru najbardziej interesujące go pozycje (łącznie z konkursem) spośród 80 wyświetlanych w tym dniu filmów. Owszem, uparci i wytrwali widzowie mieli szansę obejrzeć wszystkie oferty — po uprzednim skrupulatnie opracowaniu marszruty, jednak w przypadku peregracji odbioru mogła spowodować się zera.

Do interesujących i konkurencyjnych wobec konkursu pokazów należały także imprezy jak: „Piwnica pod Baranami” na ekranie; dwuczęściowa sesja ekologiczna w kinie Łódzka WFO; zaprezentowana zestaw najciekawszych filmów z tej dziedziny; dwa pokazy sekcji informacyjnej; specjalny pokaz Koła Realizatorów Filmowych przy SFF, zatytułowany „Kobieta oczami kobiety”; Warsztat Video, w którym Łódzkie Biuro Kina wybrało wyświetliło interesujący film Grzegorza Królikiewicza pt. „Człowiek środka”, poświęcony sylwetce prof. Jerzego Toeplitza, oraz kilka edytowanych PWSFTVIT w Łodzi; cykl filmowy „Nasi za granicą”; pokaz specjalny filmu szwedzkiej produkcji pt. „Reżyseria” Andrzeja Tarkowskiego w reż. Michała Leszczyńskiego; WFD w Warszawie w cyklu „Zdjęcie z półki” udostępniła publiczności kilka zwolnień „recydywistów” („Ezamin dojrzałości” reż. M. Łoziński, „Teraz” reż. T. Palka, „Narodowy Solidarność” reż. B. Kosiński, „Pomoc humanitarna” reż. T. Palka, „Przy torze kolejowym” reż. A. Brzozowski, „Chłopi 81” reż. A. Plekutowski; Wydarzeniem było wyświetlenie filmu A. Plekutowskiego „Górnicy 89”, któremu Jury Samo-

działnego Koła Piśmiennictwa Filmowego SFP jednogłośnie przyznało „Złotą Tasmę” — za najlepszy film dokumentalny sezonu 1988-89, za prawdziwą i trafnie filmowo przedstawienie sytuacji narodu w przełomowym momencie jego najnowszej historii; pokaz specjalny filmu „Gra złudzeń” w reż. Macieja Sienkiewicza; pokaz edytowanych PWSFTVIT oraz dla oddechu „Piwnica pod Baranami” na żywo.

W świetle tak bogatego programu uatrakcyjnającego festiwalowe święto konkurs wypadł blado, choć nie zabrakło w nim pozycji głęboko zapadających w pamięć. Pora zatem poświęcić uwagę tej własnej części OFFK.

Komisja Selekcyjna, pracująca pod kierunkiem Jacka Grabowskiego, dyrektora CDF obejrzała 132 filmy z 20 wytwórni i zgłosiła indywidualnie. Do konkursu zakwalifikowano 44 filmy różnych rodzajów, w tym jeden z odwołania. Pierwotnie komisja nie zakwalifikowała filmu

odnoszą się Koreańczy, zaś dla Polaków jest to wspaniały humor sytuacyjny znajdujący dość proste odniesienia do naszych czasów stałobliwych. Może dlatego ten film tak bardzo nas poruszył. Treść Kamieńska w filmie „Dzień za dniem” sportretowała ślicznie-bliźniaczkę, pracującą od 36 lat w budownictwie, wykonującą niezmiennie tę samą pracę — przeladowywanie i woznięcie cegieł. To wstrząsający dokument obojętności na absurd własnej egzystencji. Film nagrodzony był wcześniej w Oberhausen.

Wśród pięciu równorzędnych Nagród Głównych „Brazowe Lajkoniki” powierzono filmom: „Bar przy placu” reż. Beaty Postnikoff (CWF IPTV „Półtel”), „Idź” reż. Grzegorza Królikiewicza (WFO), „Nasz wiek XX” reż. Jadwigi Zajick (WFD), „Pomarańczowa Alternatywa” reż. Mirosława Dembińskiego (PWSFTVIT) oraz „Wolność nóg” reż. Piotra Dumala (SMFF „Se-Ma-For”). W „Barze przy placu” snują wspomnie-



Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

- 15 czerwca — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.
22 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 8 CZERWCA 1989 ROKU.

Jak wynika z telefonów od naszych Czytelników, niezmiennym zainteresowaniem cieszą się publikowane w „Odgłosach” artykuły o tematyce historycznej. Napisałem „historycznej”, lecz zawałam się zaraz, czy jest to aby dobre słowo w odniesieniu do przeżyć i wspomnień ludzi, którzy noszą je w sobie tak żywe do dziś, jakby upływ lat nie tylko ich nie zmazywał, ale przeciwnie — wyostrzał ich kontury.

Daleko nie wszystkie z tych wspomnień, które dotyczą czasów wojny i stalinowskich represji, szokują opisami męczeństwa czy natężeniem represji. Większość, co nigdy nie była i nie będzie opublikowana, która pozostanie na zawsze prywatną własnością starzejących się ludzi, to historie zwykłe, nie tak dramatyczne — historie ciężkiej, wyczerpującej pracy, uporczywej tęsknoty za wolnością, zapobiegliwości o przeżycie następnego dnia w niewoli. Z jedną z takich opowieści przyszedł na dyżur do redakcji Marian Paszkowski, emeryt.

W czerwcu 1944 r. wywieziono go, wraz z kilkusetosobową grupą mieszkańców dawnego powiatu skierniewickiego (okolic Nowego Dworu) na kopanie niemieckich okopów. Do sierpnia pracowali nad rzeką Rawką, a potem, pod silną eskortą, wyruszyli koleją na Litwę. Tam, w pobliżu miejscowości Możejki i Dryskwia, znów kopali okopy, aż do września. Nadejście wojsk radzieckich zastało ich pod Kłajpedą, ale nie dostawali się jeszcze wolności. Zamiast do domów, popędzono ich do kolejnych obozów, tym razem radzieckich, w Szawlach i Dźwińsku. W początkach listopada 1944 r. wyruszył transport do ośrodka papierniczego, pod Wołogdą. Jechali przez kilka dni, w towarowych wagonach po 90 osób w każdym — Polacy i Niemcy pospoli. Pod Wołogdą rozpoczęła się wyczerpująca praca przy roz-

ładunku drewna, na mrozach, sięgających 40 stopni poniżej zera. Dopiero w lecie 1945 r. pojawiła się nadzieja na powrót do kraju. Polacy przebrani zostali w... niemieckie mundury, a następnie, 28 sierpnia, wysłani koleją do Olsztyna, pod opiekę Wojska Polskiego. Przyjeżdżając — jak łatwo się domyślić — nie było zbyt sympatyczne. Również na wolność było za wcześnie. Znowu osadzeni ich w obozie, wyprowadzając pod strażą na okoliczne pola, do żniw. Wreszcie jesienią, po 500 dniach spędzonych za drutami, Marian Paszkowski mógł powrócić w rodzinne strony.

Dziś, gdy o tym wszystkim opowiada, rzadko udaje mu się znaleźć chętnego słuchacza. Nie ma w jego opowieści strzelani, nie ma przejmujących zbrodni. Zwykła — chciałoby się powiedzieć — historia. Nie jest to jednak „zwykła” historia, pamiętają ludzkie serca.

Osobiste, nie zamknięte jeszcze rachunki z historią ma również Jerzy Lidich. Powraca często do lat dzieciństwa, spędzonego w wielkiej biedzie tylko kozy matce, bo ojciec, aktywny w Łodzi działacz KPP, siedział w sanacyjnym więzieniu. Na chłopca wołano wtedy „piątka”, od numeru komunistycznej listy wyborczej. Pamięta, jak strasznie cieszył się, gdy ojciec zjawił się wreszcie w domu, wypuszczony na wolność. Nie zagrażał jednak długo miejsca; wyjechał wkrótce do Rosji Radzieckiej — na szkolenie partyjne. Był rok 1932, i Roman Lidich cieszył się, że „jedzie do raj”. Jedyny list, jaki wysłał do Polski, napisał w Nowosybirsku. Jerzy Lidich nie pamięta jego treści, przypomina sobie tylko, że nie było w nim już optymizmu. Żaluje teraz, że list gdzieś przepadł, bo był to ślad ostatni po ojcu... W Muzeum Ruchu Rewolucyjnego — mówi J. Lidich — umieszczono są „cegielki” z nazwiskami komunistów, którzy

byli ofiarami sanacji. Jest wśród nich nazwisko ojca... A przecież syn wie dobrze, że gdyby ojciec nie opuścił wtedy Polski, gdyby pozostał, to sanacja z pewnością by go nie zamęczyła, żyłby może przez długie lata... — Takim ludziom, jak mój ojciec, również należy się pamięć — konkluduje J. Lidich — oni walczyli o lepszą przyszłość; nie mogli wiedzieć, że ich ideały zostaną wykoślawione. Szkoda, że wiedza o nich jest w naszym społeczeństwie znikoma.

Z historii, przeniesmy się do polskiej współczesności. W tej, jak wiadomo, zmienia się szybko wyłącznie w polityce. Ale o polityce rzadko chcą z nami rozmawiać przez telefon Czytelnicy. Przeważa uciążliwa, denerwująca codzienność. Pani S. denerwuje się, iż odmówiono jej przeprowadzenia badań krwi w przychodni na ul. Łeczniczej, jedynie na podstawie skierowania przez lekarza ze spółdzielni, oraz dowodu osobistego. Zażądano dodatkowo książeczki z ubezpieczalni, której Pani S. nie posiada, bowiem musiała ją oddać do PZU, a nowej jeszcze nie otrzymała. Czy musi teraz czekać z badaniami — do kiedy? Czy zdrowie — zapytuje — jest mniej ważne od dokumentów? Pani E. Kaczmarek błaga z kolei, aby zajęto się utwardzeniem nawierzchni ul. Balonowej na Rekinie, gdzie tonie się w błocie. Wiesław S. oburza się, iż znalazł swoje nazwisko na liście osób, przeznaczonych do eksmisji z powodu nieplacenia czynszu, podczas gdy on od dawna czynsz płaci w należytą wysokość. Prawda jest taka, że od 1987 r. ma nałożony wyrok eksmisyjny. Czy jest to jednak wystarczająca podstawa, aby śródmiejski Urząd Dzielnicowy przedstawiał go w złym świetle, podając powód niezgodny z prawdą? Ważne są pewne reguły gry — mówi nasz Czytelnik. W tym miejscu dyżurny reporter nie może się jednak powstrzymać od komentarza, że gdyby reguły gry były przestrzegane, wyrok byłby już dawno wyegzekwowany...

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

PS. W raporcie „Odgłosów” nr 21 z dnia 21 V 1989 r. opublikowaliśmy krytyczną notatkę o cenach artykułów RTV, sprzedawanych przez „Domar” w Łodzi. Ponieważ „Domar” pragnie szczegółowo zbadać sprawę i ustosunkować się do zarzutów, prosimy pana KK, którego adresu redakcja nie posiada, o kontakt z Działem Handlu Artykułami Radiowo-Telewizyjnymi, ul. Armii Czerwonej 28 (dojście od ul. Wydwicznej), tel: 74-73-07, 74-74-49, 74-72-36. „Domarowi” za szybką reakcją dziękujemy!

A może do kina?



Proponujemy dziś francuski film Jacquesa Deraya, pt. „W imię przyjaźni”. Deray — specjalista od filmów policyjno-gangsterskich — zrealizował obraz z klasyczną akcją, typowymi dla tego gatunku motywami: zabójstwa i zemsty; pojedynku z przestępcą, a wszystko to ukazane poprzez szybką akcję. Film opowiada o dwóch policjantach, którzy postanawiają opuścić szereg policyjny i założyć własną restaurację. Ich plany udaremnia przestępca, który z zimną krwią zabija jednego z nich. Ocalały policjant (Jean-Paul Belmondo) postanawia zostać w policji i odnaleźć zabójcę przyjaciela...

FAKTY • PLOTKI • ANEGDOTKI

★ „O nie. Nie oczekuję już niczego wielkiego od aktorki. Byłem Rocco, Samurajem, Kleinem, baronem Charlesem... Słyszałem nawet w Azji tłumy skandujące moje nazwisko. A teraz jestem już w wieku, kiedy nie ma moich dawnych reżyserów i mistrzów. Po śmierci Viscontiego, Bourville, Gabina moje życie nie jest już takie jak przedtem. Oni mnie rozpaskudzili. Ale bez nich czuję się bardzo samotny” — wyznał aktor, producent i biznesmen Alain Delon, na pytanie dziennikarza, czy porzuciłby kino.

★ Dyrektor generalny ds. artystycznych Radiokomitetu Jerzy Kowalski poinformował, że przeznaczono 2.229 mln zł na realizację dziesięciu najlepszych inscenizacji teatralnych, 4 seriali historycznych (m.in. o Wyspiańskim, Modrzewskiej) oraz 2 seriali dokumentalnych (m.in. „dziejów kultury polskiej”).

POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE

ODDZIAŁ ŁÓDZKI
im. JANA CZERASZKIEWICZA
90-105 Łódź, ul. Piotrkowska 70.

okazja dla fachowców!

BIURO OBSŁUGI RUCHU TURYSTYCZNEGO PTTK
w Łodzi, ul. Piotrkowska 70

Z A T R U D N I
od zaraz:

★ KASJERKE lub KASJERA ★

Informacje pod adresem jak wyżej lub telefonicznie:
32-60-34; 32-31-31

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

CO LEW TROCKI SĄDZIŁ O BIUROKRACJI?

„Lew Trocki — rewolucjonista czy wróg ludu?” — to tytuł wykładu, który w klubie politycznym „Jawność” wygłosił znany działacz i historyk ruchu robotniczego prof. Ludwik Hass. Na sali przy ulicy Piotrkowskiej 203/205 zrobiło się więc antybiurokratycznie i antystalinowsko. Choć — nie ukrywamy — byli tam zapewne i biurokraci, i stalinowcy. Niektórzy oczekiwali też małej sensacji. To w związku z obecnością na sali dr Tadeusza Mendelskiego, z którym spór nt. Lwa Trockiego i trockizmu toczył na łamach prasy prof. Ludwik Hass.

Trockizm to do niedawna temat tabu. Przypomnijmy najważniejsze zarzuty. Oto w wydawnictwie ZG ZSMP „Poprawki z historii” (!) w broszurce p.t. „Trockizm” czytamy, że jest to „doktryna części rujnującej się warstwy drobnych posiadaczy miejskich”, że „organizacje trockistowskie w poważnym stopniu skupiają w swych szeregach, jednostki sfrustrowane”. (Tu zapewne pracował cały sztab luminarzy medycyny). Dalej, że „Trocki częstokroć występował przeciwko leninowskim zasadom funkcjonowania partii”, że „podał wówczas totalnej krytyce cały system radziecki, odmawiając mu nawet miana socjalistycznego”. I — co z oburzeniem dostrzegają autorzy — „głoszą także, iż społeczeństwo socjalistyczne, istniejące od dziesięciokrotnie lat, jest społeczeństwem okresu przejściowego”, zaś same państwa socjalistyczne to tylko państwa robotnicze.

Tak „obiektywnie” określało się i określa teorię „permanentnej rewolucji”. Otóż Lew Trocki dokonał tu następującej analizy: jest rzeczka nieograniczona, jeśli klasa robotnicza będąca w stanie obalić poprzednią klasę panującą, nagle — choćby dla zasad — zachowa „ustrzemiwość” i nie będzie dokonywała (po zwycięstwie rewolucji burżuazyjno-demokratycznej) rewolucji socjalistycznej. Lew Trocki uznał, że dalszy rozwój wydarzeń po prostu zmusi ją do dokonania takiej rewolucji. Ponadto rewolucja ta może wtedy być tylko trwała, gdy rozszerzy się na inne państwa, przede wszystkim rozwiniętego kapitalizmu. „Tylko bowiem tego rodzaju kraje — mówi prof. Ludwik Hass — dysponują bogactwem społecznym, jakie jest niezbędne do zbudowania społeczeństwa socjalistycznego”. „Stąd wniosek strategiczny: klasa robotnicza po rozstrzeleniu ram rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w skali kraju, okaże się zmuszona wyżyć poza te ramy w skali państwa. Będzie musiała świadomie dążyć do uczynienia ze swojej rewolucji wstępnego etapu światowej rewolucji robotniczej, socjalistycznej. Rewolucja może zacząć się w krajach zacofanych, ale zakończyć ją może tylko rewolucja w krajach rozwiniętego kapitalizmu”.

Teoria „permanentnej rewolucji” połączona z teorią kombinowanego rozwoju — to jedna z dwóch cech, które odróżnia ją od innych nurtów marksizmu. Druga, to teoria warstwy biurokracji państwa robotniczego.

Kategoria warstwy biurokracji nie była tylko „w monopolu” teoretycznym Lwa Trockiego. Także Fryderyk Engels był świadom jej niebezpieczeństwa.

Biurokracja w szczególnie sprzyjających warunkach przybiera formę samostan. Sprzyjają jej warunki: niski poziom rozwoju społeczeństwa, ograniczona liczba dóbr powszechnego użytku (ale nie tylko) oraz zacofanie gospodarcze. Można by rzec, że historycznym zadaniem biurokracji jest utrwalanie niedorozwoju, bo tylko wówczas istnieć mogą przywileje i przydziały.

Dlaczego jednak warstwa, a nie klasa społeczna? Profesor Ludwik Hass wyjaśnia:

„Każda klasa ma specyficzny dla siebie sposób produkcji; warstwa biurokracji znajduje się poza, na zewnątrz produkcji, szkodzi organizacji produkcji”.

Pytań było jeszcze sporo: Czy Lew Trocki będzie rehabilitowany? Czy w Polsce istnieje sekcja IV Międzynarodówki? Jakże stawia sobie cele? Czym się zajmuje? Kto zrobił Październik: Lenin czy Trocki? W tej ostatniej sprawie prof. Ludwik Hass przytoczył fragment wypowiedzi Józefa Stalina w rocznicę wybuchu Października: 07.11.1918 r.

„Cała praca związana z praktyczną organizacją powstania toczyła się pod bezpośrednim kierownictwem towarzysza Trockiego, któremu partia musi być wdzięczna głównie i przede wszystkim”.

Coraz częściej, wraz z analizą stalinizmu, publicyści i naukowcy sięgają do dorobku teoretycznego Lwa Trockiego, części jednak na ten dorobek się powołując. I tak w 22 numerze „Odgłosów” ukazał się artykuł Edmunda Lewandowskiego — „Anatomia tyranii”, charakteryzujący się — delikatnie rzecz ujmując — nieuczciwością intelektualną autora. Píše on:

„Andrzej Stawar nie podzielał poglądu Lwa Trockiego, że powstanie wstępnego etapu rewolucji w Rosji związane było z chorobą i przedwczesną śmiercią Włodzimierza Lenina”.

Rzecz charakterystyczna: autor nie komentuje w tym miejscu, czy Lew Trocki de facto miał taki pogląd, czy pogląd taki przypisał mu Andrzej Stawar, czy też zaakceptował go po prostu E. Lewandowski? Zaraz potem dodaje (niby od siebie):

„Jeden człowiek nie mógł zapobiec temu, co wynikało z gospodarczych i społecznych warunków epoki. Proces biurokratyzacji miał charakter obiektywny”.

A więc Lew Trocki był innego zdania! Oto sztuka manipulacji. Przypuszczam więc, że autor tego artykułu nie zna tekstów Lwa Trockiego, sam zaś formułuje tezy oparte na omówieniach jego poglądów.

Tak się składa, że jeszcze w 1988 r. ZW ZSMP we Wrocławiu wydał w nakładzie 400 egzemplarzy „Zdradzoną rewolucję” Lwa Trockiego. Zainteresowany czytelnik polski mógł więc — gdyby chciał — zapoznać się z jego poglądami. Odwołajmy się do najbardziej interesujących fragmentów tej książki.

Lew Trocki pisze

„Podstawą sprawowania władzy przez biurokrację jest udoświadczenie społeczeństwa w zakresie dóbr konsumpcyjnych wraz z wynikającą stąd walką wszystkich ze wszystkimi. Tak po, na podłożu nędzy społeczeństwa, powstaje organ, który przerasta znacznie społecznie niezbędne funkcje, staje się samodzielnym czynnikiem, a wraz z tym — źródłem wielkich zagrożeń dla całego organizmu społecznego”.

I na takiej to podstawie „wyodrębniła się i ukształtowała potężna kasta speców od dystrybucji”.

Lew Trocki w ogóle daleki jest od „spiskowej” wizji dziejów i traktowania szczególnej roli jednostki w historii, choć twierdził zarazem, że „byłoby największym błędem wyciągać stąd wnioski, jakoby polityka kierownictwa radzieckiego miała trzeciorzędne znaczenie”. Uważał jednak, że „siła następujących po sobie przywódców” i „bohaterów” polegała przede wszystkim na tym, że byli oni dopasowani do tych klas i warstw, jakie dawały im poparcie, tylko taka wzajemna zgodność, a — bynajmniej nie — jakieś absolutne walory osobiste, pozwoliły każdemu z nich wyćsnąć pśtępną swą osobowość na określonej fazie dziejów”.

W sprawie powoływania się Lwa Trockiego na śmierć Włodzimierza Lenina mogę stwierdzić jedno: Lew Trocki nie tylko że takiego zabiegu nie dokonywał, ale wręcz wskazywał na niedokładność analizy sytuacji dokonywanej przez Lenina:

„Opierając się wyłącznie na marksowskiej teorii dyktatury proletariatu, Lenin ani w swym największym dziele poświęconym temu problemowi („Państwo a rewolucja”), ani w programie partii nie zdążył, jak już stwierdzono, z faktu zacofania gospodarczego i odosobnienia kraju wysnuć niezbędnych wniosków, co do charakteru państwa. Nawroty biurokratyzmu program partii objaśnia nieprzychylnym — mas do zarządzania i szczególnie trudnymi spowodowanymi przez wojnę; w celu przezwyciężenia „biurokratycznych wynaturzeń” zaleca on stosowanie czysto politycznych środków”.

I następnie dodaje: „Zredukowanie roli państwa do organu ewidencyjno-kontrolnego” przy stałym zawężeniu funkcji przemusu, jak tego domaga się program, zakłada istnienie choćby względnie powszechnego dostępu. Tego właśnie niezbędnego warunku brakowało”.

I ci, którzy propagują pogląd, jakoby Lew Trocki uważał, że powstanie biurokracji „związane było z chorobą i przedwczesną śmiercią Lenina” oszukują i manipulują opinią publiczną w Polsce. Dalsze zaś konstatacje autora, że „historia pokazała (!), że walka Stalina z Trockim oznaczała wypędzenie diabła przez belzebuba”, że w istocie „obaj przywódcy mieli dyktatorskie skłonności i zarzucał sobie mniej więcej to samo” jest już tylko dorabianiem niewiedzy do poglądów własnych autora.

E. Lewandowski dość konsekwentnie uprawia szalbierstwo w historii. Stwierdza, że stalinizm był właściwie nieunikniony, ponieważ „trudno było uniknąć tych reżimów”, bo „przecież faktem jest, że faszystyzm i stalinizm istniały w XX-wiecznej Europie i to przy ogromnym poparciu społecznym”. W innym natomiast miejscu stwierdza, że dyktatorzy „działali zgodnie z oczekiwaniami milionów ludzi”, że „znaczną część społeczeństwa popierała wówczas stosowanie radykalnych środków, (...) domagała się surowego karania tzw. wrogów narodu”. Prawie autorowi przyznałbym rację, gdyby nie drobniostka: miliony zamordowanych, obcy śmierci, lagry i wieczne prześladowania. Pomijam już fakt, że takie postawienie sprawy wika od razu autora w sprzeczności nie do rozwiązania. No bo, w jaki sposób posługując się kategorią naukową „akceptacji społecznej” można będzie tłumaczyć odbywający się, nie tylko zresztą w Polsce, proces destalinizacji. A swoją drogą, ciekawa to tyrania z poparciem społecznym. E. Lewandowskiemu bliska jest więc taka diagnoza: „chcieli — to mają”. Swista to obrona stalinizmu, przez zdejmowanie z niego odpowiedzialności. Choć, trzeba przyznać sprawiedliwie, że autor potrafi jednocześnie surowo owo samo ocenić jako „ludobójczy system totalitarny”. Osobiście sądzę, że bliższy prawdzie był „diabeł” Trocki: „Biurokracja kula żelazo pólki gorące. Wyżyskując skostnienie i bierność ludzi pracy”. Stanowili bowiem oni wciąż jeszcze „klasę w sobie”.

Antonio Gramsci pisał kiedyś:

„Wysuwając problem krytyki historii, nie należy traktować dyskusji naukowej jak procesu sądowego, w którym występują oskarżony i oskarżyciel mający z urzędu wyrok. (...) Zrozumieć i rzeczowo ocenić stanowisko i racje przeciwnika znaczy właśnie wyzwać się z okowów ideologii (w sensie ujemnym: ślepego fanatyzmu ideologicznego) — czyli przyjąć jedynie płodny w badaniach naukowych krytyczny punkt widzenia”.

Są i będą zapewne tacy, którzy jeszcze niejednokrotnie w procesie destalinizacji czynić będą nowe mistyfikacje. A jednak historia nigdy nie może powiedzieć kategorycznie „NIE”!

ROBERT KERCHER

STANOWISKO CZSP W SPRAWIE SPÓŁDZIELNI „CENTRUM”

W tygodniku Waszym nr 17 z 23 kwietnia 1989 r. w rubryce „Polemiki, listy, opinie” ukazała się notatka p.t. „Spółdzielnia „Centrum” story — aneks”, a jest to właściwie list byłego pracownika tej Spółdzielni Ob. Marka Budzyńskiego.

Mark Budzyński w liście tym zarzuca brak konsekwencji w działaniu Okręgowego Oddziału Lustracji CZSP w Łodzi oraz lustracji bydgoskiej, która przeprowadzała w Spółdzielni Pracy „Centrum” w Łodzi rekontrolę z ramienia Biura Lustracji CZSP w Warszawie.

W związku z powyższym pragniemy wyjaśnić, że lustracja nasza nie miała normalnych warunków do przeprowadzenia kontroli w Młodzieżowej Spółdzielni Pracy „Centrum” w Łodzi, a lustratorzy z Bydgoszczy zostali wręcz wyproszeni. Niemniej i jedna i druga lustracja jednoznacznie ustaliły, że skarżący się byli pracownicy spółdzielni i aktualnie zatrudnieni, a tych skarg napłynęło do nas różnymi kanałami kilkadziesiąt, mieli rację. W konsekwencji Oddział nasz wystosował do organów samorządowych Spółdzielni pismo polustracyjne, w którym wykazano stwierdzone nieprawidłowości i zgodnie z Ustawą „Prawo Spółdzielcze” wydaliśmy szereg zaleceń polustracyjnych o charakterze formalno-prawnym i sankcyjnym.

Organy samorządowe spółdzielni odrzuciły nasze ustalenia i zalecenia żądając rekontroli z Biura Lustracji CZSP. Kiedy okazało się, że rekontrola potwierdza nasze ustalenia, dalszy pobyt lustratorów z Bydgoszczy okazał się niepożądany. Ale i w tym przypadku sporządzone protokoły, pismo polustracyjne i Biuro Lustracji CZSP w Warszawie wydało zalecenia, między innymi zobowiązujące spółdzielnię do pełnej realizacji naszych zaleceń. Termin wykonania naszych zaleceń minął 30 kwietnia 1989 r., a Biura Lustracji CZSP 31 sierpnia 1988 r.

Zarówno w jednym jak i w drugim przypadku żadnej odpowiedzi nie było. Nie było informacji o sposobie wykonania zaleceń polustracyjnych i nie ma ich do dnia dzisiejszego.

Od momentu wydania zaleceń i terminów ich realizacji do 31.12.88 r. — z którą to datą spółdzielnia przestała być członkiem CZSP — było sporo czasu na uporządkowanie spraw w spółdzielni.

Zlekceważone zostało prawo, a konkretnie przepis zawarty w Ustawie „Prawo Spółdzielcze” z 16.09.1932 r. (Dz. Ustaw nr 30, poz. 210) art. 93 par. 3.

„Działanie aparatu lustracji CZSP zmierzano do zaniechania stosowanych praktyk wobec pracowników spółdzielni, wyrównania wyrządzonych im szkód, działania zgodnie z obowiązującym prawem i zasadami współzycia społecznego.”

Czy nie było to konsekwentne działanie? — jak píše autor notatki.

Fakt niewykonania naszych wskazań pozostawiamy ocenie redakcji „Odgłosów” i Czytelników waszego tygodnika.

CENTRALNY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZOŚCI PRACY — OKRĘGOWY ODDZIAŁ LUSTRACJI W ŁODZI

„MIĘDZY NAMI NACZELNIKAMI”

Nawiązując do artykułu w Waszym poczytnym piśmie „Między nami naczelnikami” pragnę podać, że dotyczył on tylko nikiej działalności bezprawia dokonywanego przez naczelnika w Strykowie. Naczelnik w ogóle nie kierował się prawem, lecz własnymi interesami lub samowolą w oparciu o przepisy prawa dotyczące tylko obowiązków Obywatela, a nie obowiązujące Urzędu.

Pan naczelnik Gwizdak popierany był przez władze zwierzchnie do samego końca sprawowania władzy.

Pragnę przedstawić swoją sprawę, którą zgodnie z obowiązującymi przepisami usiłowałem drogą legalną załatwić w Urzędzie Gminy w Strykowie.

Od 1975 roku dzierżawię od tegoż Urzędu działkę rekreacyjną na terenie wsi Smolice. Umowa dzierżawna została zawarta na 25 lat. Przejąłem 700 m kw. nieużytków rolnych, na których nawet dzika trawa nie rosła. Przez okres dzierżawy zagospodarowałem ją. Wspólnie z innymi użytkownikami założyłem sić elektryczną. W 1986 roku rozpocząłem starania o wykupienie tej działki na własność. Na razie w Urzędzie nikt nie umiał powiedzieć, jak to należy załatwić.

W lutym 1987 roku wystąpiłem formalnie na piśmie o sprzedaż mi działki. Otrzymałem pismem odpowiedź, że istnieje taka możliwość kupna po cenie 444 złotych za 1 m kw. Szybko wyraziłem zgodę. Niestety okazało się, że co jakiś czas są inne przeszkody. Między innymi gmina nie ma aktualnych map. Nie mogła mieć, gdyż w sposób bezprawny dzielono działki nie wg mapy, lecz wg decyzji naczelnika. Zrobienie nowych map trwało 2 lata, a założenie ksiąg wieczystych około roku. W międzyczasie naczelnik w bardzo szybkim tempie podzielił las, który miał być terenem rekreacyjnym dla działkowców. Innym użytkownikom i to w bardzo szybkim tempie załatwił księgi wieczyste i zdążył sprzedać po 444 zł za 1 m kw. omawiane działki. Nawet, jak mi wyjaśniono w gminie, ustalono, że ten las wcale nie jest lasem.

Ponieważ sprawa moja nie ruszała z miejsca pomimo moich pism kierowanych pod adresem naczelnika, skierowałem sprawę do dyrektora Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami przy Urzędzie Miasta Łodzi. Spowodowało to, że naczelnik podjął wreszcie decyzję o oddanie mi działki w wieczyste użytkowanie tj. wg nowych przepisów po cenie równiej nowej, tj. 1380 zł za m kw. — wpłacił i raty. Uważam to za zupełne lekceważenie obowiązujących w naszym kraju przepisów.

Arogancją jest fakt, że Urząd nie przestrzegał przepisów KPA o terminach załatwiania spraw obywateli, natomiast w decyzjach swoich wymaga przestrzegania terminów 7-dniowych. Zarzęca się, że naczelnik nie uwzględnił wniosków obywateli itp. Ponieważ czułem się oszukany, gdyż moje odwołanie od decyzji naczelnika przez dyrektora Geodezji zostało oddalone, a o takiej decyzji wcześniej o 10 dni dowiedziałem się w gminie, uważam, że działalność naczelnika była popierana przez organa nadzeczne, co upoważniało go do panowania bez żadnej odpowiedzialności. Na moje pismo skierowane do dyrektora Wydziału do dnia dzisiejszego nie otrzymałem odpowiedzi, a dotyczyło ono faktów bezprawia.

Nawiązałem skargę do prezydenta miasta i jak wiem, trafiła ona do rozpatrzenia do dyrektora Wydziału Geodezji. Skarga na wilka do wilka — nie potrzeba nie w tym przypadku wyjaśnić. W podobnej jak ja sytuacji są inni użytkownicy działek.

Takie postępowanie w stosunku do obywateli jak i stosowanie równego prawa w nierównym sposób powinno być napiętnowane, a dla potomnych ku przestrodze ścigane przez organa z urzędu.

ZENON KOWALSKI

OWOCE Z DĄBROWY

W zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku naszego województwa funkcjonuje raj trucieli. Wiesz nazywa się Dąbrowa, leży w śmiecie Głowno, nie oddał Waliszewa.

Bywałem w tej wsi lat temu kilka i więcej i ciągnęło mnie od nioła do nioła, choć talentów plastycznych mi nie damo. Okolica prosiła o portret. Dziś prosi o zmówienie. Chciałoby się ostrym tonem zanęcić, kto pozwolił niejakiemu niołu W. wyćć tonole, deby i brzożki, rosnące wzdłuż drogi i nie wadzące nikomu. Tylko kogo zapisać i po co? Tych drzew i drzewek już nie ma. Unrównane pola i łąki, jak płuć skazanej na chłostę dziewczyny, zostały odsonowane i poddane bezmyślnym torturom.

Obrawców o tej porze roku nie usłyszę, snedają bowiem wakacje na Haiti, ale przez dziewięć miesięcy roku konsekwentnie na te wczasy zarabiała. W gospodarstwie nr 2 założyła sobie fabrykę. Powlekała materiał sztuczny tworzywem, produkując imitację skóry. Wzięły z ich działalności wysysa prad powietrzny, utworzony wcinika nioła W. i nieśie wzrost na unrównane pola. Pola osłoneczone wcześniej z zarosli przez fachowców od melioracji.

W jedynym pobliskim gospodarstwie mieszka „Głupi Zdzisio” i nikogo to nie obchodzi, że zabili okna deskami dla uniknięcia halucynogennych inhalacji. Co komu po takim „niedorobionym”? Ważne, żeby dożyła się miała osób cieszące się nowoczesnym szacunkiem. Do takich zalicza się właścicielka posesji nr 2, pani R. Mieszka w luksusowej willi w Łodzi, odnajmuje w niej owinę i garaż, nie wachala niedy owarów z materiałów powlekanych tworzywem, owoce kupuje na rynku, nie ma więc powodu, żeby zainteresowała się własnym sadem, który umiera w obłoku PCV. Umierała krzewów owocowe na podwórku, trawa i stara jabłoni, ale czynsz dzierżawny od fabrykantów ma żyć odnajdą siłę. Stąd szacunek mieszkających wsi do pani R. Ta umiała się rzadzić!

Surowce, chemikalia, w dziurawych beczkach umieszczono w równie dziurawej stodole. Wymywa je stamtąd deszcz i sydlą niemi ziemi rodzicielki. Tam gdzie powinny rosnąć kotlety schabowe i szynki, dymi śmiercionośny piec. W rozpadającej się chacie mieszkają durni pracownicy firmy. Odgłosy ich „wypoczniku” po pracy słychać aż w sąsiednim województwie. A wokół czapka niewidka. Ile też mogła kosztować?

Taka sama czapkę nosił siedemnastoletni chłopiec, który przez kilka godzin, w biały dzień, leżał na ławce pod wiatą przystanku przy „Centralu”. Kiedy po raz trzeci minął go prowadzony przez siebie tramwaj, udało mi się powiadomić załogę przejeżdżającego radiowozu MO. O jeden kwadrans za późno. Zmarł na skutek przedawkowania narkotyku, zanim zainteresował się nim ktokolwiek z setek przechodniów. „Oby karmiono ich owocami z Dąbrowy!” — pomyślałem wtedy. Do dzisiaj nie wiem, czy słusznie.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

ZAPROSZENIE DO TAŃCA!

Dom Kultury „Uniontex”, ul. Przędzalniana 68, tel. 74-73-10 rozpoczyna ostatni w tym sezonie kurs tańca towarzyskiego. Zapraszamy.

PP POLMOZBYT

o g ł a s z a

PRZETARG OGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów w trybie i na zasadach ustalonych Uchwałą nr 3 Rady Ministrów z dn. 23.01.1989 § nr 5.

Niżej wymienione pojazdy biorą udział w przetargu ograniczonym dla ludności.

1. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 347665, nr siln. 405412, cena wywołania 7.593.000, —
2. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 345351, nr silnika 402544, cena wywołania 7.600.000, —
3. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 340702, nr silnika 398472, cena wywołania 7.505.000, —
4. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 338454, nr silnika 394797, cena wywołania 7.472.000, —
5. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 349158, nr silnika 407791, cena wywołania 7.585.000, —
6. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 349071, nr silnika 407326, 7.605.000, —
7. Polonez 1500, rok prod. 1989, nr podw. 348996, nr silnika 407476, cena wywołania 7.600.000, —
8. Polonez 1600, rok prod. 1989, nr podw. 348143, nr silnika 22835, cena wywołania 7.738.000, —
9. Polonez 1600, rok prod. 1989, nr podw. 350162, nr silnika 23419, cena wywołania 7.708.000, —
10. FSO 1500, rok prod. 1989, nr podw. 2436456, nr silnika 394296, cena wywołania 4.292.000, —
11. Fiat 126p, rok prod. 1989, nr podw. 9480252, nr silnika 6144575, cena wywołania 1.843.735, —
12. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9479819, nr siln. 6143874, cena wywołania 1.836.323, —
13. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 1947874, nr siln. 6144585, cena wywołania 1.897.291, —
14. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9480874, nr siln. 6144978, cena wywołania 1.841.882, —
15. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9480645, nr siln. 6144741, cena wywołania 1.815.940, —
16. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9480215, nr siln. 6144460, cena wywołania 1.845.588, —
17. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9480886, nr siln. 6144934, cena wywołania 1.836.323, —
18. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 19454722, nr siln. 6093305, cena wywołania 1.823.676, —
19. Fiat 126p FL, rok prod. 1989, nr podw. 9448125, nr siln. 6108915, cena wywołania 1.885.428, —
20. Fiat 126p Bis, rok prod. 1989, nr podw. 3091898, nr siln. 3098425, cena wywołania 2.264.240, —
21. Fiat 126p Bis, rok prod. 1989, nr podw. 3102453, nr siln. 3104921, cena wywołania 2.546.838, —

Niżej wymienione pojazdy biorą udział

w PRZETARGU NIEOGRANICZONYM

1. Polonez 1600, rok prod. 1988, nr podw. 216349, nr silnika 10254, cena wywołania 7.405.000, —
2. Polonez 1600, rok prod. 1988, nr podw. 329587, nr silnika 283101, cena wywołania 7.240.000, —
3. Polonez 1500, rok prod. 1988, nr podw. 321476, nr silnika 375787, cena wywołania 7.359.000, —
4. FSO 1500 ME, rok prod. 1988, nr podw. 2403989, nr siln. 331119, cena wywołania 4.013.000, —
5. FSO 1500 ME, rok prod. 1988, nr podw. 2401324, nr siln. 329051, cena wywołania 3.791.000, —
6. FSO 1500 Pick-up A, rok prod. 1988, nr podw. 1052740, nr siln. 364504, cena wywołania 3.855.000, —
7. FSO 1500 ME, rok prod. 1988, nr podw. 2409998, nr siln. 338238, cena wywołania 4.023.000, —
8. Fiat 126p FL, rok prod. 1988, nr podw. 1926894, nr siln. 9908131, cena wywołania 1.609.000, —
9. Fiat 126p FL, rok prod. 1988, nr podw. 9321583, nr siln. 9970511, cena wywołania 1.740.000, —

Przetarg odbędzie się dn. 23.06.1989 r., o godz. 8, w Łodzi, przy ul. Brukowej 16.

Pojazdy oglądać można w dn. 22.06.1989 r., w godz. 8—11 i 12—14, w Łodzi, przy ul. Brukowej 16.

Protokoły wraz z ocenami technicznymi dotyczącymi stanu technicznego pojazdów będą udostępnione przy oględzinach. Przystępujący do licytacji winien wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywołania w kasie przedsiębiorstwa, przy ul. Brukowej 16, w dn. 22.06.1989 r., w godz. 8—13.

Dopłata do wygranego przetargu musi nastąpić w ciągu 24 godz. po przetargu.

PP POLMOZBYT zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu w całości lub jego części bez podania przyczyny. W przypadku wpłat wadium na pocztę lub banku, nasze konto jest następujące: — 374606-55 PBK w Warszawie V/O Łódź.

2227-k

Spółdzielczy Zakład Ubezpieczeń „WESTA”

w Łodzi

o g ł a s z a

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na

★ 2 SAMOCHODY marki VOLKSWAGEN-TRANSPORTER: ★

— rok produkcji 1985, nr rej. LZA 472 F, nr silnika brak, nr podwozia WV 22222 52 GHO 22967, poj. silnika 1600 cm sześć;

— rok produkcji 1985, nr rej. LZA 857 F, nr silnika 0725, nr podwozia WV 22222 52 FHO 99382, poj. silnika 1600 cm sześć.

Przetarg odbędzie się w dniu 28.06.1989 r. w siedzibie „Westy” — Łódź, ul. Nowotki 8. W przetargu może wziąć udział każdy, kto wpłaci wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej pojazdu.

Spółdzielnia zastrzega sobie możliwość odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

2252-k

PP POLMOZBYT

o g ł a s z a

PRZETARG OGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów w trybie i na zasadach ustalonych Uchwałą nr 3 Rady Ministrów, z dn. 23.01.1989 § nr 5.

1. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4183582, nr siln. 2103974, cena wywołania 1.500.000, —
2. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4196237, nr siln. 2123178, cena wywołania 1.500.000, —
3. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205742, nr siln. 2136070, cena wywołania 1.500.000, —
4. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205727, nr siln. 2120611, cena wywołania 1.500.000, —
5. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205578, nr siln. 2135917, cena wywołania 1.500.000, —
6. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4206495, nr siln. 2137709, cena wywołania 1.500.000, —
7. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205753, nr siln. 2120261, cena wywołania 1.500.000, —
8. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205913, nr siln. 2120515, cena wywołania 1.500.000, —
9. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205897, nr siln. 2136479, cena wywołania 1.500.000, —
10. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205902, nr siln. 2136573, cena wywołania 1.500.000, —
11. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205737, nr siln. 2120601, cena wywołania 1.500.000, —
12. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4206031, nr siln. 2136837, cena wywołania 1.500.000, —
13. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205758, nr siln. 2135848, cena wywołania 1.500.000, —
14. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205732, nr siln. 2120475, cena wywołania 1.500.000, —
15. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podwozia 4205746, nr siln. 2136292, cena wywołania 1.500.000, —
16. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205592, nr siln. 2135977, cena wywołania 1.500.000, —
17. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205886, nr siln. 2136513, cena wywołania 1.500.000, —
18. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4206666, nr siln. 2136831, cena wywołania 1.500.000, —
19. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4206632, nr siln. 2136810, cena wywołania 1.500.000, —
20. Trabant lim. rok prod. 1989, nr podw. 4205431, nr siln. 2136222, cena wywołania 1.500.000, —

Przetarg odbędzie się 29 czerwca 1989 r., o godz. 8 w Łodzi, przy ul. Brukowej 16.

Pojazdy oglądać można w dn. 26.06.1989 r., w godz. 8—11 i 12—14, w Łodzi, przy ul. Brukowej 16.

Protokoły wraz z ocenami technicznymi dotyczącymi stanu technicznego pojazdów będą udostępnione przy oględzinach. Przystępujący do licytacji winien wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywołania w kasie przedsiębiorstwa, przy ul. Brukowej 16 w dn. 26.06.1989 r., w godz. 8—13. Dopłata do wygranego przetargu musi nastąpić w ciągu 24 godzin po przetargu.

PP POLMOZBYT zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu w całości lub jego części bez podania przyczyny.

W przypadku wpłat wadium na pocztę lub banku, nasze konto jest następujące: 374606-55 PBK w Warszawie V/O Łódź.

2228-k

1

Zależny

Podoba mi się bardzo, że teraz wszyscy uważają się za ludzi całkowicie niezależnych. Kiedyś wszyscy od czegoś tam zależeli, obecnie nie. I bardzo dobrze. W czasie kampanii wyborczej, co człowiek zerknął na jakiś plakat, to miał do czynienia z niezależnym kandydatem. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby tych niezależnych i zależnych było mniej więcej tyle samo, wtedy przynajmniej można by zachować równowagę. A tak, znowu nastąpiło przesunięcie na jedną

stronę. No, ale widocznie tak ma być.

Na początku lat siedemdziesiątych podobał mi się bardzo ruch hipisowski. Wtedy ja i moi znajomi powtarzaliśmy do znudzenia, że jesteśmy wolnymi ludźmi. Ale pewnego razu mój nauczyciel od fizyki powiedział, że dopóki nie obetnę włosów i nie zmienię ubrania, to on na swoich lekcjach nie chce mnie widzieć. Cóż było robić, z fizyki nie byłam najlepszy i tak skończyła się moja wolność.

Nauczony tym — i nie tylko tym — doświadczeniem, chcę teraz powiedzieć, że jestem człowiekiem zależnym. Od czego i od kogo, zaraz tutaj krótko wyjaśnię:

— Otóż przede wszystkim, zależny jestem od redaktora naczelnego, zastępcy redaktora, sekretarza redakcji i oczywiście pana cenzora, których to wszystkich korzystając z okazji serdecznie pozdrawiam.

— Od mojej żony, tak samo zresztą, jak każdy żonaty mężczyzna w wielu różnych sprawach zależny jest od swojej połowicy.

— Od mojego dziecka, choć w tym wypadku zależność jest dużo mniejsza i sprowadza się

do kilku podstawowych — co nie znaczy wcale, że białych — problemów.

— Od pogody, bo gdy jest na przykład deszcz, czuję się fatalnie i nie, ale to absolutnie nie, nie chce mi się robić.

— Od komunikacji, ponieważ najczęściej niestety bywa tak, że gdy gdzieś się śpieszę, to nie nie przyjeżdża i wtedy wściekam się okropnie i budzą się we mnie myśli bardzo radykalne.

— Od kilku moich przyjaciół, którzy upodobili sobie wpadanie do mnie późnym wieczorem, rzadko z pustymi rękami. W tym miejscu muszę zrobić pewną istotną uwagę: jestem mianowicie przekonany, że nie należy mylić zależności z uzależnieniem, to z całą pewnością dwie różne sprawy.

— Od wszelkiego typu urzędów, w których zawsze gubię się i nie nie mogę znaleźć, co w konsekwencji nie kończy się dla mnie dobrze. A jedyny z tego pożytek, to to, że coraz lepiej rozumiem „Proces” Kafki.

— Od pewnej instytucji, która co rusz przysyła mi druki ścisłego zarachowania; ludzie tam pracujący uparli się zrobić ze mnie żołnierza, co powiem szczerze, nie uszczęśliwia mnie zbyt.

— Od telefonu, który jest mi niezbędny, a którego nie mam.

— Od jedzenia i picia, a ponieważ tak jedno, jak i drugie nie jest u nas ostatnio „najlepsze”, dlatego moja postura nie należy do zbyt okazalich.

— I tak dalej i dalej...

Oczywiście w tym miejscu powie ktoś: czego ty (czyli piszący te słowa) straszysz wariatami, wiesz przecież dobrze, że chodzi tutaj o niezależność polityczną. No tak, odpowiem, że niezależnością polityczną ja też jestem, jak wszyscy, to wszyscy. Zresztą, tak między nami mówiąc, (nawet gdybym był gdziekolwiek zapisany), od kogo miałbym właściwie zależność, skoro wszystkie organizacje, partie (to dopiero ciekawostka!), stronnictwa itd. itp. są przecież niezależne.

TOMASZ
A. WŁODKOWSKI

2

Lewym
okiem

Ludzka rzecz

Niedawno spłonęła w Białymstoku kopuła budującej się hali sportowej. Straty spowodowane pożarem wyniosły ponad 60 milionów złotych. Przyczyny dokładnie nie stwierdzono, przypuszczalnie było to nieostrożne obchodzenie się z palnikami przez jednego ze spawaczy. Komentator radiowy, który mówił o tej sprawie, powiedział w tym miejscu dość krótkowzrostowo: „Czyżby dyrekcja budowy nie wiedziała, że w niedzielki nie należy takich czynności powierzać ludziom?” Pożar zdarzył się bowiem w niedzielę.

Nie wiem, czy prawidłowo odczytałam podtekst dowcipu dziennikarza radiowego, ale chyba tak. Chyba chodziło o to, że w niedzielki ludzie są przeważnie na kacu pod dwudniowym świętowaniem i nie w pełni odpowiadają za swoje czyny. Nie należy im powierzać niebezpiecznych czynności. Radiowiec powiedział to zapewne w konwencji żartu, ale jeśli można w ten sposób w naszym kraju żartować, to znaczy, że zjawisko ma korzenie sięgające jednak w jakąś nie pozbawioną prawdy głębie.

O szewskich niedzielkach mówiło się już na długo przed wojną, szewcy w niedzielę nie robili butów, albo — robiąc je — partaczyli. O budowlanych wiadomo było, że w niedzielki ich wydajność jest mniejsza o połowę, niż w pozostałe dni tygodnia. Hala sportowa w Białymstoku wznowili też budowlani, ale to nie tylko o nich chodzi. Chodzi ge-

neralnie o to, jak kosmiczna, społeczna groźba stał się u nas alkoholizm.

W Szczecinie — dla odmiany — międzyklubowy mecz piłkarski, sędziował arbiter popielający fatalne pomyłki. Okazało się, że poprzedniego dnia spił się do utraty przytomności. I tak ten groźny łańcuch niebezpieczeństwa ciągnie się za nami i staje coraz cięższy.

Spójrzcie alkoholu na głowę wzrasta niepokojąco z roku na rok. Nie tylko na głowę, także na głowinę, na każdą głowinę niemowlęcia, bo te się także liczy w statystyce. Nic na to nie pomaga ciągłe podwyżki cen, bo wreszcie można alkohol robić własnym przemysłem i to bez większego trudu. I nie nie pomaga pięknie drukowane broszury i całe rozprawy, bo tych pijacy do rąk nie biorą. Nie pomoże się poradni odwykowych — pomóc może tylko zwarte, konsekwentne odium antypijackie praktykowane na co dzień przez całe społeczeństwo. Tymczasem jest tak, że w każdym filmie, zwłaszcza polskim, w każdej powieści, zwłaszcza polskiej, pije się szklankami alkoholu co parę minut na nowo. W filmach to już się leje szklanicami i całymi fiakami.

Cóż, ten felieton też niczego nie zmieni, mogę sobie tylko westchnąć marząc o czasach, kiedy alkohol będzie nadal na pewno rzeczą ludzką, ale chłania go szklankami będzie uważane powszechnie za sprawę obrzydliwą i absolutnie nie-ludzką.

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

3

Pod prąd

Obiecywactwo
i martyrologia

Od kilku tygodni mam ochotę napisać coś o kampanii wyborczej. Może nie tyle o kampanii, ile o specyficznym folklorze, jaki ta kampania rodziła. O hasłach i haselkach, o plakatach i transparentach, o kandydatach. Powstrzymało mnie jedno: nie chciałem brać w tej kampanii udziału. A zatem nie mogłem nikogo krytykować ani chwalić, bo byłbym stronniczy, a nikt mnie do biur wyborczych nie angażował, nikt mnie nie obligował do określonych wystąpień. Pozostawałem w pozycji widza. Ale skończyło się, przynajmniej częściowo, bo piszę ten tekst czwartego czerwca...

O hasłach, plakatach i transparentach — trochę za późno, lada dzień znikną. Napisałem zatem o ludziach, o kandydatach. Prawie każdy z nich w wywiadach i innych wypowiedziach zastrzegał się, że niczego nie obiecuje. A potem spotykał się z wyborcami i... rozwiązywał worek z obietnicami. Jeden, że założy w Radomiu TV satelitarną, inny, że uzdrowi służbę zdrowia, inny zapali zielone światło dla rolnictwa, inny znów dla budownictwa mieszkaniowego. Jeszcze inny ma receptę na spłcenie dłu-

gów albo na reformę milicji. Co ciekawsze, im mniejsze możliwości, tym większy diapazon obietnic.

Najwięcej naobiecowały niezależni kandydaci na senatorów. Ludzie, którzy (podobno) z nikim nie są związani, występują będą tylko we własnym imieniu. Czyli będą mieli, w najgorszym razie, głos jeden na sto! Na dodatek Senat będzie izbą niejako kontrolną w stosunku do Sejmu a więc senator ma rolę sui generis pasywną — czeka, co Sejm Senatowi zaproponuje. Jak w tej sytuacji sympatyczny oficer milicji chce zreformować milicję? Jak zajął ekologista nie dopuścić do zatrudnia środowiska? Bóg raczy wiedzieć...

„Obiecywactwo” (tak by to chyba nazwał Melchior Wańkowicz), to tylko jedna z charakterystycznych cech folkloru wyborczego. Jest jeszcze inna, która mnie szczególnie śmieszy. Jest nią martyrologia. Każdy kandydat opozycji nie omieszcza przy każdej okazji przypomnień, że był więziony, ile razy i jak długo. Jeśli nie był więziony, to chociaż internowany. A jak nawet nie internowany, to nie mógł zrobić doktoratu czy habilitacji ani dostać stypendium zagranicznego. A jak już nie z tych rzeczy, to przynajmniej, jako adwokat z zawodu, bronił dysydentów w sądzie!

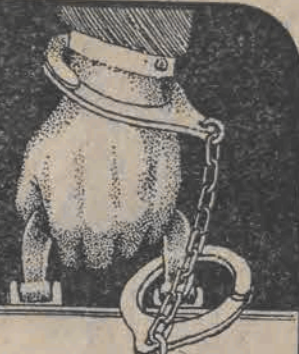
Kuriozalnym przykładem martyrologii kandydata jest znany i popularny aktor, który stwierdził, że wolny czuł się do roku 1945, potem został internowany... Nie siedział, nie był internowany, napsów był a granicę jeździł, ale był zniewolony. W latach, kiedy czytał komentarze do Polskiej Kroniki Filmowej, jak łatwo się domyślać, był na Chelmskiej dowożony przez UB i czytał te wszystkie reżymowe kłamstwa patrzając jednocześnie na ekran i na wywołaną weń łufę nagawania...

Nie tylko zresztą kandydaci byli prześladowani. Oto wybitny publicysta polityczny, Czesław Nowicki (pseudonim konspiracyjny: „Wicherek”) przyznaje się po latach, że siepacze z UB kazali mu zawsze przepowiadać piękną pogodę na pierwszy maj, a ulewny deszcz na Boże Ciało. I tak prognozował, a co? Miał się dać wywieźć na Syberię? Co gorsza, prognozy się przeważnie sprawdzały, co świadczy o ściśle szatańskim intryganctwie MBP...

Moda na martyrologię przedko upowszechniła się w tej kampanii i objęła ludzi nawet dalekich od opozycji. Ktoś tam się żali, że miał przerwę w pracy w TV, nie dodając — zapewne przez skromność — że pracował w czasie tej przerwy w KC. Inny pracownik telewizyjny został pozbawiony kierowniczego stanowiska, o czym informuje telewizorów i wyborców, jakby ich to cokolwiek obchodziło. Jeszcze inny kandydat na senatora żalił się, że od dwudziestu lat jego szefowie nie biorą pod uwagę jego poglądów i nie wprowadzają w życie jego pomysłów. Biedaczek, ileż to ucierpiał!

Obserwacja kampanii pod tym kątem może doprowadzić do wniosku, że kandydaci głównie ludzie przegrani, skrzywdzeni, zgorzkniali... Teraz chcą się może odegrać? Wątpię, czy wyborcom na tym zależy. Chyba jednak wolą mieć reprezentację parlamentarną złożoną z ludzi sukcesu, ludzi, którzy wiedzą, jak to się robi.

Napisawszy to co wyżej udaje się do lokalu wyborczego. Mam swoich kandydatów, nie powiem których. Będę głosował na polityków, ekonomistów, prawników. Żaden reżyser, choćby najlepszy, żaden aktor, żaden gwiazdor TV nie ma u mnie szans!

ANDRZEJ
KAROLOchrona
Osób
i Mieniapoleca
U S Ł U G I:

- samochodowego inkasa utargów
- konwojowania wartości pieniężnych, papierów wartościowych, biżuterii itp.
- dozoru placówek handlowych, usługowych, zakładów pracy, placów budów itp., na warunkach uzgodnionych pomiędzy stronami
- ochrony placówek handlowych, usługowych i innych obiektów zamkniętych
- zapewnienia porządku podczas imprez publicznych (zjazdy, imprezy sportowe, handlowe, artystyczne itp.).

Zainteresowane przedsiębiorstwa i osoby

Z A P R A S Z A M Y:

ZAKŁAD DZIAŁALNOŚCI
GOSPODARCZEJ KS „SPOŁEM”
OCHRONA OSÓB I MIENIAŁódź, ul. Północna 36,
tel. 32-65-19 wew. 5, lub 33-39-59.

2045/K



ORGMAN

pomaga wybrać właściwych ludzi na właściwe stanowiska — z jego pomocą przeprowadzisz konkursy na stanowiska kierownicze.

ORGMAN

doradzi co produkować, jak osiągnąć wysoki zysk i dobrą organizację pracy.

90-130 Łódź, ul. Narutowicza 45

ORGMAN

to spółka, która przeprowadzi w Twoim przedsiębiorstwie atestowanie i wartościowanie pracy i zaplanuje właściwe systemy wynagrodzeń.

ORGMAN

wykonuje analizy psychospołeczne, analizy absencji i konfliktów, projektuje systemy polityki kadrowej.

ORGMAN

prowadzi mediacje i negocjacje w przedsiębiorstwach i między nimi.

ORGMAN

zapewni system właściwej oceny pracowników i system gospodarki kadrą rezerwową.

ORGMAN

to zespół najlepszych w Polsce specjalistów.

32499-g

OGŁOSZENIA DROBNE



NIERUCHOMOŚCI

ŁADNY dom na wsi koło Łowicza — sprzedam. Łódź, 57-89-57. 35322-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

MASZYNE dziewiarską „3” ściągającą bawełniany — sprzedam. 43-61-27 35240-g

SPRZEDAM koiernieżyki „Polo”. Kilińskiego 47/10a 34889-g

MASZYNE kuśnierską nową, (licencja „Strobel”) — sprzedam. 57-73-50. 34160-g

SPRZEDAM pilnie z powodu choroby kompletne urządzenia do produkcji pianki kryłami nowej (do ocieplania w budownictwie). Tel. 14-12-53 po godz. 15. 87-61-07 po godz. 18. Łódź. 34933-g

OWCZARKI niemieckie — sprzedam 55-85-47 34980-g

DOBERMANY rodowodowe — sprzedam. 95-010 Stryków, Koperska 41, tel. 286. 34083-g



USŁUGI

ZE SLAJDÓW — negatywy, odbitki na materiałach zachod-

nich — wykonuje „Studium”, Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskie) Ryce. 31054-g

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów 74-82-92 Woźniak. 23010-g

WYDZIERŻAWIE firmie polonijnej lub spółce na działalność gospodarczą szklarnię ogrzewanie, powierzchnia 850 m na dużej działce. Łódź Skrajna 1/5 34665-g

POSZUKUJE odbiorców drewna (kresz) Zak. Konstantynów Kościelna 5 34969-g

KOLONIE i wczasy nad morzem i w górach. „Sartour” 36-31-54. 31914-g

WEEKENDY autokarowe Wiednie, Berlin Zachodni „Sartour” 36-31-54. 31913-g

HAMBURG — trzydniowe pobyty „Sartour” 36-31-54, Sienkiewicza 101/109 31912-g

Stan Gral bardzo lubił kobiety, ale z tym zwykle wiązała się jakieś nakłady. Bywało, że poznał niejaką osobę, i koledzy namawiali go, żeby sfinalizował sprawę. Wystarczyło zaprosić ofiarę na kolację do japońskiej restauracji, albo do pubu, a potem do dyskoteki. Gral rozważał wszelkie takie możliwości, by po dłuższej chwili oznajmić przyjaciółom:

— A ja jednak twierdzą, panowie, że onanizm jest tańszy.

I rezygnował ze wszczęcia dziewczyny — czasami nawet z tak błahego powodu, że nie miał ochoty postawić jej hamburgera u McDonalda (a to przecież szczyt nędzy i złego smaku, chodzą tam tylko przedstawiciele „low-life”, niskiego życia, i kiedy czyta się w polskiej prasie zachwyty nad tą organizacją niszczycieli wątroby, to bywałem w świecie czekolki płakać się chce nad głupotą rodaków).

Gral jednakże znalazł sposób zaspokajania swego popędu seksualnego: oszalał na punkcie Murzynek.

— Czarna — tłumaczył Duchowi — jest szczęśliwa, że ją biały chce posunąć. To są jedne kobiety w tym kraju, na które nie trzeba wydawać pieniędzy. Jakbym miał wydać na dupę pięć dych, tak jak ty to robisz, to bym wolął walczyć konia i pójść spać. U czarnej zjem, wypiję i jeszcze mi dobrze obciągnie.

Co do ostatniego punktu programu Duch zgadzał się z nim całkowicie: miał sesje z kobietami o wszystkich możliwych odcieniach skóry, ale tylko czarne dawały pełną satysfakcję w konkurencji oralnej. Wietnamki, Chinki, Japonki nadabły technikę, ale nie zastąpiły tych wielkich warg i mięsistego jęzora o kwalifikacjach boa-dusiciela. Pod każdym innym względem czarne musiały oddać palmę złotoskórym dziewczynom, ale w tej jednej dziedzinie bezwzględne mistrzostwo świata należy do czarnych — jeżeli przyjąć opinię Ducha za miarodajną.

Krył więc Gral Murzynki gdzie się dało, czasami wciągał Ducha do towarzystwa i Duch przyjmował zaproszenia z wdzięcznością, ponieważ współzycie z Kaliną nie dawało mu satysfakcji. Ale nie zrywał ukiadu, ponieważ lubił dziewczynę jako człowieka, była na wskroś uczciwa i mimo wszelkich przeciwności w doświadczeniach i charakterach tolerowali się wzajemnie, bez żadnej chęci zmiany partnera. Spokojne „małżeństwo z rozsądku”, tyle, że Duch był wciąż mężem Georgii i nie miał zamiaru występować o rozwód. Zbyt wiele by to kosztowało, no i zaraz Kalina przypuściłaby szturm, żeby się z nią ożenił.

Pewnego dnia Gral zaproponował Duchowi wspólną wyprawę do Meksyku. Duch akurat miał czas, bo zwolnił się z pracy, zaczął pobierać zapomogę dla bezrobotnych, i miał zamiar, czynić to przez pół roku, ponieważ w tym czasie chciał napisać powieść i posłać ją do Instytutu Literackiego w Paryżu. Może tym razem Jerzy Giedroyc zdecyduje się wyłusować Ducha na emigrancko-zachodnim rynku! Bo Duch nie wątpił, że jeśli Giedroyc wyda jego powieść, to posypią się tłumaczenia na obce języki. Tak działało się z wieloma utworami, wydawanymi przez Instytut, więc dlaczego nie tym razem? Miał Duch znakomity pomysł, tak przynajmniej sądził, potrzebował tylko sponsora, żeby usiąść na sześć miesięcy bez zmartwień materialnych i spokojnie rzecz napisać.

Na razie jednak podjął starania o zaliczkę. Wycylił sobie, że potrzebuje dwa czterysta w dolarach do zapłaty dla bezrobotnych. W związku z tym napisał do Jerzego Giedroycia, przedstawił mu swoje plany i poprosił o tysiąc dwieście dolarów. Drugie tysiąc dwieście załatwił sobie prywatnie, na wesele, pożyczka od Franka Gelasco, załatwiona za pośrednictwem jego żony, podstawiała aktorki.

Pojechał więc z Galem do Meksyku, był z nim także Kazio Orłowski, a raczej Casimir Orly, zwany krótko Cas, przy czym należy zauważyć, że wkrótce po zarobieniu kupy forsy Cas Orly załatwił sobie sądowo dodatek do nazwiska,

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

(20)

Ruszenie głową

które brzmi teraz absolutnie arystokratycznie: Casimir de Orly. Kiedy przyjeżdża do Polski i zasiada w gronie wielce szanownych gości, podejmowanych na Zamku Królewskim w Warszawie przez przedstawicieli rozmaitych władz i towarzystw, spragnionych „dolarów”, to trzeba widzieć jego twarz! Jest tak dumny z siebie, że swoich dokonań, jakby co najmniej wynalazł środek przeciw lęśnieniu. Tu trzy tysiące podrzuci, tu pięć, tu się do Fundacji jakiejś wspaniałej zapisze, tu znów uszczepnie polskie biedne „dziecko pięci zębskie” — wywiad goni wywiad, prasa, telewizja... Ludziska, tu byliby prześcigali się, żeby wejść Casimirovi de Orly w dupę bez wazeliny, ponieważ ma on to, co dziś nierzadko polscy uważają za jedyny, najważniejszy atrybut człowieczeństwa: „dulary”.

Mech więc Jan Duch sam opowie, jak de Orly zdobył swoje dolary, ponieważ był tego naczynym świadkiem. A także nausznym, jeśli już o dokładność chodzi.

W San Diego zatrzymali się na noc, poszli do knajopy, która była jednocześnie wietnamskim burdelem. Tam Kazio poderwał fajną, niesłychanie mocno zbudowaną dziewczynę, zupełnie inną niż pozostałe, wiotkie Wietnamki. Oszalał dla niej. Nie chciał jechać dalej. Ponieważ poruszali się jego samochodem, dał im kluczyki i „see you later”. Zamieszkał w Wietnamku. Gral i Duch pojechali do Acapulco.

— Spędziliśmy tam tydzień — opowiada Duch. — Gral chciał nawiązać kontakty z facetami, handlującymi hasziszem, marihuaną albo LSD, wszystko mu było jedno, chciał wybać możliwości przetrwania. Zależało mu na forsie, dla formy był gotów dać się posadzić do kłosa na dwadzieścia lat. Z początku nie wiedziałem, o co chodzi, ale kiedy zaczęli nas odwiedzać w hotelu jacyś turyści o mordach z filmów grozy, zażądałem, byśmy wyjechali. Dla złagodzenia sytuacji Gral zabrał mnie do haciendy, położonej kilka kilometrów od Acapulco. Wszystko zbudowane z drewna, rozległy teren, restauracja, bar, cicha muzyka, z tyłu małe domki, też drewniane. Więc tam był burdel, bracie, ale jaki! Za dwadzieścia dolarów mogłeś mieć dziewczę, która miała, ni mniej, ni więcej, tylko osiem lat. Ale to było zdarzenie, bo na drodze zatrzymywali nasz wóz facci, którzy proponowali jeszcze młodszego dzieci po siedem, nawet po pięć dolarów. Za stówkę mogłeś dostać takie dziecko na zawzięcie, po prostu zabrać je do wozu i odjechać, i już nigdy nikt by cię o to stworzenie nie zapytał. Mogłeś je ugotować, albo zjeść na surowo, a z zębów zrobić naszyjnik dla kochanki — co komu do tego? To jest okrutny bardzo błędny świat. On dotąd istnieje na tych samych zasadach, tylko ceny są większe. No, my z Galem wzięliśmy sobie dojrzałe panny, po trzydzieści, czterdzieści lat, kosztowało to dwa dolary za godzinę. Dzisiaj niedzienne wydanie „Toronto Star” kosztuje dolara. Gralowi i to wydawało się za drogo i zażądał dodatkowego kwadransa, którego mu udzielono. Kiedy jednak przy wyjściu zobaczył młodą niespełna dziesięcioletnią, która kosztowała zaledwie cztery dolary, przełamał się i poszedł z nią. Jedyna okazja, powiedział,

gdzie jeszcze na świecie będę miał szansę przespać się z dziesięcioletnią dziewczynką, który ma cyce jak dzwon i bierze piguły, żeby nie zając w ciąży? Miał rację, one tam dojrzewają jak koty, dlatego te niewiele młodsze dziewczęta to żaden cymes, za dwa lata już by się kopciła, a za następne dwa zaczęłyby się z niej sypać dzieciaki jak trociny z rozprutego materaca. Dlatego zboczył ze Stanów, których jest niesłychanie dużo, kupując dzieci po trzy, po cztery lata i dopiero mają coś świeżego.

— Wiem — odparłem — wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Gacy, czy Di Bello, w których ogródkach znaleziono po kilkadziesiąt trupów chłopców i dziewczyn. Tam jak facci idzie w chorobę, to morduje jak Hitler, przez wiele lat, i dopiero przypadkiem wpada.

— Więc zmusiłem Grala do wyjazdu z Meksyku bez „towaru”, bo gdyby wziął narkotyki, to ten sam gość, co mu sprzedał, zakapowałby nas i po ptakach. Co mógłby zrobić na głupim Gralu? Pięćset dolarów? Fajnie, to był wtedy majątek w Meksyku. Ale za wydanie przemytnika dostałby od Amerykanów tysiąc. To jest dopiero interes. O tym Gral wtedy nie wiedział, a kiedy się dowiedział, to mocno przybladł. Na szczęście udało nam się uniknąć dwudziestu lat w jakiejś przerażającej ciurmie amerykańskiej, gdzie Murzyni masowo gwałcą wszystko, co jest białe i co się rusza. To nie polskie sanatorium, jak Strzelce, Rawicz czy Wronki. Amerykańskie więzienie to całkiem inna zabawa i przeżyć tam jest sztuką najwyższej rangi.

— Powiedział jak Cas de Orly zrobił forsy.

— Kiedy wróciliśmy do San Diego, on wciąż tam siedział z Wietnamką i zanosił się na to, że jeszcze długo posiedzi. Zakochał się. Wyobraź sobie, zakochał się w zawodowej wietnamskiej kurwie, co to jeszcze podczas wojny w Sajgonie dawała amerykańskim marines za tabliczkę czekolady! Wiesz, ilu ona miała klientów w swoim trzydziestoletnim życiu?

— Trzydziestka? To już starucha według tamtych standardów.

— Wciąż była dobra, mimo że przeszło przez jej pochwę ponad dziesięć tysięcy penisów, o różnych barwach i rozmiarach.

— Nie wierzę! To absolutnie niemożliwe. Dziesięć tysięcy facetów?

— Zaczęła pracę w wieku dziesięciu lat. Nie było dnia, żeby nie miała trzech albo czterech. Odlicz dni na chorobę, czy na period, choć podobno! Wtedy miała amatorów, przyjmujmy, że miała dwóch dziennie przeciętnie, to daje sześć setek na rok, po dziesięciu latach sześć tysięcy, a po dwudziestu...

— Kurwa — mruknąłem z podziwem — człowiek nigdy się nie zastanawia nad prze-



ustowością panienek, a przecież i w Polsce te zawodowki codziennie oblatują ze dwóch... To ciężka praca, pomijając już wszystko inne.

Duch roześmiał się:

— Ciekawe, że AIDS wcale nie przyhamował biznesu. Ale do rzeczy. Cas de Orly uciekł się bardzo, kiedy nas zobaczył. Miał bowiem pomysł, podejrzewam, że wymyślił to razem z Wietnamką. Pomysł prosty jak dwa kijki złożone na krzyż i dlatego genialny. Sam byłem zaszokowany, kiedy go poznałem.

— Mów — powiedziałem, choć domyślałem się, o co chodzi, afera obita mi się o uszy.

— Otóż American Express, instytucja kart kredytowych najpopularniejszych na świecie, wydaje także „travellers cheques”, czeki podróżne, żeby człowiek nie woził z sobą gotówki. Nie wszędzie na świecie zrealizują prywatny czek, nie wszędzie też przyjmują karty kredytowe mniejszej rangi. Natomiast czeki podróżne można wymienić w każdym banku świata, płacić nimi w każdym sklepie i w hotelu, kupować bilety na wszystkie środki transportu i tak dalej. Działa to identycznie jak gotówka, z jedną ważną różnicą: jeśli ci ukradną gotówkę, to umarł w butach. Natomiast gdy obudzisz się bez czeków podróżnych, wystarczy zatelefonować do najbliższej agencji American Express, zgłosić zgubę i w ciągu dwudziestu czterech godzin oddadzą ci całą wartość utraconą, bez dyskusji. Są szycy, działają wspaniale, podróżni na Zachodzie, a szczególnie Amerykanie, cenią sobie ten serwis bardzo wysoko. Żeby otrzymać czek, wystarczy pójść do banku, zapłacić dowolną sumę i podpisać czek w jednym miejscu, bo w drugim podpisujesz w obecności człowieka, który je od ciebie w sklepie czy w innym banku otrzyma. Wystawiane są one w różnych nominatach, dwadzieścia, pięćdzie-

siąt, sto dolarów, pięćset i tak dalej. Pomysł Kazia był genialny, ponieważ po zgłoszeniu zguby najpierw zwracają ci czek, a raczej: wystawiają nowe, a dopiero potem, za jakiś czas, jeśli w ogóle do tego dojdzie, zbierają informacje na temat okoliczności, w jakich utrata czeków nastąpiła. Wtedy mówisz, że nie pamiętasz, i już. Więc Kazio i Gral już w San Diego załatwili sprawę z dwoma napotkanymi Australijczykami, którzy podróżowali po Stanach, byli to facci nie z tej ziemi, twardzi, bezczelni, niczego się nie bali, pili bez przerwy, rzucali forsy. Im też się pomysł spodobał. Gral dał im, dziesięć tysięcy, kupili za to czek na dwa nazwiska. Po powrocie do Australii mieli zgłosić zgubę, nowe czeki zamienić natychmiast na gotówkę, dwa tysiące dolarów zostawić sobie, a resztę przysłać Gralowi. Te pierwsze, oryginalne czeki, Gral i Kazio sami splenili w bankach, podrobił je pod Australijczyków. Bo dopóki zguba nie zostanie zgłoszona, nikt nie żąda od ciebie paszportu przy podpisywaniu czeku, którym płacisz. Dopiero gdy okradziony zgłosi, wystarczy jeden rzut oka na komputer, w każdym miejscu świata, i już numery czeków i nazwiska ukazują się pod szyldem „lost”, utracone. Wtedy urzędnik marudzi nieco dłużej z wypaleniem ci gotówki, a z tyłu podchodzi dwóch uzbrojonych panów...

dwieście tysięcy przez noc? Wzięli żetony, pograli trochę, pokreślił się po kasynie, nad ranem oddali żetony w kasie i wzięli gotówkę w żywych dolarach. Następnego dnia przylecieli do Toronto, dali mi znak, poszedłem do biura American Express, tego samego dnia po południu otrzymałem nowe czeki na dwadzieścia tysięcy, poszedłem do banku obok i wymieniałem na gotówkę. Zatrzymałem sobie trzy tysiące, siedemnaście oddałem Gralowi i Kaziowi. To był ich zarobek dwudniowy. Powtarzali tę operację przynajmniej dwadzieścia razy, i to po wyższych sumach. Obliczam, że zarobili ponad pół miliona kanadyjskich dolarów. I to tylko licząc ich osobiste działania, które przebiegały zaledwie trzy razy w Las Vegas, dwa razy w Reno, dwa razy w Atlantic City, a potem w Kalifornii, na Florydzie i w Europie.

Sprytne Cas pozwolił działać także swojej wietnamskiej kochance, i ona utworzyła siatkę, składającą się z jej koleżanek po fachu, z alfonsów i kumpi. Musiała to być bardzo sprytna kobieta, ponieważ żadna z tych osób nie dała znać policji. Myślę, że od niej do kieszeni Kazia wpłynęło przynajmniej dwieście tysięcy. Ta dziewczyna była w nim zakochana tak samo, jak on w niej. Trudno mi wierzyć w cuda, ale to był cud: ta stara, przekreślona przez maszynkę do mielenia mięsa kurwa, wciąż silna, zdrowa i pięknie zbudowana, i nasz Kazio Orłowski, były student medycyny na jednej z prowincjonalnych polskich uczelni. Nie mogli wytrzymać ani chwili bez siebie. Na telefony wydali majątek, pisali nawet do siebie, choć żadne z nich nie umiało pisać po angielsku, a Wietnamka w ogóle była prawie analfabeta. Wiedziałem te jej kufony: „I laf yu, me day yutaozui”. Chciała powiedzieć, że umrze bez niego „I’ll die without you”, napisała zamiast „die” słowo „day”, czyli dzień, ale Kazio i tak rozumiał. Całował listy od niej, choć w tym samym momencie mógł podłapać przysuszonego syfa. Gdzie tam! Popatrz na niego dzisiaj, co trzy miesiące „wpada” do Polski, rzuca datki na budowę, to tego, to owego, kupuje sprzęt sportowy dla szkół, woźą go, szanują; to jest prawdziwy patriota! Nie zapomniał o ojczyźnie!

kys. Dariusz Romanowicz

— Słyszałem, że Australijczycy nigdy nie przystali forsy Gralowi.

— Zgadza się. Widocznie uważali, że skoro Gral już w Stanach odebrał z kupionych na ich nazwiska czeków swoją forsy, to nie nie stracił, natomiast oni z wydanych na nowe czeków mieli dziesięć tysięcy zysku.

— Bardzo prawidłowo.

— Trudno było kontrolować facetów, mieszkających na antypodach. Ale w Stanach i w Kanadzie obaj moi przyjaciele zaangażowali dziesiątki osób w ten proceder. Ja też wziąłem w tym udział — przyznał się Duch — dali mi dwadzieścia tysięcy, poszedłem do banku, kupiłem czek i potem Gral i Kazio pojechali do Las Vegas, udawali, że chcą grać, Gral świetnie podrobił mój podpis, więc zamienił wszystkie czeki na żetony, bo co? Jest dwadzieścia tysięcy, jak tam niektórzy tracą po sto i

— Polonusy by ci stratali za domniemanie, że sugerujesz, jakoby...

— Ze oni wszyscy tacy sami? — Duch zaśmiał się radośnie. — Ależ skąd! Mówię tylko o tych, których znam osobście. Polowa to uczciwi ludzie, przy czym musieliby mi udowodnić, że nigdy nie oszukiwali na podatkach. Ale na własną odpowiedzialność twierdzą, że polowa, tak mniej więcej, to nęguś i wydrwigrosze, jakich świat nie widział. Tak szczerze ci powiem, stary: dziesięć procent spośród kilkuset znanych mi osób to ludzie wartościowi. Reszta...

— Ale tak jest wszędzie — powiedziałem. — Na całym świecie. Na tym polega urok życia w tej dżungli.

C.D.N.